









KTÓREJ DO SZCZĘŚCIA

*Warszawa. Druk Emila Skwskiego.*

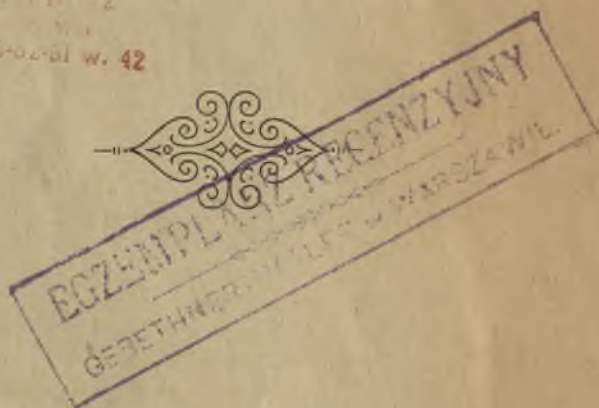
<http://rcin.org.pl>

Teodor Tomasz Jeż

# KTÓREDO DO SZCZĘŚCIA

POWIEŚĆ

INSTYTUT  
BADAN LITERALNYCH I JĘZYKOWYCH  
Biblioteka  
ul. Nowe Światy 72  
00-000 W. Warszawa  
Tel. 26-68-68, 26-62-61 w. 42



WARSZAWA

Nakład Gebethnera i Wolffa

1898

<http://rcin.org.pl>





ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ  
Варшава, 23 Мая 1897 года.



## I.

— Cóż więc oni opowiadają?

— Opowiadają, że to wszystko poszło z myszy.

— Z myszy?...

— Mówić o tem nie warto... Głupstwo... baśnie... brednie, które krążą pomiędzy chłopstwem.

— Owe głupstwa, baśnie, brednie, dlatego właśnie, że pomiędzy chłopstwem krążą, bywają bardzo ciekawe i ważne.

— W jakim względzie?

— One cywilizacyę zapoczątkowały. Ludzie, w czasach pierwotnych nie mieli pojęcia o tem, co dla nas jest rzeczą powszechną: domyślali się, odgadywali... tworzyli banie, któreś w historii postępu ważną odgrywają rolę.

— Więc cóż ta baśń opowiada?

— Ze Orzyński złapał mysz i uśmiercić ją chciał, a mysz do niego przemówiła: daruj mi życie, a ja ci się odwdzięczę.

— I wskazała mu skarb zakopany?

— Nie... Orzyński zdziwiony, trochę nawet przestraszony, puścił mysz. Ona uciekła, lecz po jakimś czasie powróciła i na stole, przy którym pisał, położyła przed nim szpilkę. Orzyński myślał, że znów do niego przemówi, lecz mysz schowała się. Szpilka nie przestraszyła Orzyńskiego, ale bardziej aniżeli przemówienie zdziwiła. Orzyński domyślał się, że ta szpilka ma jakieś przeznaczenie szczególne, ale jakie? Wziął ją w palce, obracał, oglądał i nic w niej nadzwyczajnego nie dostrzegł. Szpilka i tyle. Pilna robota nie pozwalała mu o niej długo myśleć, wpiął ją przeto w klapę od surduta i robotą się zajął. Wieczorem myślał o szpilce, spać z jej powodu nie mógł, nazajutrz z głowy mu nie wychodziła. Tak minęło dni kilka.

Byłby kogo zapytał, ale wiedział, iżby go za waryata wzięto, gdyby powiedział o myszy gadającej. W końcu i jemu samemu wydawać się zaczęło, że całe to z myszą zdarzenie było złudzeniem zmysłów, dał więc dociekaniu pokój, uspokoił się i swoje dalej robił: biedował ciężko na kawałek chleba, gdzieś w cudzym kraju. I byłoby tak zostało, gdyby nie przypadek. Razu pewnego, przy jedzeniu, zabrakło mu wykluwaczki do zębów: ani piórka, ani drewnianka, ani słomki, wyjął więc z kłapy szpilkę, do ust włożył i dziwnego doznał wrażenia: nagle, jakby przejrzał. Jakiś głos wewnątrz dał mu niby ostrzeżenie, radę i skazówkę. Nie rozumiał, co to znaczy, ale za głosem tym poszedł i dozna powodzenia jak najlepszego. Pamiętał odtąd o szpilce i ile razy odzież zmieniał, zawsze ją w kłapę wpinał.

Raz, w lat parę później, przed wpięciem, w usta ją włożył, i zaraz w głowie mu się jasno zrobiło. Wiedział, co, jak, i co do czego. Własny jego rozum stał się jego doradczą, świadomym, co robić, a czego się wystrzegać.

Powodziło się mu świetnie w interesach, któremi się zajmował, kiedy szpilkę w ustach trzymał. Ale z interesami temi łączyły się i wiązały inne, z któremi albo nie wiedział co począć, albo niewłaściwie poczynił sobie. Tu zyskiwał, tu tracił. Pojąć nie mógł, skąd raz i drugi brały mu się takie trafne pomysły, w innych zaś razach zawód mu czyniły. Głowę sobie nad tem łamał i byłby przyczyny nie doszedł, gdyby razu pewnego, kiedy w wielkich znajdował się kłopotach, nie zjawiała się przed nim znou mysz.

Wbiegła na stół, przy którym siedział, pisał, czy rachował, i stanęła. On: „Ach!—krzyknął—to ty?” — „Ja...—odpowiedziała.” — „Darowałem ci życie.” — „Jam ci się odwdzięczyła.” — „Czem?” — „Nie dałam ci to szpilki?” — „Cóż mi po niej?” — „Nie moja wina, że się z nią obchodzić nie umiesz.” — „Do czegoż ona?” — „Czy ci do głowy dobrej rady nie nasunęła?” — Powiedziawszy to, mysz znikła. „Stój!... poczekaj!... słówko jeszcze, myszko, myszeczko, myszeńko!...” — wołał Orzyński, ale nadaremnie. Mysz nie wróciła już nigdy; słowa jej jednak zapamiętał dobrze. Rozmyślał nad tem, jakim sposobem szpilka rad udziela; doszedł nareszcie: cała rzecz w tem, żeby szpilkę do ust włożyć. Od tego momentu wiodło mu się wszystko, wiedzie dotychczas— i będzie się wiodło póki życia.

Opowiadać bajkę skończył; słuchacz się odezwał:

— Brednie... brednie; a jednak to rzeczy ciekawe!

— Że brednie, to pewno—odparł opowiadacz.—Żeby w tem jednak co ważne być miało, tego nie widzę.

— Od bredni podobnych rozpoczęła się cywilizacya; są one ważne dla jej historyi. Zwierzęta mówiące przepełniają podania, które się w wiekach przedhistorycznych tworzyły i do nas doszły, lubo znacznie zmienione, co do szczegółów. Mysz była pierwotnie może kotem, może psem, może wężem lub innym stworzeniem; szpilka przerobioną została z kamyka, z pierścionka albo z czegoś innego. Kto panu opowiedział o niej?—zapytał.

— Moja pani Pawłowa...—była odpowiedź.—Ona mnie często podobnemi bawi opowiadaniem. Mówiła mi i o wężach, o królach wężów. Zaczęło się to od czasu, jak mnie w chorobie doglądała.

— Warto spisywać podobne rzeczy: to się przyda.

Po chwili milczenia dodał:

— Ta szpilka Orzyńskiemu może kłopot sprawić.

— Jaki?

— Gdyby mu ją kto zabrać zechciał.

Na tem się rozmowa urwała. Toczyła się ona przy biurze, ustawionem bokiem do ściany, pomiędzy dwoma oknami. Biuro zaopatrzone było w półkę, a po obu jej stronach były, oznaczone literami alfabetu, schówki, szufladki i szuflady, kryjące się pod zamykaniami z góry dekami. Na półce stały księgi oprawne, formatu arkuszowego, mające pozór rejestrów; w schówkach były listy i dokumenty. Pod ścianą, po jednej stronie biura stała skrzynia okuta, zwana kasą ogniotrwałą. Wszystko to zajmowało pokój obszernego połowę, oddzieloną baryerą od drugiej połowy, która pustą by była, gdyby nie piec i nie drzwi, także ławki, pod ścianami ustawione, materacowane, skórą obite. Ozdób, któreby oko zabawić mogły, nie było żadnych, do ozdób bowiem trudno zaliczyć: dużej, z ogromnym zielonym abażurem, lampy, kalendarza ściennego, planów na ścianach i zasłon w oknach, zaopatrzonych w kraty żelazne.

Kraty w oknach, biuro, baryera, kasa ogniotrwała nadały pokojowi charakter urzędowy, chłodem wiejący.

Charakter ten usprawiedliwiał napis, widniejący na zewnętrznej stronie mocno okutych, w mocne zamki i rygle zaopatrzonych drzwi, napis biały od ciemnego tła odbijający:  
*Kasa.*

Przy biurze siedzieli dwaj jegomości, którzy o szpilce rozmowę toczyli; byli to urzędnicy, a raczej, ściślej się wyrażając, oficyaliści, zawiadowali bowiem kasą nie rządową, ale prywatną, funkcyonującą w majątku dużym, porządnie administrowanym i wzorowo zagospodarowanym, będącym własnością Prospera Orzyńskiego. Zwano go po za oczy: „panem Pro-sperem”, w oczy przemawiano do niego: „panie dobrodzieju”, na kopertach zaś i w nagłówkach listowych pisano: „Wielmożny mości dobrodzieju”, bez najmniejszego tytułu, bo też tytułu żadnego nie posiadał ani nabytego, ani od przodków przejętego. Był sam po sobie i sam przez siebie. Zdawało się, że oddanym jest duszą i ciałem robieniu fortuny; mniemanie to na tem się opierało, że w jego rękach fortuna, z razu skromna, rosła i rozrastała się szybko dzięki porządkowi, w jakim interesa prowadził, i temu, co się pospolicie nazywa „nosem”, to jest zdolnością korzystania z pomyslnych konstelacyj.

Pan Prosper majątek otrzymał po rodzicu, jednym z tych, co to czasu onego wychodzili „z podstarościch na dziedziców”, na których ustnie i na piśmie, prozą i wierszem sporo sypało się skarg, do których odnosi się przysłowie: „Zrób się na trzy lata s . . . ią, a będziesz magnatem”. Magnateria ojca pana Prospera nie były to wielkie rzeczy: wioska jedna, wio-szczyna, nabyta za ciułane i lokowane na kahale dochody poboczne, napływające do kieszeni ekonomów dawnej daty z przychowków, z karmnika, z kurnika, z grządek, z lasów, ze stawów i z rozmaitych innych źródeł jawnych i zakrytych. Nie wielka wioska posiadała zalety wielkie: dobrą glebę, drzewo, kamień i wodę; w obrębie jej znajdowało się wszystko, co spokojne zapewniało życie: chleb i jarzyny, ryby i grzyby, zwierzyna i wszelakie inne produkty. Dwoje dzieci, które się wychowywały, nie zawadzały: starsza córka rosła przy rodzicach; młodszy syn w jedenastym roku życia oddany został do szkół; bywał w domu na święta i na wakacje; uczył się nie nader pilnie ale dobrze, z klasy do klasy przechodził, a siostrę i rodziców zaznajamiał z nowemi dla nich i ciekawemi rzeczami. Ojciec mu niekiedy oponował.

— Bajesz—powiadał, gdy syn jakąś wiadomość naukową przywiózł.—Czy to się na co zda? Ot, ja anim słyszał o tem, a przecież Kółko kupiłem...

Kółko—była to nazwa wioski.



Na Prospera szkoły szczególny wpływ wywarły: jakby przed nim otworzyło się okienko, przez które wyjrzał w świat. Im dłużej patrzył, tem więcej przedmiotów ciekawych i pociągających ukazywało się mu w dali; niby zamki czarodziejские, niby pałace zaklęte, a przy nich na warcie smoki, ogniem ziejące. W umysł młodzieńczy zapadały, niby w grunt dziewiczy, jakieś osobliwe ziarna, z których wyrastały poglądy i przekonania, domagające się ofiar, jak Minotaur.

Stary Orzyński wyznaczył dla syna na szkoły czasu lat dwa, trzy najwyżej, licząc na to, że się chłopcu nauka sprzykrzy i pewnych wakacyj, gdy zasmakuje w roli panicza i dziedzica, nie zechce mu się wracać do książek. Stary nie przypuszczał, ażeby się Prosperowi długo w jarzmie szkolnem chodzić chciało, dzięki tej rozkosznej swobodzie, jaką wieś dawała. Miał przysięgę, co do dzieci, program gotowy.

— Anusię wydam za mąż—myślał sobie.—Prosper poszumi, ożeni się, ustatkuje i będzie w Kółku gospodarował.

„Szumienie” wyobrażał sobie najprzód w obrębie wsi, następnie na jarmarkach, wreszcie pod postacią krążenia po okolicy, celem wypatrywania dobrej partyi, w sferze wioskowych dziedziców i posesorów, mających córki na wydaniu. Z góry przemysliwał o przygotowaniu dla syna pokaźnej nejtyczanki i dobranej czwórki.

Ale „chłop strzela, Pan Bóg kule nosi”. Prosperowi nie odechciało się uczyć, ojcu zaś nie wypadało syna do nauki zniechęcać. Lata mijały, chłopak wyrastał na młodzieńca i przyjeżdżając do domu, w czasach feryj, zamiast oddawać się rozkoszom wiejskim, wedle rozumienia ojcowskiego, zabawiał się przeważnie strzelbą i książką. Strzelbą jednak posługiwał się nie wiele, luboć niekiedy przynosił w torbie parę kaczek, kilka przepiórek, gołębia dzikiego, zająca; najczęściej nie przynosił nic, a to głównie z tej racji, że do lasu szedł, pod jednym z upatrzonych dębów stawał, strzelbę o drzewo opierał, torbę rzucał, kładł się, czytał i medytował. Przywoził z sobą bądź to Fr. Skarbka, bądź też Supińskiego, bądź którego z autorów cudzoziemskich, traktujących przedmiot poważny. Śnać mózg Prospera nie nadawał się do rojeń poetycznych, lecz lubował się w rozmyślaniu o zadaniach, dotyczących dobrobytu powszechnego. Kiedy razu pewnego, nauczyciel literatury kazał uczniom napisać kompozycję na temat dowolnie przez każdego wybrany, Prosper napisał rozprawę p. t. „O procentach”.

— Skąd ci to na myśl przyszło?—zapytał go nauczyciel.

— Ot tak...—odpowiedział chłopak zmieszany nieco.

— Czyś żyd?

Po uszy się zaczerwienił i nic nie odrzekł.

Nauczyciel oddał mu jego utwór z podpisem: „Temat nie-stosowny—kompozycja słaba”.

Nie zraził się tem; wiadomości z zakresu ekonomiki chwycił dorywczo, skąd mógł i jak mógł, obiecując sobie, że je posiada w zupełności później, po wyjściu z gimnazjum. Miał na widoku uniwersytet. Pozostawało mu do skończenia nauk gimnazyalnych lat dwa, bez czegoś.

W tym przeciągu czasu zaszły zdarzenia, wywierające wpływ na życie i stosunki rodzinne w kółkowskim dworku.

— Anusia za mąż idzie...—temi słowy spotkała Prospera matka, gdy na wakacje zimowe przyjechał.

— Za Sedynowicza?—zapytał.

— Nie, za Cerhowskiego.

— Zdaje się, Anusia i pan Piotr kochali się.

— At!...—machnęła matka ręką.—Cerhowski ma część w Zarzyncach i sperandę po stryju bezdzietnym.

— To prawda. Jednakże Sedynowicz...

— Postrzelona głowa—podchwyciła matka.—Gdyby Anusię wziął, lękałabym się, aby jej nie rzucił, gdyby co do czego przyszło.

Rozmowę przerwało wbiegnięcie siostry, na powitanie brata. Nadszedł ojciec. Prosper zauważył, że Anusię nie wiele obchodzi, że oddaje rękę nie temu, któremu oddała serce; dowiedział się, że zaręczyny odbędą się w trzecim dniu świąt Bożego Narodzenia, a na ślub wyznaczono Przewody po Wielkanocy.

— To dlatego, ażebyś ty mógł być na zaręczynach i na ślubie—oznajmiła mu matka.

Siostrę kochał i porozumiewał się z nią lepiej, aniżeli z rodzicami; udzielał jej wiadomości, które nabywał—był jej powiernikiem, gdy ona z panem Piotrem „się kochała”. Dlatego, jak skoro się znaleźli w cztery oczy, nie omieszkał zacząć jej zapytaniem odpowiedniem.

— Sameś mi powiadał—odpaliła—jak wielkie znaczenie mają pieniądze. Gdyby nie to—z odzieniem smutku w głosie dodała—nie byłabym pana Piotra z kwitkiem odprawiła.

Na to nie było co odpowiedzieć. Zresztą rzecz się stała. Sprawa zwykłym poszła porządkiem: zaręczyny, ślub. Na

zaręczyny do Kółka sporo przybyło gości, pomiędzy nimi paru dostojników powiatowych, co świadczyło, że w oczach obywatelstwa, nad przejściem starego Orzyńskiego, z ekonomą na dziedzi, zapadło przedawnienie. Jakże bo zapaść nie miał! Dziedzic Kółka w pierze rósł; dworek o czterech izbach na dwór o pokojach ośmiu przebudował; żonę i córkę do kościoła i w sąsiedztwo w wiedeńskim koczku woził; w domu „łaskawych” gościnnie podejmował; sprawił sobie lokaja, którego, jako też furmana, w liberyę ubrał; słowem, nabył w zupełności prawa do grona obywatelskiego.

Prawo to, w spadku po nim, dostać się miało synowi.

Była o tem mowa wkrótce po zaręczynach.

Kiedy się goście rozjechali i tylko rodzina w komplecie została: ojciec, matka, syn i córka—ojciec, zadowolony ze wszystkiego, co dotychczas zaszło, pykając powoli z cybucha, odezwał się:

— No, dzieci chyba nie będą na mnie narzekały! Wydajemy Anusię; za lat kilka, da Bóg doczekać, ożenimy Prospera, i w spokoju się żywot nasz dokona.

Prosper odchrząknął, ale nic nie odpowiedział.

— Będzie pustka w domu, gdy się Anusia do męża przeniesie—odezwała się matka.

— Na rok—odparł ojciec.—Przecież za rok Prosper tę szkołę nareszcie skończy.

— I do uniwersytetu pójdzie—podchwycił Prosper.

— Do u-ni-wer-setu?—zapytał stary, skracając wyraz dla niego za długi i do wymówienia za trudny.—Ta po co?

— Uczyć się.

— Nie wyuczyłżeś się wszystkiego w gimnazjum? Czegoż ci jeszcze więcej potrzeba?

— Uzupełnienia nauki. Gimnazjum, to początek dopiero.

— Twój ojciec i dziadowie bez początku się tego obchodzili i dobrze im z tem było.

— Zapewne, ale...

— Co za ale?

— Z nauką lepiej, aniżeli bez nauki.

— Ruczajski taki uczoney, a jednak ledwie dyszy. Oho! znam ja uczoney i wiem, co o nich trzymać. Uczony Kółko stracił, a nieuczony je nabył. Ludzie do rozumu dochodzą i bez nauki.



— To prawda, tatku—bronił się Prosper.—Nauka wszelako rozumu nie wyklucza. Da się pogodzić jedno z drugim, zwłaszcza, jeżeli nic na przeszkodzie nie stoi.

Stary Orzyński głową pokiwał i popiół z fajki przez cybuch wydmuchnął; że zaś był człowiekiem korpulentnym i w wieku—liczył lat sześćdziesiąt z okładem—z pewnym więc wysiłkiem z siedzenia się dźwignął.

Nie przypadło mu do smaku, że syn o „uniwersytecie” zamysła; nie podobało mu się to tem bardziej, że nie należał do rodzaju ojców starego autoramentu, do owych ojców-despotów, którzy się kierowali względem dzieci regułą: *sic volo, sic jubeo* i regułę tę batożkiem popierali. Czuł, że koniec końcem synowi ulegnie, jak mu uległ, gdy chodziło o klasy wyższe nad trzecią. Z tej racji na odchodnem westchnął, a wyjść musiał po drobne dla kołędników, którzy pod oknem od podwórza—działo się to wieczorem—odezwali się z kołędą, zwaną „na szczodry wieczór”, śpiewaną w wigilię Trzech Króli.

— Ot, dobrze będzie—rzekła matka, wskazując oczami na okno, pod którem kołędnicy stali.—Dobra wróżba! Jakoś się to wszystko ułoży i dla Prosperka dorośnie panna z posagiem. Byleśmy tylko my, starzy, jego wesela doczekali.

Nic nie zapowiadało, ażeby doczekać nie mieli, a przecie nie doczekali. Niczyjiej w tem winy nie było—losy tak zrządziły.

Z razu wszystko szło jak najlepiej. Przez cały Wielki post szła się dla Anusi wyprawa, a raczej uzupełniała się, o wyprawie bowiem pomyślała gospodarna pani Orzyńska dawniej i przysposabiała ją powoli. Przewidywała ona, że córka prędzej, czy później zamażę wyjdzie; raczej prędzej, niż później ze względu na to, że była urodziwą i że każdy z jej kawalerów mógł liczyć na znalezienie czegoś, gdy ją pojmie, pod poduszką. Więc przysłała panna młoda pościel całą i bieliznę stołową miała w komplecie; przytem matka rok rocznie odkładała dla niej pół setki płótna, motki przędzy konopnej i lnianej, dzieżkę sera, faskę masła, kamień wosku, parę garncy miodu, parę polci słoniny i t. d., tak, że pozostawały jeno bielizna i odzież. Bieliznę szyły szwaczki; do odzieży sprowadzono z Zawłoki krawca, słynnego z tego, że obszywał wszystkie panie i panny, uchodzące za największe w okolicy elegantki. Krawca, który był bardzo more-morejne, z trzema czeladnikami, ulokowano w oficynie

i dogadzano im, jak bolączkom; chociaż żywili się w karczmie na rachunek dziedzica, oprócz tego pieczono dla nich codziennie świeże, z pszennej mąki placki, gotowano jaja tuzinami i dawano bez liku czosnku, cebuli, gruszek, w miodzie smażonych i sliwek suszonych; samemu zaś majstrowi, ponieważ był to człowiek bardzo delikatny, posyłało co wieczór i co rano szklanę herbaty z arakiem. Z rąk jego wyszło kilka jedwabnych, wełnianych i perkalikowych sukien, kilka mantylek, parę szlafroczków, płaszczyk, futro, tumakami podbite i suknia ślubna. Dodatki, jak rękawiczki, pończochy, trzewiki, kapelusze, szale, szaliki, grzebienie, grzebyki, mydełka, pomady, perfumy i tym podobne toaletowe i gotowalniane przybory sprowadzone zostały z miasta. Pani Orzyńska jeździła po nie z córką, wiedziała bowiem, czego potrzeba do wyprawy przyzwoitej, gdyż wysłała zamaż z domu marszałkownictwa Ruczajskich, u których przebywała na respekcie.

Wyprawa przeto szykowała się jak należy i to pod każdym względem. Starano się zaopatrzyć suto młodą mężatkę, celem wzbudzenia dla niej szacunku w małżonku, gdy do domu jego wejdzie w otoczeniu tłumoków, skrzyń, pak, beczek, fasek, dziełek, pudeł, zawiniątek, pudełeczek, kojców i słoików.

Lecz przejdźmy do wesela.

— Trzeba, żeby było sute—rzekł ojciec Anusi.

— Trzeba, żeby było sute—potwierdziła matka.

W piwnicy stały beczki z syconym miodem, z wiśniakiem i maliniakiem, jako też parę antałków wina węgierskiego i parę baryłek starki; przyrządzenie jadła i przysposobienie cukrowej kolacyi wziął na siebie pozostający na emeryturze kuchmistrz, który służbę czynną pełnił w czasie, kiedy stary Orzyński sprawował funkcję ekonoma kluczowego. Nie trzeba się było troszczyć o napitek i jadło, ale o to, kto będzie jadł i pił—kogo na wesele zaprosić. Z początku wydawało się to rzeczą łatwą; gdy atoli pora się zbliżała, nasunęła się jedna trudność, z którą należało się liczyć. Orzyński ekonomował u marszałka Ruczajskiego; pani Orzyńska od marszałkownictwa zamaż wysłała; nadto, marszałkowa Anusię do chrztu trzymała: zachodził przeto obowiązek do marszałkownictwa pojechać z prośbą o błogosławieństwo dla chrześniaczki i przy tej okazji na wesele zaprosić.

— Zaprosić—odezwał się Orzyński—może się wymówią, może przyjmą... Jeżeli przyjmą, to trzeba do nich towarzystwo

dobrac. Kręciłaby marszałkowa nosem, gdyby się znalazła razem z Batożyńską, Snopkiewiczową, Kauczukiewiczową...

— To prawda.

— Sam marszałek... to jeszcze: jemu nie wadzą tacy i owacy. Ale pani!... nie przystępuj bez kija...

— Może marszałek przyjedzie, a marszałkowa się wymówi...

— Oni cienko przędą, a ona Anusię do chrztu trzymała, to jej wymówić się może nie składnie będzie.

Stało na tem, żeby do marszałkowności najpierwszych z wizytą pojechać, zaprosić ich i wymiarkować, jakie następnie towarzystwo zgromadzić. Było to zadanie wielce dyplomatyczne. Wybrali się do Orek, na dziesięć dni przed Wielkanocą. Przyjęto ich uprzejmie. Marszałek, o lat dziesiątek od Orzyńskiego starszy, powitał go wymówką:

— Przecie przypomniałeś sobie o nas, panie Walenty!

— Jam nie zapomniał, jaśnie wielmożny panie!

— Tylko bez „jaśnie”, wymawiam sobie. Jasnyś taki, jak ja, jaśniejszyś nawet, boś pokaźniejszy.

— Co to za pokaźność...

— Wyglądasz, Bogu dzięki, zdrowo i czerstwo.

— Zdrow bym był, gdyby nie reumatyzmy. Nie mogę już, jak dawniej bywało, na koń wsiadać o czwartej rano.

— Taka rzeczy ludzkich kolej. Starzejemy się, kochany panie Walenty. Na nasze miejsce wchodzi nasi synowie i córki, dalej wnukowie i wnuczki, i tak dalej. Tak było przed nami, tak będzie po nas.

— Wielka prawda, panie marszałku dobrodzieju!—zawołał Orzyński.

Marszałek zwrócił następnie mowę do pań, zaczynając ją od wystosowanej do pani Orzyńskiej przymówki z powodu, że niezbyt dobrze wygląda.

— Czemużto tak?—zapytał.

— Tak Pan Bóg dał, panie marszałku!

— Oddałaś pani swoje zdrowie córce. No, Anusiu, i cóż?—zaczepił tę ostatnią.

— Panie marszałku...—odpowiedziała, kraśniejąc.

O weselu mowy nie było, póki nie nadeszła marszałkowa, niewiasta poważna wiekiem i postawą, siwa a czerstwa i na obliczu ślady wdzięków przechowująca. Ta również uprzejmie

gości powitała; do pani Orzyńskiej mówiła: „Kasiu”, do panny: „Anusiu”, przy sobie je usadowiła i sama pierwsza o weselu zaczęła:

— Cóż? słyszę, weselisko nam grozi?

— Na Anusię kolej przyszła — odrzekła matka narzeczonej.

— Za pana?... za pana?...

— Oktawiana Cerhowskiego.

— Z Zarzyniec?

— Tak, z Zarzyniec—odpowiedziała—i właśnie przyjechaliśmy do państwa marszałkownictwa dobrodziejstwa... do pani marszałkowej dobrodziejki, matki chrzestnej naszej Anusi, z prośbą o błogosławieństwo dla niej.

— O! moje dziecko—odparła marszałkowa, do dziewczyny się zwracając i ręce do niej wyciągając.

Anusia się pochyliła, przyklękła; marszałkowa ją do siebie przygarnawszy, policzek pocałunkiem musnęła i tak dalej prawiła:

— Życzę ci, w otwierającym się dla ciebie nowem życiu, przedewszystkiem harmonii, która jest podstawą szczęścia w małżeństwie a przy niej... a przy niej... oby Najwyższy czuwał nad tobą i przykrości od ciebie odwracał!

Podczas przemowy marszałkowej, matce narzeczonej łzy po policzkach płynęły, ojcu w oczach się kręciły.

— Dołączam i ja moje życzenia i moje błogosławieństwo—rzekł marszałek.

Nastąpiła chwila milczenia, poświęcona tłumieniu wydzierającego się z piersi uczucia. Milczenie przerwał pan Walenty:

— Ale my jeszcze mamy do łaski państwa marszałkownictwa dobrodziejstwa prośbę jedną.

— No?—zapytał marszałek.

— Panna młoda, gdy przychodzi po błogosławieństwo, to prosi zarazem i na wesele.

— Kiedyż ślub?—zapytał marszałek.

— W środę przewodnią.

— W Zawłocę?

— W parafii...

— Przyjmiecie mnie państwo na starostę?

— Ach, panie marszałku!—zawołał ojciec.

— A mnie na starościnę?—podchwyciła marszałkowa.



— Ach, pani!—wykrzyknęli oboje państwo Orzyńscy; pan Walenty zaś dodał od siebie:

— I zrobicie nam jaśnie państwo ten zaszczyt, ten wielki zaszczyt, że z kościoła do naszej zajrzycie chałupy i podzielić z nami raczycie dary Boże?

— Najchętniej—odparła marszałkowa.

Marszałek głową, na znak przyjęcia zaprosin, skłonił.

Orzyński westchnął. Po westchnieniu dziękować się jął.

— Sąsiedzkie sprawy... obowiązki...—tłumaczył marszałek.—Kuba do Jakuba, Jakub do Michała, Michał znów do Kuby... i tak w kółko. Ale cóż tam Kółko?... zaokręła się... co?

— Bogu dzięki. Narzekać niema na co.

Rozmowa zesłała na gospodarstwo, na wygląd wyszłych z pod śniegu ozimin, na obsiewy jare, na prognostryki.

Podano poczęstunek: wino, ciasta, konfitury. Marszałek wniósł zdrowie Anusi, zamówił się do niej od dziś za rok na ojca chrzestnego. Przy okazji tej, przypomniał sobie, że Orzyńscy mają syna.

— A chłopiec?—zapytał.

— W szkołach.

— Toć to już kawaler chyba?

— Siedemnasty rok zacznie dziewiętnastego kwietnia.

— Uczy się?

— Mam z nim kłopotu trochę...

— Łobuz... he?

— Nie to... Ba!... Gdyby to...

— A cóż?

— Uniwersete w głowę mu wlało.

— Uniwersytet?—poprawił marszałek.

— No tak—odpowiedział pan Walenty, ramionami wzruszając.

— To znaczy, że ma do nauki ochotę. To dobrze. Przeszkadzać mu nie potrzeba. Niech idzie, niech się uczy, o! niech się uczy.

— Ta, ja nie od tego! Lękam się tylko, aby nauka taka Kółka nie zjadła.

— Koszta to przecież nie tak bardzo wielkie.

— Nie o koszta mi chodzi, panie marszałku dobrodzieju, ale jam stary, śmierć mi w oczy zagłada, wolałbym przeto, ażeby

się chłopiec do gospodarki przy mnie włożył, aniżeli gdzieś tam w uniwersecie nauki, jak powiada, uzupełniał.

— Jak mu na imię?—zapytał marszałek.

— Prosper... Takie imię sobie przyniósł. Ma jeszcze w metryce zapisane i drugie imię.

Marszałek się zlekka uśmiechnął i powtórzył:

— O! jeżeli ma do nauki ochotę, niech się uczy... niech się uczy.

Przy pożegnaniu państwo Orzyńscy raz jeszcze ponowili zaproszenia na ślub i wesele; marszałkowstwo raz jeszcze stawić się przyrzekli. Główna trudność została przełamana, a dobrze towarzystwa z łatwością się dokonało.

Dni następne, zajęte układaniem wyprawy i pieczeniem ciast wielkanocnych, mijały z szybkością błyskawiczną. Nadszedł wreszcie dzień dla panny Orzyńskiej wyroczny, dla państwa Orzyńskich pamiętny, tem szczególnie, że dawny ich jurysdator, pan, przy którym pan Walenty usiąść niegdyś nie śmiał, zbliżył się do nich, jak równy do równych, i to nie tylko sam, ale z żoną, wielką damą.

Pan Walenty nie omieszkał marszałkowstwu syna przedstawić i ich łaskawym względom polecić.

Marszałek uprzejmym się okazał dla chłopaka, do siebie go przywołał, obok posadził i jakby go sondować próbował. Pytał mianowicie, ku czemu się zamiłowania jego zwracają: czy go literatura zajmuje? czy upodobania jego idą w kierunku nauk filozoficznych, matematycznych, przyrodniczych? jak się na naukę zapatruje jako na narzędzie, czy jako na cel? Prosper bąkał, zacinał się, sam sobie przeczył i nie potrafił marszałkowi dać dokładnego pojęcia o pragnieniach, które w duszy piastował. Zażenowanie się jego wobec człowieka, któryby mu radami i wskazówkami mógł służyć, było naturalnem następstwem hołdów, jakie człowiekowi temu oddawano. Dla rodziców jego, dla jego szwagra i szwagra tego rodziny, obecność marszałkostwa Ruczajskich była zaszczytem, który ich dumą napawał.

## II.

Sądząc po rozmowie pomiędzy dwoma ofycyalistami w kasie, myślącby można, że Prosper porządnie gimnazyum skończył, do uniwersytetu wstąpił, egzamina zdał i zapatrzony w legalne świadectwa i dyplomy, wziął się do interesów, na których majątku się dorobił. Jest w tem część prawdy, ale część mała. W gimnazyum, jak w uniwersytecie, prześladował go siedzący w nim dyablik, który mu spokoju nie dawał. W głowie mu się paliło, inaczej jednak, aniżeli kolegom jego. W dzieciach wyobraźnia wczesnie się budzi, gra już w ósmym, w dziesiątym roku życia, ukazując obrazki ponętne, budząc pożądanja, wyzywając do gonitwy za czemś, nie zawsze uchwytnem. Piosenki, przy kołysce słyszane, bajki, przez niańki opowiadane, przykłady ludzi starszych, sceny życiowe, widziane wprost lub podpatrzone, sugestye rozliczne, nadają młodocianym popędem kierunek, wedle którego działa fantazyja. Ten się garnie do dźwięków muzycznych, inny do osobliwego szyku wyrazów, innym znów roją się szabelki, koniki, gwary biesiadnicze, cisze pustelnicze, dramaty, miłości.

Prospera umysł, od momentu, kiedy w nim myślenie zaświtało, czepił się cyfry i przy niej pozostał. Cyfra, zwyczajna, pospolita cyfra, stała się dla niego rodzajem ideału. Gdyby żył w czasach, w których mistyka filozoficzna szukała punktu oparcia, byłby punkt ów znalazł w cyfrze—byłby został adeptem Pytagoresa lub wierzył w liczbę kabalistyczną. Nazwałby to można bzikiem.

Bzik ów, który mu w głowę wlał drogą może dziedziczności, przejętej po ojcach, doliczających grosz do grosza, a może został się w nim wskutek ukształtowania się szczególnego komórki



liczbowej w mózgu, wyróżniał go wśród gromady uczniów, szumiących niby rój pszczoł w ulu szkolnym. Wynajdować dla niego poczęto odpowiednie przezwiska; przezwano go z razu „Plusem”, potem „Minusem”, dalej „Plusikiem”, „Minusikiem”, „Dziesiątkiem”, „Dziesiąteczkiem”. Gdy się z niefortuną popisał kompozycyą, nadano mu przezwisko „Miszurysa”. Przekręcano jego imię chrzestne; gdy zaś dowiedziano się o drugim, w metryce zapisaniem, nie nazywano go inaczej, jak „Hermogenesem”.

Irytowało to chłopca; odcinał się, odcinanie wyrażał słowem i czynem; parę nosów kolegom rozbił; sam razy parę z rozbitym wyszedł; raz odpokutował o chlebie i wodzie za „Miszurysa”, a właściwie za zbyt energiczne stawanie w obronie honoru swego. Nie umiał się zdobyć na jedno z dwóch: na zobojętnienie albo też na zaparcie się cyfry.

Cyfra go pochłaniała, jak nawiedzonych przez geniusz muzyki pochłania melodia, jak namaszczonych na wieszczenie poetyczne pochłania harmonia słowa. Zaprzec się jej nie był w stanie; przechodziło to jego siły i gdy z zaciśniętymi pięściami rzucał się na któregośkolwiek z rówieśników, stając w obronie honoru, dotkniętego przezwiskiem złośliwym i tonem, bronił także swego ideału—cyfry.

Za pośrednictwem cyfry, trafił do ekonomii politycznej.

Miał ją przed sobą w arytmetyce najpierw, w algebrze, geometryi, trygonometrii analitycznej, w wykreślnej następnie; odnajdował ją w fizyce, mineralogii, historii; do wszystkich prawie nauk wchodziła, we wszystkich się przewijała. Prosper ją wszędzie widział, lecz nigdzie mu się tak ponętną, tak na swoim nie wydawała miejscu, jak w ekonomii politycznej. W tej dopiero ostatniej uderzyła go wymowa cyfr, która się mu przedstawiła głębszą i piękniejszą, aniżeli najbardziej chwalone krasomówcze zwroty Demostenesa lub Cyncerona.

Niebo się niejako przed nim otworzyło, gdy w statystykę wejrzał.

W takim usposobieniu, w takim umysłowym nastroju, wstąpił w progi uniwersyteckie. Z nim razem weszło ostatnie przezwisko, nadane mu przez kolegów gimnazyalnych.

Świeżo wstępujących (fuksów) poprzednicy ich (bursze) wprowadzają w grono „obywatelstwa uniwersyteckiego”. Za granicą odbywa się to uroczyście w korporacyach, przy mowach, śpiewach i odpowiedniej uczcie. Brak korporacji zastępują mniej więcej liczne koleżeńskie po knajpach albo po stancyach

prywatnych schadzki. Na schadzkach dokonywają się przedstawienia, a przy nich ci, którzy przybysza znają, prezentują go bądź zwyczajnie: „oto taki a taki, z takiej a takiej szkoły, zapisuje się na matematykę, przyrodę, medycynę, prawo lub filozofię”; bądź też koledzy zdobywają się na mówkę, silą się na zaakcentowanie jej dowcipem. To ostatnie spotkało Prospera. Kolega jego, który na rok przed nim gimnazjum skończył, w następującej przedstawił go sposób:

— Stoi przed wami, koledzy, młodzian, mający domnie-maną wolę w piwie, winie lub w innych szlachetnych napojach, z absolutnem wykluczeniem wody, która jest nie napojem, ale ciecżą, rozpuścić żółte przy dziobie pręgi, wyniesione przezeń z gimnazjum. Młodziana tego, kwitnącego zdrowiem i przejętego domyślać się każącą do kieliszka ochotą, *populus vulgaris* zwie Prosperem Orzyńskim; lecz *populus* nieco oskrobany nadał mu miano Hermogenesa, znakomitego Hermogenesa, wielkiego retora, wslawionego tem, że języka w gębie zapomniał. Tego to przyszłego męża, przyszłą narodu chlubę, przedstawiam wam oto, koledzy, w tem przeświadczeniu, że z żółtodzióbstwa się wy-skrobie, nam sprawy dotrzyma i wszystkich nas w sławie dosię-gnie, jeżeli nas nie prześcignie. *Dixi.*

Na Prosperze przedstawienie to takie sprawiło wrażenie, że się o mało nie rozplakał. O stół łokieć oparł i pięści sobie na skroniach zacisnął. O słuch jego obły się chórem śpiewane wyrazy:

— Mówkę nam powie Her-mo-ge-nes... mówkę... mówkę...  
Mówkę nam powie Her-mo-ge-nes... mówkę... mówkę...

Przyśpiewek ten powtarzał się i powtarzał. Prosper się nie ruszał—kipiał wewnątrz. Siedzący obok niego kolega w bok go „delikatnie” szturchnął; chłopak spojrzął na niego z pod gniewnie ściągniętych brwi i następujące usłyszał wyrazy:

— Czyś niemy? czyś nagle oniemiał? Rzeknij słów kilka! Prosper na to nic.

— Daj, jałopie, na piwo! — odezwał się głos z drugiej strony.

Prosper sztuk kilka zdawkowej monety na stół rzucił, wstał i głową nikomu nie kiwnąwszy, wyszedł.

Taki krok wstępny do grona „obywatelskiego” zraził go mocno, nie do uniwersytetu, ale do „obywatelstwa uniwersyteckiego”.

„Czyż mi i tu spokoju nie dadzą!”

Nie zawróciło go to jednak z drogi. Zapisal się na wydział prawny i studyował ekonomię polityczną, którą na tym wydziale wykładano.

Gdy wiadomość o tem do Kółka doszła, pan Walenty i pani Walentowa nie umieli sobie zdać sprawy ze znaczenia wyrazów „fakultet jurydyczny”, których syn w liście użył.

— Fakultet jurydyczny? — powtarzał pan Orzyński—fakul-tet?

Nie wiedział, co to za zwierzę takie. W czasach onych, w sferze towarzyskiej, do której należał, panowały we względzie tym pojęcia mętne. Zapytałby Anusi, którą Prosper w niejednem, co się nauk tyczyło, objaśnił; ale Anusia od półtora roku do Kółka jako gość jeno zaglądała, mieszkając o dwie mile z okładem. Z takich, coby objaśnienie dąć mogli, w sąsiedztwie znajdowało się paru: księża proboszcz i wikary, dzierżawca Łęczyc, który gazety prenumerował, Sedynowicz eks-narzeczony Anusi, wreszcie marszałek Ruczajski.

Marszałek nadawał się najlepiej dlatego, że mieszkał najbliżej, powtóre, że od czasu wesela Anusi pan Walenty szczególnie jakieś powziął do niego zaufanie, p chodzące stąd, że mu wdawanie się z wielkim panem wielce pochlebiało. List przeto od Prospera wziął za pretekst, ażeby do Orek pojechać; że jednak nie nie nagliło, więc wspomniał o nieznanym wyrazie ekonomowi. Ekonom odpowiedział:

— Nie wiem, panie!

Wspomniał gumienemu; ten głową pokiwał i westchnął. Najszerzej rozgadał się arendarz.

— Fakultet?

— Cóż to znaczy?

— Chyba interes jakiś, geszeft. Albo ja wiem! Teraz interesów ludzcie wyuysłają tyle, że od samego o nich słuchania głowa pęka. Fakultet?

— Fakultet jurydyczny—odczytał pan Walenty.

— To jeszcze lepiej! O takim geszeftcie nigdym nie słyszał, ale słyszałem za to, co pan marszałek będzie stawiał wielkie fabryke.

— Jaką?

— Na cukier. To będzie fajn, bardzo fajn!

Żyd się pod jarmułką podrapał.

— Dlaczego fajn?—zapytał pan Walenty.

— Jak soli nie starczy, będziemy soli cukrem...

Którędy do szczęścia.



— At, gadasz!

— Nu, ja sobie gadam, ale ja tylko wiem, że Kółko co warte, to warte, a za Orki z pałacem i z folwarkami, gdyby je pan marszałek sprzedawał, nie dostałby połowy tego, co warte. A jeszcze i ta fabryka... Czy to ona za darmo stanie? Czy na nią nie pójdzie druga Orek połowa?

— Przecie marszałek taki rozumny—rzekł pan Walenty nawpół do siebie, nawpół do arendarza, który na te słowa oczy przymrużył.

Pan Walenty nie wysoko rozum marszałka cenił; miał go jednak za uczonego, to jest, za człowieka posiadającego świadomość o rzeczach do niczego nie przydatnych, o takich właśnie, do których, zdaniem jego, Prosper się garnał. Takie wiadomości, jak o krążeniu ziemi, o jej od słońca odległości, o planetach, gwiazdach stałych, mnogości światów i t. p., chociażby miały być prawdą, nie rozumiał, do czego służą. Nie rozumiał, na co ma dziedzic Kółka wiedzieć o położeniu Ameryki albo Australii: czy on tam kiedy pojedzie? Jeżeli o znaczenie zamiaru syna się dowiadywał, to dlatego, ażeby móżdżek w porę nieszczęściu zapobiedz. Co do „fakultetu jurydycznego”, arendarz naprowadził go na domysł, że to może interes jaki. Interesy bywają korzystne i nie korzystne, bywają i szkodliwe, zgubne. Chciał mieć o tem pojęcie jasne, dlatego wybrał się do Orek.

Orki znał, jak kieszenie własne; zarządzał w nich przez lat dwanaście w charakterze ekonoma kluczowego i mieszkał w ekonomii, którą po nim zajął następca jego. W ekonomii tej ożenił się, w niej po raz pierwszy ojcem został; syn przyszedł na świat w Kółku. Dużo wspomnień wiązało go do tej wsi, rozkosznej, pełnej sadów, rozrzuconej nad stawem i zgrupowanej malowniczo około wznoszącego się na wzgórzu dworu, przez arendarza kółkowskiego nazwanego pałacem. Do nazwy tej dwór posiadał tylko tyle prawa, że kryła go nie słoma, ale dachówka i że fasada, na słupach wsparta, przedstawiała się pokaźnie. Wznosił się bez piętra, na podmurowaniu, i był połączony z oficynami, w których mieściły się kuchnia, spiżarnia, pomieszkania służby i pokoje gościnne. Okalał go ogród rozległy, otoczony rowem i niską, na biało pokostowaną baryerą, o którą się opierał żywopłot. Obszerny podwórzec, z trawnikiem pośrodku, służył za tło zielone dla dużej, gęstej klombu róż, obsypującej się kwieciami we właściwej

roku porze. Na podwórze prowadziła brama, mimo której szła droga, oddzielająca dwór od wznoszących się naprzeciw zabudowań stajennych i folwarcznych. Droga dochodziła do toku, przerzynała wieś i przy grobli łączyła się z jedną z ważniejszych w okolicy linii komunikacyjnych, którą przejeżdżali podióżni i zatrzymywali się dla popasów lub noclegów w porządnym domu zajezdnym, dzierżawionym, naturalnie, przez żyda, kupczącego zbożem i dostawami. Młyn, gorzelnia, tartak nadawały Orkom znaczenie wsi, w której z gospodarstwem rolnem łączyły się przemysł i handel.

Pan Walenty znalazł to wszystko na palcach, o wszystkim wiedział. Przy kołowrocie pozdrowił dziada, który mu otworzył, po imieniu go nazwał i zapytał:

— Cóż tu słyhać u was dobrego?

— A cóż, wielmożny panie, wszystko dobrze: starzy wymierają, nowi się rodzą.

— Nie wymarło was jednak dużo, kiedy ty się jeszcze trzymasz.

— Czekam na moją kolej.

— Czekajże jeszcze długo i trzymaj się zdrowo—rzekł, dając mu miedziaków parę.—Czy pan marszałek w domu?

— Przez ten kołowrot nie wyjechał; jeżeli nie wyjechał przez tamten, to w domu.

Przejeżdżając przez wieś, zatrzymał się przed karczmą. Na widok jego do najtyczanki podbiegł miszurys i nizkie mu składał ukłony, ale zanim usta otworzył, pokazał się sar. arendarz. Miszurys na stronę się usunął. Arendarz podszedł, czapki uchylił i na pozdrowienie pozdrowieniem odpowiedziawszy, wystąpił z wymówką:

— Wielmożny pan od Orek tak blisko, a tak rzadko do nas zagląda, jakby Kółko o sto mil było.

— Nic dziwnego, panie Bernstein! Zając, jak się w legowisku umieści, siedzi w niem, póki go nie spędzą. Mnie nikt, Bogu dzięki, nie spędza, więc w Kółku kołkiem siedzę.

— To recht jest. Tak być powinno. Nie zrobi mi wielmożny pan ten honor i nie zajdzie na momencik do stancyi?

— Wyłazić z bryczki i włazić, wyłazić znów i drugi raz włazić, to, jak sobie chcesz, na starego za wiele.

— Pokosztowałby wielmożny pan szabasówki i przekąsił co nie co. Moja bułubuste szczupaka nadzieja.

— Chyba innym razem.

— Pogadalibyśmy trochę.

— Na pogadanie do Kółka, panie kupiec, wybierz się kiedy. W Kółku raźniej gadanie pójdzie.

— Nu, tak. Wielmożny pan do zięcia zapewne.

— Do Zarzyniec na Orki? Wstąpił do piekła, po drodze mu było.

— Nałożenia nie wiele: ćwierć milki, nie więcej.

— Pół mili z okładem.

— A niech i pół mili, to pół mili nałożyć warto dla starych znajomych w Orkach.

— To też do starego jadę znajomego.

— Do pana marszałka?

— Do pana marszałka — odparł pan Walenty z przyciskiem, wedle którego łatwo było poznać, że mówił inaczej, aniżeli dawniej, kiedy w Orkach był tylko oficjalistą.

Arendarz siwiejącą brodę pogładził, oczy nieco przynurzył i rzekł:

— Pan marszałek będzie rad wielmożnemu panu. On synka wielmożnego pana wspomina.

— Wspomina?—podchwycił pan Walenty.

— Dobrem słowem—odparł kupiec.

— Jam też właśnie, wedle mego Prospera, do marszałka się wybrał.

— Nu?

— Chłopiec wszedł w jakiś fakultet: chciałbym wiedzieć, co z tego będzie?

— Będzie, co Bóg da! A jam miszłał, co wielmożny pan wedle cukrowni.

— Czy to prawda?

— Prawda, a jakże. Toż ja wedle tego chciałbym z wielmożnym panem pogadać maleńkie gadanie.

— W Kółku panie Bernstein, w Kółku.

— Nu... niech tak będzie. Po szabasie pojedę do wielmożnego pana.

— Wio!—rzucił pan Walenty furmanowi rozkaz i żydowi na pożegnanie głową skinął.

Konie ruszyły, najtyczanka się potoczyła i, w kilka minut później, obiegłszy żwirową drogę, otaczającą trawnik, gdzie na różnym klombie jesienne już mieniły się barwy, stanęła przed gankiem dworskim.

— Sąsiada szanownego, tak rzadko widywanego!—marszałek powitał gościa w sieni i wprowadził go do kancelaryi.

— Panu marszałkowi dobrodziejowi powinno moje uszanowanie!—odpowiedział pan Walenty.

— Siadajcież, panie kochany! No, jakże? no, cóż? pani wasza zdrowa?

— Bogu dzięki.

— Anusia chyba was już udziadowała?...

— Jeszcze nie, ale to nastąpi. Moja kobieta już się do Zarzyniec szykuje. Na jakich tygodni parę zostanę słomianym wdowcem. Ha! no... cóż robić. Byle dał Pan Bóg szczęśliwie.

— Wątpić nie można. A syn?

— A właśnie syn pisał, mam list od niego...

To rzekłszy, ręką w zanadrze sięgnął i, listu w kieszeni bocznej szukając, rzucał wyrazy:

— Pisał, że wszedł w fakultet.

— Co to?—zapytał marszałek.

— Co? Bóg raczy wiedzieć.

List wy dostał i podał marszałkowi, który go oczami przebiegł i powiedział:

— Wybrał więc wydział prawa.

— Pisz, że wszedł w fakultet.

— Pisz, że wszedł na fakultet jurydyczny — poprawił marszałek z uśmiechem.—Fakultet jurydyczny a wydział prawa, to jedno i to samo.

— Prawa?—odezwał się pan Walenty z akcentem zagadkowym.

— Będzie się uczył prawa.

— Co mu z tego przyjdzie?

— Jeżeli pomyślnie nauki skończy, wykieruje się na prawnika i będzie mógł pójść drogą albo naukową, albo sądową, albo administracyjną, albo obrończą.

Widząc zaś po minie gościa, że ten bliższego potrzebuje objaśnienia, tłumaczył dalej:

— Może katedrę otrzymać, profesorem zostać, dzieła pisać.

Pan Walenty brwiami ruszył i ręką machnął.

— Może wyjść na sędziego, na prezesa trybunału cywilnego lub kryminalnego, na ministra sprawiedliwości, albo postarać się o służbę w jednej z gałęzi administracyjnych i ze stopnia na stopień dostać się na stanowisko wysokie.



I to pana Walentego nie wzruszyło.

— Albo adwokaturą się zająć.

— A! dziękuję—odezwał się.—Jeszcze czego brakowało...

— Z rozmowy jednak, jaką z waszym synem miałem, miarkuję, że mu się uśmiecha droga naukowa.

— Droga naukowa?

— Piękna to droga: daje sławę i pożytek.

Westchnął pan Walenty.

— Już to—zaczął po chwili, z odcieniem smutku w głosie—wyraźnie widzę, że się odtoczyło jabłko od jabłoni. Mnie Kółko w głowie, a mój syn o Kółko dba, jak o przeszłoroczny śnieg, albo, jak, z przeproszeniem, pies o piątą nogę. Dla dziecka człek się napracował, naharował, a dziecko, zamiast pracę ojcowską uszanować i z niej korzystać, idzie na rozdroże.

— Chłopak wasz, panie Walenty, na rozdroże nie wszedł. Mam nadzieję, że drogę właściwą wybierze—odrzekł marszałek, nie chcąc się w dyskusję wdawać.

— Wybrałbym tę, któraby go do Kółka sprowadziła.

— I to być może. Prawnicy do majątku dochodzą, dobra nabywają, przypuszczać się więc godzi, że chłopca waszego prawo nie tylko do Kółka sprowadzi, ale pomoże mu naprowadzić na Kółko wioskę jedną, drugą... W tym fachu podobne rzeczy zdarzają się łatwiej, niż w innych. Adwokaci umieją kółka nie tylko zaokrąglać, ale i rozdymać.

Panu Walentemu oczy się szerzej roztworzyły i blaskiem nadziei zajaśniały.

— Świącilyby się słowa pańskie, panie marszałku dobrodzieju!—zawołał nagle nawrócony.—Człowieka boli, gdy pomyśli, że praca jego w rękę dziecka na marne pójść może.

Po słowach tych pan Walenty zrobił ruch, oznaczający ochotę zakończenia wizyty.

— Zostań na chwilę jeszcze—przemówił marszałek.—Podadzą nam herbatę. Moja pani wyjechała do Karolostwa, którym, jak twoim Cerhowskim, szykuje się powiększenie rodziny. Wnuczęta mi się mnożą.

— Niech Bóg nie umniejsza—wtrącił pan Walenty.—I pan Edward, jak się ożeni, dziadunia prawnuczętami obdarzy.

— Kto wie, czy doczekam—westchnął marszałek.—Tymczasem, jak ty o jednym synu, ja o dwóch synach, o córce i o sześciorgu wnucząt mam do myślenia. Czyś słyszał?—zapytał.

— O czem, panie marszałku?

— O zamierzonym przedsiębiorstwie?

— A!... o cukrowni... Mówił mi mój arendarz, alem nie wierzył i dlatego się umyślnie w Orkach przed arendą zatrzymał, ażeby się od Bernsteina dowiedzieć.

— Cóż na to żydzi?

— Ot... tak... ni to, ni owo... Zdaje się, nie wiedzą sami, co o tem myśleć.

— Na pewno, nie wiedzą. Żydzi wyzyskiwać umieją to tylko, co jest, ale o otwieraniu nowych dla przemysłu i handlu dróg wyobrażenia nie mają... Wydusić, wysssać, w tem celują. Cukrownia przeto zaniepokoić ich musiała, jako nowość, i nie dziw, zmieni bowiem postać przemysłu i handlu w okolicy, handlu mianowicie, który jest ich specjalnością. Bernsteinowi zboże z rąk wypadnie.

— No, a to jak?—zapytał pan Walenty, którego również nowości wstrętem przejmowały.

— Dla cukrowni sadzić będziemy buraki, których nie potrzebują ani Gdańsk, ani Odessa i których na pniu kupować nie można.

Oczy pana Walentego przybrały wyraz szklany. Wpatrzył się w okno, a w duszy myślał sobie: „Co temu marszałkowi, człowiekowi staremu, nad grobem stojącemu, do głowy strześliło! Buraki? Przedstawił sobie zagony, zieleniące się runią w jesieni i na wiosnę, falujące zbożem, okryte następnie półkopykami, a dalej czerniące się skibami po oraczce na ziebl lub na par, okryte buraczyńcem, materiałem na boćwinę. Wydało mu się to wprost obrzydliwością, czemś nawet o pomstę do nieba wołającym; to zaś, że stary człowiek w podobnej rzeczy udział bierze, do głębi go oburzało.

Marszałek, jakby się domyślając oburzenia pana Walentego, zaczął:

— Byłbym się sam tego nie domyślił, bom stary, nie wiele mi się już należy i przytem nie poczuwam się zgoła do biegłości na polu przemysłowem. Pomysł to Błockiego, mego zięcia. Chwytał się on przedsiębiorstw rozlicznych, tracił, źle wychodził, ale właśnie przez to doświadczenia nabrał. „Kto się na gorącym sparzy, ten na zimne dmucha”. Tak czynią ludzie, nie zdający sobie z niepowodzeń sprawy. Błocki sparzył się razy kilka, poznał na czem dobre prowadzenie interesu przemysłowego polega, poznał też, jaki mianowicie przemysł zastosować się da do warunków miejscowych. Mówiłem z nim w tym względzie

dużo, omawialiśmy rzecz szeroko i ze stron wszystkich, rachowaliśmy, obliczaliśmy i przekonałem się, że cukrowarstwo ma u nas przyszłość. Bierze się do tego *viribus unitis*: moi synowie, zięć i ja. Ja dam firmę, złożymy kapitał zakładowy, na akcje podzielony, zimą zamówimy dyrektora, budowniczych, dozorców, sprowadzimy materiały, przysposobimy wszystko i, da Bóg doczekać wiosny, przystąpimy do stawiania budowli, ażeby z jesienią następną cukrownia w ruch puszczoną być mogła.

Pan Walenty w milczeniu wysłuchał wykładu marszałka i zanotował sobie jedną tylko rzecz, a mianowicie, że marszałek z zięciem „rachował, obliczał”. Na te dwa wyrazy w głowie mu strzeżło: „To rychtyg, jak Prosper”. Gdy do domu wracał, wyraził: „rachowali, obliczali” po mózgu mu koziółki wywracały i to sprawiły, że z ich powodu przyszłość Prospera, którą mu marszałek z dobrej przedstawił strony, wydała się wątpliwą. Ostatnią jednak decyzję zostawił do widzenia się i rozmówienia z Bernsteinem.

Bernstein obietnicy dotrzymał: w godzinę niespełna po zachodzie słońca, w sobotę, stawił się w Kółku. Pan Walenty przyjął go przy łojowej świecy; światło łamało się w lampkach, napełnionych płynem bursztynowym. Płyn ów przywiózł arendarz orkiski i z butelką w ręku powitał gospodarza domu.

— A oto wypijemy sobie po dawnej znajomości coś, po czem by się sam król obliżał, gdyby pokosztował; coś, co do gęby plinie niby i do żołądka niesie takie ciepło, takie ciepło, a, waj! Mi, dawni znajomi, robiliśmy ze sobą interesy.

W rogu stołu zasiedli, z lampek popijali; pan Walenty z lekka po stole palcami bębnił, a Bernstein prawił:

— Ta cukrownia ich zarżnie, ja powiadam, że zarżnie; a zaś dlaczego ja tak powiadam?... dlatego, że się do niej biorą panowie, co rachować nie umieją.

— Marszałek mi mówił, że rachowali i obliczali.

— Takież to i liczenie! Miał marszałek trzy klucze: gdzie one?

— Dał synom, każdemu po jednym.

— Miał swój klucz, czysty, jak kryształ, a dziś ten kryształ... co? Do połowy zapaskudzony...

— Wyplącił córce posag.

— Więc to liczenie? Więc to takie liczenie? Dobre liczenie powinno z grosza robić dwa, z dwóch cztery, z czterech osiem: czy nie?

— Prawda—odpowiedział pan Walenty.

— Gdyby tak marszałek był liczył, to, bez cukrowni, synowie i zięć dostaliby po cztery klucze każdy. To coś liczenie pana marszałka i pana Blockiego warte! Oni się zarzną, oni się zarzną!

— To by kogoś na nich nasadzić, ażeby im wyperswadował.

— Na co? Niech się zarzynają.

— Szkoda ludzi... dobrzy ludzie.

— Ja nie mówię, że nie dobrzy, ale ja mówię, co wielmożny pan taki dobry, jak oni... Może nie?

— Ta!—bąknął pan Walenty.

— Niech się oni zarzynają. Niech oni robią swoje, a my róbmy swoje. Oni do swojej fabryki będą potrzebowali buraki... wie wielmożny pan?... buraki.

— Wiem, oho! ja buraków sadzić nie będę.

— Jak się wielmożnemu panu spodoba, ale, gdyby wielmożny pan sadził buraki, a oni u wielmożnego pana kupować chcieli, to ja... ja—mówił, palcem o dekę piersiową stukając—ja, Nuchim Bernstein, zapłacę zawsze o pięć procent drożej, niż oni. Nu?

— Ależ ja nie będę sadził.

— Czy ja zmuszam? Ja nie zmuszam.

— Czyś już, panie kupiec, mówił z kim o tym interesie?

— A jakże!

Tu żyd wymienił kilku sąsiadów.

— Zgodzili się?

— Mam kontrakty przy sobie. W tem niema oszukaństwa żadnego. Kupiecka rzecz: ten daje tyle, ten więcej.

— Ale w kontrakcie moim będzie stało wyraźnie: „gdyby buraki sadził.”

— A jakże... a jakże. Tak stoi w każdym kontrakcie. Nu? to zgoda?

— Zgoda.

Dłonie sobie uściśnięły, z lampek pociągnęły.

Po ubiciu tego interesu, nastąpił układ o proso i fasolę, które pan Walenty miał na sprzedaż, dalej zawiązała się rozmowa o stosunkach rodzinnych. Bernstein zapytał o Prospera i o fakultet. Pan Walenty go objaśnił, że fakultet a prawo, to jedno i to samo, i że Prosper może się na adwokata wykie rować.





— *Git...*—rzekł kupiec.—Nic nie może być lepszego.

— Doprawdy?

— Nu? Adwokat pieniądze garściami garnie.

— To prawda, ale...

— Ale — podchwycił żyd — i to dobrze, że będziemy mieli adwokata sami dla siebie. Bo to z tą cukrownią będą kumedye... takie kumedye, że nie daj Boże! Oni liczą i nie doliczą się, to z tego wyjdzie taki gwałt, że trzeba będzie adwokata, ażeby nitki rozplątał.

— Więc z tym fakultetem dobrze wypadnie?

— Co by miało wypaść źle!

W rezultacie powyższej rozmowy, pan Walenty przesłał Prosperowi w liście aprobatę na fakultet i radę, ażeby się na adwokata kierował.

### III.

Pan Walenty do syna napisał; syn mu odpisał, że o adwokaturze zgoła nie myśli.

Odpowiedź ta srodze pana Walentego zirytowała. Zgorzyło go odrzucenie rady z pewnością dobrej, bo zaaprobowanej przez taką powagę, jak arendarz z Orek, który „słyszysz jak trawa rośnie”. Żydowski rozum pan Walenty w wielkim miał poważaniu, tem bardziej, że Nuchim Bernstein nie był to żaden ganef—była to powaga. Chciał znów do Prospera pisać i uszu mu natrzeć; chociaż mu pisanie nie szło całkiem gładko, byłby to zrobił niezawodnie, gdyby nie narodziny wnuczki; sprawiło to dystrakcyę, więc pisanie listu puścił w odwłokę. Przypominał sobie wprawdzie, zbierał się nawet, zawsze jednak przeszkodziło mu to, to owo—najczęściej: wypoczywanie. Zimowa pora na wypoczywanie jest przeznaczona, zwłaszcza dla ludzi starych a mających jakąś pasyjkę. Pana Walentego pasyą było polowanie na lisy, na upatrzonego, a ku temu najlepiej zima służy. W polowaniu tego rodzaju rozmiłował się za młodych jeszcze czasów i nabrał w niem wprawy, dzięki podniecie, tkwiącej w dochodzik, jaki skórki lisie niosły. Tą drogą poboczne dochody ekonomiczne powiększały się, corocznie, o mniej więcej poważną sumkę. W Kółku o dochody mu z tego źródła nie chodziło, mimo to pasyjka pozostała. Widok śniegu, okrywającego ziemię, nęcił go, jak pijaka nęci wiecha, wywieszona na znak, że pod nią gorzałki dostanie.

Jednocześnie z ustaleniem się sanny, rozpoczynał wycieczki myśliwskie; dawniej odbywał je samotnie, w jednokonnym sarneczkach, ze strzelbą w słomie ukrytą. Spoważniawszy, brał z sobą parobczaka, którego sadzał w nogach—bokiem, sam zaś

w futrze, w czapie, baranicą okryty, z siedzenia powozu. Poznał on na wylot zwyczajne lisie i zaskomicie lisy myszkujejące objeżdżać umiał. Parobczak się ani domyślał, że się ani spodziewał, pan Walenty jechał sobie, niby nie, niby się zgoła nie rozglądał; nagle strzelbę z pod baranicy wyciągał, bez trzasku kurki odwoził, w kizaki zmierzył—bęc!—i jest.

Wielkie mu to sprawiało zadowolenie. Dumny był z tego, że w lisie futra zaopatrzył żonę, siebie, córkę i syna. Przyszło mu na myśl, że teraz kolej na zięcia; dalej przyjdzie wnuczka, dalej wnuk, następnie wnuk albo wnuczka, i tak dalej, i tak dalej. Zaznaczył się dla niego cel życia, życia dla swoich, nacechowanego udzielaniem się bezinteresownem; sprawiało mu to zadowolenie wielkie. W naturze ludzkiej tkwi tak zwany przez filozofów nowoczesnych „altruizm”, charakteryzujący łączność społeczną. Pan Walenty miał jeszcze na widoku przyszłą synową i wnuczęta, nazwisko Orzyńskich noszące, i był przekonany, że dla spełnienia tego zadania, Bóg życie mu przedłuży.

Wycieczki na lisy pociągały za sobą potrzebę wypoczynku. Za powrotem zastawał stół nakryty do obiadu lub do wieczerzy, stosownie do tego, o której dnia porze wyjeżdżał—rano, czy po południu. Po obiedzie — drzemka; po wieczerzy — maryasz. A przy tem dnia nie było, żeby nie nastreczył się interesik jakiś, jakaś dystrakcja: to z zawiadomieniem albo z zapytaniem przyszedł ekonom lub gumienny, to ktoś ze służby coś zbroił, często zaglądał arendarz, niekiedy trafiał się gość. Zdarzały się wprawdzie niepogody zimowe—śnieżyca, zadymka, mrozy, w które nosa za drzwi wytknąć trudno; w taką porę można by tomy napisać, lecz niepogody gniewały pana Walentego i nie tylko odbierały mu ochotę do pisania, ale pozbawiały apetytu. Do napisania listu potrzebował zupełnego spokoju umysłowego, chciał bowiem napisać tak, ażeby Prospera przekonać.

„Kurczęta chcą być mędrze od kur...” —powtarzał sobie w myśli.

Aby przekonać chłopca zdobyć się należało na argumenty mocne, w żaden sposób obalić się nie dające.

„Odmówię mu alimentów—kręciło się panu Walentemu po głowie.—Napiszę: albo się kieruj na adwokata, albo wracaj do Kółka, bo ci grosza nie poślę.”

Miał jednak serce za miękkie, ażeby podobne postawić ultimatum, czuł bowiem, że gdyby je postawił, a syn mimo to



rady nie usłuchał, nie byłby w stanie odmówić mu zasiłków pieniężnych. Wypadało przeto jakichś łagodniejszych a zarazem przekonywujących użyć argumentów.

„Otóż to, panie, sęk a w sęku dziura!”, powtarzał sobie i odkładał, odkładał, aż nadeszły święta, które go jeszcze łagodniej usposobiły, z racji rozrzewnienia, jakiego doznał, nie widząc syna przy sianem zasłanym stole wigilijnym. Zastąpił go zięć, który przyjechał z żoną i dzieckiem; co zięć jednak, to nie syn. Przy łamaniu się Chlebem anielskim, pan Walenty wspomniał Prospera i o mało płaczem nie wybuchnął.

— Mógłby przecie przyjechać—rzekł.

— Byłby w porę nie zdążył—zaprzeczył zięć.—Przytem podróż tam i z powrotem tyle by zabrała czasu, że na pobyt w domu nie pozostałoby mu więcej nad dni parę. A, broń Boże, zawieruchy!

Pan Walenty uznawał to, wszelako przy barszczu z uszkami tak mu się koło serca mdło zrobiło, że zapytał żony:

— Kasiu, nasz Prosperek nie ma barszczu takiego?

— Boże miłosierny!—westchnęła pani Orzyńska.—Musi mu tam być smutno, bardzo smutno!

— Ha! sam sobie winien—odparł pan Walenty z przyciskiem—zachciało mu się tam tego uniwersetu, jak się dzieciom zachciewa szybki z okna. Ma za swoje!...

— E!—podchwycił zięć.—Studentom w uniwersytetach na pocieszeniach nie brakuje... Proszę posłuchać, co o tem opowiada Górski. Bok zrywać! Weszło im...

— Cóż Górski gada?—zapytał pan Walenty.

— Niestworzone rzeczy, a!... Fikle, zbytki, świat przewracają do góry nogami. Prosper chyba w tem wszystkim udział bierze.

— Zawsze to, zawsze nie ze swoimi. Od dziecka nigdy wigili w domu ni razu nie chybił.

Pani Orzyńska zapłakała.

— Ależ, mamol!—odezwała się pani Cerhowska.—Cóż znowu! Przecie Prosper już nie dziecko.

— Dla nas zawsze dziecko.

Te słowa żony do głębi serca przeniknęły panu Walentemu; właśnie miał przed sobą, na talerzu, dzwono karpia z szarym sosem, rodzenkami i migdałami. Na dzwono to patrzył i na płacz mu się zebrało. „Dziecko... nasze dziecko”. Wyobraził

sobie to dziecko naprzeciwiwo, tam, przy stole, a przed niem takie dzwono. „Jego tam niema!” Z głębi piersi westchnął i na karpia patrząc, przemówił:

— Moja wina, tylko moja wina!

Ze zdziwieniem popatrzyli na niego: zięć, córka, żona nawet.

Zapanowało milczenie, oczekiwano na rozwiązanie zagadki.

— Moja wina—powtórzył pan Walenty.—Czy nie mogłem posłać Prosperowi na ekstra-pocztę. Ekstra-pocztą byłby przyjechał, ekstra-pocztą odjechał i z nami wigilię spożył.

— Ojciec mu opłatek posłał?—odezwał się pan Cerhowski.

Pan Walenty spojrział na żonę; pani Walentowa spojrziała na męża; pokiwali do siebie głowami z akcentem, oznaczającym, że się oboje wzajemnie obwiniali. O wysłaniu opłatka zapomnieli.

„Wynadgrodzę mu to” —pomyślał sobie pan Walenty.

Powziął postanowienie posłać synowi wiązanie noworoczne, pod postacią kwoty pieniężnej.

Postanowienie to stało się balsamem pociechy dla duszy. Oblicze mu się rozpogodziło i już ze spokojnem sumieniem spożywał smażonego szczupaka z kapustą, karasie w sosie piwnym, liny z czosnkiem w galarecie, kutią z makiem i miodem, suszenie, łamańce. Po chwili znów syna wspomniał, ale już nie tak żałośnie.

Po wieszce, przy fajeczce, zięć nawiązał rozmowę o fajkach; rozmowa z razu wydawała się gadaniną, ale w dalszym ciągu pokazała się poważną, gdy pan Oktawiusz zapytał:

— A cóżby, ojcie, gdybyśmy tak fabryczkę założyli?

— Jaką?—odparł pan Walenty z zagadkowym na ustach uśmiechem.

— Fajek.

— Fajek?

— Glinę mamy, drzewo mamy, wodę mamy.

— I fajki lepić umiemy.

— Wielka mi rzecz!... Gdzie się lepią garnki, miski, hładuszczyki i koniki do świstania, tam i fajka się zlepi... Słyszałem, że kiedyś wyrabiano u nas znakomite stambułki.

— Wyrabiano i porcelanę.

— To znaczy, że trzeba zebrać tylko...

— A dlaczego fabryki porcelany i fajek pobankrutowały?

Uwaga ta zastanowiła pana Oktawiusza; na chwilę zamilkł, pomyślał i odpowiedział:

— Bo tym, którzy fabryki zakładali, brakło cierpliwości i wytrwałości. Cierpliwości i wytrwałości ani ojcu, ani mnie nie zabraknie.

— A za twego syna, jeżeli go mieć będziesz, zaręczysz?

— Po co iść tak daleko?

— Ty nie idź, ale ja pewny jestem, iżby Prosper o fajkach słyseć nawet nie chciał.

— Więc nie mogę na spółkę z ojcem liczyć?

— Nie. Spółka? O! nie—odrzekł krótko i po chwili, po ciągnawszy razy parę mocno z cybucha, dodał:—A to, panie, epidemia spółek nastąpiła! Marszałek zawiazuje spółkę do cukru, ty chciałbyś zawiązać spółkę do fajek. Ciekawym, jaki jeszcze komu koncept do głowy strzeli? Ja nie do spółek. Ot, chciałem do spółki wziąć Prospera...

— Adwokatura spółce się nie sprzeciwi.

— Ale on się sprzeciwi adwokatrze.

— Jakto?

— Nie wiesz? Nie chce się na adwokata kierować.

Pan Oktawian ramionami ruszył.

— Bernstein adwokatrę zachwalał—mówił pan Walenty dalej—ale Prosper uparł się.

— Cóż ojciec na to?

— Ja? Poślę mu<sup>o</sup> na Nowy rok grosza trochę, a potem... napiszę.

— Napisać razem z posyłką.

— A, nie!... Znaczyłoby to, jakbym go pieniędzmi ująć chciał. Co to, to nie. Gotów by mi pieniądze odesłać. Ty go nie znasz: rogata dusza. Ale tak: najpierw poślę mu trochę pieniędzy, na wiązanie noworoczne. Ucieszy go to... zabawi się.

— Książek kupi—wtrącił zięć.

— Zabawi się w książki... ucieszy się. Ja wytrzymam z jaki miesiąc i potem dopiero napiszę: mój synu, pod ojcowskim zaklinam cię błogosławieństwem, jeżeli ci mój spokój miły, na adwokata się kieruj. Co myślisz?

— Może to będzie dobrze...

— Napiszę mu, co powiada Bernstein i zaknę go jeszcze na żydowski rozum.

Plan taki wydał się panu Walentemu doskonałym, do celu prowadzącym niezawodnie. Wykonanie go nie przedstawiało trudności, ograniczało się bowiem do ułożenia odpowiedniego listu; tę trudność usunęła obecność Anusi i zięcia. Spólnemi siłami ułożono list taki, któryby w niczem miłości własnej Prospera zadrasnąć nie mógł. Zaczynał się od pochwały zamiarów jego, następnie wzmiankował o posylce pieniężnej i w zakończeniu błogosławił zamiarom, które nie mogą być inne, jeno takie, ażeby z nich wyniknął pożytek dla ludzi i pociecha dla rodziców.

Arendarz list z pieniędzmi na pocztę zawiózł.

Poczta, najbliższa od Kółka, listy i posyłki ekspedycywała raz na tydzień. Ten szczegół ważną w wypadkach życia Prospera odegrał rolę, dlatego zaznacza go się na tem miejscu.

W epoce posłańców „umyślnych”, z czasem nie rachowano się wcale. Dzień, dni parę, tydzień, tygodni kilka różnicy nie stanowiły—z terminami się nie liczone.

List z pieniędzmi złożył arendarz kolecki we czwartek, po odejściu poczty; poczta go pod wskazanym na kopercie adresem wyprawiła we czwartek następnym—w tydzień później.

Po załatwieniu się z wysyłką pieniężną, państwo Orzyńscy na drugie święto, na Trzech Króli, wybrali się do Zarzyniec. Córce, pragnącej rodziców ugościć, odmówić nie mogli. Młoda gospodyni przyszykowała się zawczasu, powziąwszy z góry zamiar prosić ich do siebie i zatrzymać jak można najdłużej. Matka się wymawiała z powodu przędzy, z którą się załatwiała zimową porą; uprosić się jednak dała. Tłumoki popakowano z wieczora i nazajutrz, po wczesnym obiedzie, przed ganek zajechały jedne kryte sanie i zabrały matkę, córkę, wnuczkę i niańkę; zajechały kryte sanie drugie i zabrały teścia i zięcia. Przy jednych były zaprzężone cztery konie w lejc, przy drugich także cztery konie w lejc; jedne były łubiaste i drugie łubiaste.

Pogoda się zapowiadała dobrze, lubo przewidywać należało, że potrwa dłużej nieco, niż zwykle. Przez poprzedzające ją dni dwa, sypał śnieg bezustanku i pozasypywał drogi; w takim razie jazda na lądzie podobna jest do płynięcia po morzu, tak dalece iżby nieraz kierować się należało wedle busoli. Sposobu tego jednak, używanego w podróży po krajach nieznanych, nie pomysłano stosować u nas do podróży zimowych, zastępując go za pomocą wiech, wbijanych wzdłuż traktów na początku zimy,



i wywracanych przez wiatry w porze, kiedy się ich potrzeba najbardziej uczuwać daje. Dlatego też pan Walenty, wybierając się do Zarzyniec, przedsięwziął ostrożności stosowne.

— Droga będzie kopna i zasypana—mówił—jeżeli przeto wyruszymy około południa, to ludzie porobią ślady i za widna jeszcze do Zarzyniec zaciągniemy.

Liczył na to, że dobre konie zdołają we cztery godziny przebyć odległość, przebywaną w warunkach zwyczajnych w godzin dwie; liczył oraz na to, że ponieważ śnieg się wypadał przez dwa dni, więc padać więcej nie będzie; jako też na to, że wiatrom, przez wzgląd na niego, na jego żonę i na jego córkę z małym dziecięciem, nie zechce się dmuchać i zadymki wzbijać. Tego ostatniego nie wróżył spokój, jaki przy zasuniętem mgłą siwą niebie w powietrzu panował. Przeżegnawszy przeto sanie, odwożące kobiety i te, do których sam wsiadał, z ufnością w przyszłość spoglądał, nie sięgającą dalej, jak do wieczoru.

Sanie za saniami gładko się przez wieś przesunęły, konie parskały, baba z pełnemi wiadrami przez drogę przeszła: wszystko to zapowiadało podróż pomyślną. Za wsią sanice w śnieg się worały i ciężkość jazdy czuć się dała.

— A co tam?—z głębi budy zapytał pan Walenty furmana.

— A nic, proszę pana—była odpowiedź.—Ciężko konie idą, niby w pługu. Wiaterek w oczy.

— Niesie?

— Ot... trochę.

— Wyprzedź no tamte sanie!—dał rozkaz.

Furman w bok z drogi zjechał, bat rozwinął, raz i drugi z bata palnął, silnie z piersi „wio-hi!” huknął i, mimo śnieg głęboki, wyminął sanie wiozące niewiasty.

Pan Walenty uczynić to kazał, ażeby przewodniczyć i drogę torować.

Na drodze furmanowi zalecił:

— Oglądaj się na tamte sanie!

A w duszy wymówił życzenie, modlitewnem westchnieniem poparte:

„Byle się tylko wiatr nie wzmógł.”

Z życzeniem pana Walentego stało się, jak z mnóstwem naszych życzeń. W pół niespełna godziny, znów z głębi budy usłyszał furman zapytanie:

— A co tam?

— A nic, proszę pana.

— Śnieg niesie?

— W same oczy.

— A tamte sanie?

Furman z siedzenia wstał, w tył się zwrócił, przez wierzch budy popatrzył i odpowiedział:

— Wloką się.

— Byle nie odstawały—odezwał się pan Walenty głosem zwyczajnym.

— Moje konie nie odstaną—odrzekł pan Oktawiusz.

Jazda szła powoli, tak powoli, że poczynało być wątpliwem, ażeby się podróż skończyła w cztery godziny. Szczęściem, na drodze leżało wiosek parę i stało karczem kilka, a o pół mili niespełna od Zarzyniec ciągnęła się wieś duża, Kopczyniec, do której się dostawszy, można było myśleć, że się już jest w Zarzyncach. Od wioski więc do wioski, od karczmy do karczmy, od krzyża do krzyża, nasi podróżni o zmroku do Kopczyńca dojechali. Przy każdej karczynie zatrzymywano się dla dania wytchnięcia koniom, dla ogrzania gorzałką służby i dla dowiadywania się o paniach w saniach drugich. Zatrzymano się i przy karczynie kopczyńskiej.

— No... nareszcie... chwała Bogu!...—wyrzucił z piersi pan Oktawiusz, wydobywając się z budy.

Podszedł do drugich sani.

— Jakże?—zapytał.

— My w Kopczyńcu?—zadzwonił z głębi sani srebrzysty głosik pani Oktawiuszowej.

— W Kopczyńcu.

— Czybyśmy tu przenocować nie mogli?

— Co?—odparł pan Oktawiusz tonem zdziwienia, połączonego z lekceważeniem. Przecież my w domu prawie!

— Mila jeszcze.

— Pół mili niema. Zarzyniec za górą.

— Ale jary.

— Co tam jary!

— Gdybyśmy, broń Boże, zbłądzili...

— Ale!... Trafilibym z zawiązanymi oczami.

Propozycja pani Anny przebrzmiała bez echa. Konie się wysapały, furmani po kieliszku gorzałki dostali, panowie fajki zapalili—ruszono dalej.

Przed Kopczyńcem czuć było wzmaganie się podmuchów wiatru; za Kopczyńcem rozsrożyła się zawieja w całej grozie zimowej burzy. Wiatr hucząc, szumiąc, wyjąc i jęcząc, wzbijał w powietrze tumany śniegu i niósł je, jak huragany piasek w pustyniach afrykańskich. Śnieg drobnutki zapełnił atmosferę, oblicza smagał, powieki zlepił i potęgował ciemność, która nic widzieć nie dozwalała. Podróżni za wsią z razu jechali przed siebie, nie wiedząc na pewne dokąd zmierzają. Pan Kajetan zalecił furmanowi:

— Tylko prosto... prosto: droga jak wystrzelił.

Furman pana Walentego zalecenia się trzymał, łypając powiekami, lejce dość często ściągając i starał się prowadzić zaprzęg w kierunku oznaczonym. Kiedy niekiedy, natrafiwszy na przestrzeń ze śniegu sypkiego ogołoconą, konie raźniej ruszały. Mniemano, że się niebawem Zarzyńce pokażą, gdy nagle konie lejcowe znikły a dyszlowe, splątane, zaledwie furman opamiętać zdołał, lecz sanie na bok się pochyliły.

— Stój!... prrr!... he!...—krzyknął pan Walenty.

— Prosto!—zawtórował mu pan Oktawiusz.

Okrzyki ich stłumił huczący wicher, a rozkazów wykonywać nie było komu, albowiem wszystko, co żyło i nie żyło, w śniegu leżało. Leżały w śniegu konie, leżeli obaj służący, leżały sanie, leżeli panowie. Panom było i najwygodniej i najniewygodniej: najwygodniej dlatego, że ich okrywały futra, baranice i kilimki; najniewygodniej dlatego, że się buda przewalała w taki sposób, iż z niej wyleźć nie można było; przytem wydawało się, jakby się sanie powoli w jakąś głąb zsuwały. Sytuacja przedstawiała się groźnie, tem groźniej, że do rozpatrzenia się w niej przeszkadzały ciemność, zawieja i wycie wichru; a nadto, spodziewać się należało, że na to samo miejsce lada chwilka nadjadą drugie sanie. Wydobycie się z budy jak najprędsze było potrzebą nagłą, której uczyniłby zadość pan Oktawiusz, gdyby go teść nie przywalił sobą; pan Walenty zaś byłby wyskoczył, gdyby mu nie przeszkadzała tusza.

— Jezu, Marya!...—zawołał, szarpiąc się.

— Niech się ojciec podniesie trochę!—wezwał zięć.

— Wyłaź!

— Oh!—jęknął pan Oktawiusz, czyniąc wysiłki nadaremne.

— Wyłaź! Rękę mi podaj!

— Kiedyż nie mogę! Niech się ojciec...

— Wyłaź-że!

— Ależ...

— Wylaż, błaznie!!—krzyknął wreszcie pan Walenty, tracąc cierpliwość na myśl, że się lada oka mgnienie znaleźć może pod kopytami koni, wiozących jego żonę, córkę i wnuczkę.

— Co to błaznie!—odkrzyknął pan Oktawiusz.

— Wylaż!

— Ja nie żaden błazen!

— Wylaż, mówię ci!

Rozkazujące wezwania pana Walentego odniosły ten skutek, że się pan Oktawiusz skurczył, napiął, natężył i teścia z siebie zrzucił. Następnie łatwiej mu już z budy wyleźć przyszło. Wylaż z myślą o nadjeżdżaniu drugich sani; sanie jednak nie ukazywały się wcale. Napróżno wzrok i słuch natężał; wzrok ciemności przebić nie był w stanie, w słuchu wichry wyły i jęczały.

Z wyciem i jękiem wichrów wpadł mu w uszy wyraz:

— Oktawiuszu!

— Aha! Oktawiuszu? A nazwałeś mnie błaznem...

Słowa te pochodziły od pana Walentego; były rozpaczliwe. Wzruszyły one zięcia, o urazie zapomnieli, pospieszył do teścia i z niemalym trudem wyciągnął go z głębi budy, do pół śniegiem, a w drugiej połowie tłumokami, zawiniątkami, sianem i różnemi rupieciami zawalonej; wyciągnął go na stronę, z której się sanie pochyliły i w której pod stopami twardy grunt uczuwać się dawał.

— Ach! ach!—stękał stary.—Kasia?... Anusia?...

— Niema ich.

— Gdzież one?

— Bóg święty wiedzieć raczy.

— Bazyli! Michał!

Były to imiona furmana i lokaja.

— Nie widziałem ich.

— Gałgany! Uciekli?

— Nie, to być nie może.

— Gdzież się podzieli?

Na to zapytanie odpowiedzieć było trudno. Rzecz się miała tak: siedzący na koźle, gdy się sanie przechyliły i uległy nagłemu szarpnięciu koni dyszlowych, niby z procy wyrzuceni, w śnieg jeden za drugim powpadali. Zapadli głęboko i wygrzebywać się musieli długo. Właśnie, kiedy pan Walenty o nich



zapytał, jeden sanie ręką namacał; ten też, a był to furman, niebawem obok panów się znalazł. Poznali go po klątwach, które ciskać począł.

— Bazyli!

— Słucham!

— Gdzież się podziewasz?

— Czy ja wiem! Rzuciło mną, że niech Pan Bóg broni.

Myślałem, że już mi na koniec przyszło.

— Tamte sanie?

— Ich-że niema?

— No, niema... Co się z niemi stało?

— A cóż! Myśmy się w jar przewalili, w jar zdaje się ten, co się od krzyża zaczyna na lewo.

— A one? Czy szły za nami?

— Także szły od Kopczyńca; a tam dalej, to już ja nie wiem: nic widzieć nie mogłem i nic słyszeć nie mogłem.

— Cóż się z niemi stało?

— Bóg to miłosierny raczy wiedzieć.

Los kobiet mocno pana Walentego i pana Oktawiusza zaniepokoił, tem bardziej, że najmniejszego nie było podobieństwa z pomocą im przyjść, ani się domysleć, jaka je spotkała przygoda. Przypuszczać można było wszystko co najgorsze: jeżeli w jaką głębię wpadły—podusić się mogły. Pana Walentego i pana Oktawiusza srogi owładnął niepokój, połączony z zupełną bezradnością, bo nawet sami sobie pomódz nie potrafili, pomimo, że ich było czterech chłopów, a między nimi trzech młodych, zdrowych i silnych. Próbowali wydobyć ze śniegu konie, ale próby zaniechać musieli. Panowie futrami się pookrywali i przez noc całą przysłuchiwali się muzyce wichrów; słudzy w śniegu deptali i utrzymywali w sobie krążenie krwi za pomocą bicia dłońmi o ramiona.

Niepokój srogi przeszkadzał zdrzemnąć się panom Walentemu i Oktawiuszowi; inaczej byliby łatwo pod baranicami i wilczurami usnęli.

Niepokój i paniom wczasu zażyć przeszkadzał, w żadnym jednak jarze, czy wądole, nie pod śniegiem, ani w śniegu, ale w zarzynieckim dworze, w ciepłe i wygodach. Małżonkowie ich nie dojechali, one dojechały. Stało się to w sposób zupełnie naturalny. Do domu zawiozły je konie, bez udziału furmana, który, straciwszy z oczu w tumanach śniegowych sanie pana Walentego, tyle miał rozsądku, że lejce puścił wolno, bat zwinął,

czapkę na oczy nasunął: na konie się spuścił. Konie podążyły do żłobu—prowadził je instynkt, drogi się trzymały, jary wymijały, przez mostki przechodziły i gromadkę ludzi, której losy na nich spoczywały, na miejsce dostawiły. Panie były pewne, że panowie je wyprzedzili; nie zastawszy ich, najpierw się ździwiły, następnie zaniepokoiły się trochę, dalej niepokoić się poczęły coraz bardziej, наконец, gdy nie przybywali, domyśliły się, że zblądzić musieli.

— A mówiłam Oktawiuszowi: przenocujmy w Kopczyńcu... Prawda, mamó, że mówiłam?

W wyobraźni kobiet zjawiać się poczęły straszne, przerażające obrazy; wyobraziły sobie pana Walentego i pana Oktawiusza w zębach wilczych. Gdy do tego stopnia niepokój doszedł—nastąpiło to około północy—pani Anna poruszyła całą służbę dworską i folwarczną, wyprowadzić kazała ze stajni wszystkie konie i cały ten regiment pchnęła na pola, leżące pomiędzy Zarzyńcami i Kopczyńcem, z rozkazem szukania panów.

Przypuszczała, że ich wilki pożarły; przypuszczała atoli i to, że nie pożarły jeszcze, że się rozpaczliwie od drapieżników bronią, że tylko pożarcie im zagraża. Na jej rozkaz, parobków i stajennych, jako też ofycjalistów wyruszyło głów piętnaście. Najpierwszy wybrał się pisarz, młody chłopiec, w którym krew zagrała na myśl, że z wilczym rodem potykać się będzie—uzbroił się, wziął strzelbę i kordelas. Ostatni wyjechał ekonom, człek w wieku średnim, który się nie uzbrajał wcale, myślał sobie bowiem, że jeżeli wilki zjeść miały czterech ludzi i cztery konie, to zjadły, i pomoc na nic się nie przyda. Tak sobie myślał, ale się z tem nie odzywał i zbawców jednego po drugim wyprawiał, naznaczając im miejsce zborne przy karczmie, leżącej tuż za wsią.

— Tam na mnie czekajcie—mówił każdemu.

Przy karczmie zebrali się, a ekonom, nadjechawszy, w te się do nich odezwał słowa:

— Gdybyśmy pojechali kupą, to... dyabli wiedzą, w którąby nam obrócić się stronę: ślepie człowiekowi wylażą... Chybaby kto najprzód z własnej wywiedzieć się zechciał ochoty...

— Ja!—wyrwał się pisarz.

— Jedź, wymiarkuj, ażebyś nam potem drogę mógł pokazać.

Pisarz strzelbę opatrzył, skałkę przykręcił, kordelas przy-mocował, na koń wsiadł i ruszył.

Nie było go z kwadrans. Wrócił zziębnięty i śniegiem przysypany.

W szynkowej izbie, oświetconej kopczącym kagankiem, parobcy pokotem spali; i ekonom spał, o stół głowę oparłszy.

Pisarz uważał za rzecz zbyteczną zwierzchnika swego budzić i raport mu zdawać. Do pieca dłonie przyłożył, wstrząsał się, ruszał i, gdy się nieco ogrzał, za przykładem parobków i ekonomy przyległ i zasnął. W tym stanie wyprawa do świtania doczekała. O świcie, ekonom huknął:

— Ano! hej! Do południa spać myślicie?

W chwil kilka później piętnastu jeźdźców, ci na siodłach, owi oklep, wyjechało z przed karczmy, kierując się ku Kopczyńcowi.

— Na drodze coś się nam pokaże—rzekł ekonom do jadącego obok pisarza.

Nie omylił się. Nad ranem wiatr opadł i przy świtającym dniu można było oglądać szerokie pola i na polach tu wydmy, ówdzie góry śniegowe. Nareszcie pokazały się sanie drabiniaste a na nich: żyd woźnica; za nim zaś, na siedzeniu słomą wypchanem, dwóch ichmościów w futrach.

— Dalibóg, że!...—krzyknął ekonom, gdy się z podróżnymi zrównał.

Podróżnymi byli: pan Walenty i pan Oktawiusz. Jechali najętym w Kopczyńcu furmanem.

W kilku słowach rzecz się wyjaśniła. Po przycichnięciu wiatru i zaświtaniu dnia, kopczyńscy ludzie poszli, za sprawą wysłanego na zwiady furmana, sanie i konie pana Walentego z jaru wydobywać, a panowie Walenty i Oktawiusz najętą podwodą do Zarzyniec ruszyli. W pół godziny później, we dworze zapanaowały uradowanie i uspokojenie.

W następstwie wypadku tego, pan Walenty dni kilka w łóżku przeleżał, dni kilka wypoczywał, dni kilka na lisy polaował i po dwóch z górą tygodniach pobytu u córki, powrócił do Kółka, gdzie zastał list od Prospera, a w parę dni później otrzymał drugi.

#### IV.

Pierwszy list od syna mocno pana Walentego zaniepokoił, drugi wprowadził go w stan, do którego określenia słownik nasz wyrazu nie posiada, więc nazywamy go: konsternacją. List ten starego skonsternował, choć był tylko pierwszego uzupełnieniem i wyjaśnieniem; pierwszy zawierał w sobie na wstępie powinszowanie Nowego roku, w drugiej zaś połowie życzenie przeniesienia się na uniwersytet zagraniczny.

„Gdybyś się, ojcze, nie sprzeciwił i na drogę mi przysłał, o! jakieżby to dla mnie wielkie było szczęście.”

— Także!... Jeszcze co!...—powiedział pan Walenty głośno i obmyślać począł ów list, który do syna pisać zamierzał.

„Zagranicy mu się zachciewa? Młode piwo... szumi... szumi inaczej, niż młodzi szlachcice, co po jarmarkach bąki zbijają, zawsze jednak szumi... Czy mu się w głowie nie przewróciło? Czy mu się nie wydaje, że Kółko to wielki, pański majątek, i chce po pańsku sobie poszumieć, kiedy mu zagranica do głowy strzeliła?”

Tak myślał pan Walenty i do pisania się szykował, gdy niby piorunem rażony został, po odczytaniu listu następnego. W liście tym o niczem innem, tylko o zagranicy była mowa, nie jako o życzeniu, ale jako o czynie dokonanym. Prosper dziękował za pieniądze i zawiadamiał, że wyjeżdża i przesyła rodzicom pożegnanie.

„Dokąd jadę, nie wiem na pewne—słowa listu jego.—Będę szukał wykładów ekonomii politycznej i statystyki, będę się dowiadywał, informacye brał. Ciągnie mnie do Anglii, do ojczyzny Adama Smitha, ale i do ojczyzny J. B. Saya pociągają. W krajach, które takich mężów wydają, nauka pełnem



płynąć musi korytem. Ach! ojcie drogi, jakże ja ci wdzięczny za dostarczoną mi możliwość. Liczę na to, że mi i nadal zasiłków nie odmówisz, zasiłków nie większych nad te, jakieś mi wyznaczył na edukację moją uniwersytecką.”

Zaszło nieporozumienie pomiędzy ojcem a synem, a winna temu była po części poczta, po części niejasność listu pana Walentego, dołączonego do przesyłki pieniężnej. Dzięki poczcie, listy się krzyżowały i Prosper list ojcowski wziął za odpowiedź na list swój, w którym wyraził pragnienie przeniesienia się na uniwersytet zagraniczny. Potrzebne mu były pieniądze na drogę; ojciec pieniądze przysłał: osiągnął więc to, czego pragnął i bez najmniejszej straty czasu wybrał się w podróż, party pociągiem do nauki i chęcią zerwania z niemiłymi mu stosunkami koleżeńskimi. Natura nie usposobiła go na bursza, a młodość nie zopatrzyła w doświadczenie, nauczające skłonności i upodobania własne stosować do skłonności i upodobań otoczenia.

W czasie owym, ekonomika i statystyka były czemś, nakształt wilka żelaznego. Wiedziano o nich i uważano je za rzeczy nieciekawe, entuzjazmu wśród młodzieży niebudzące. Koledzy uważali Prospera za ekscentryka i traktowali go odpowiednio; nie dziw przeto, że pragnął z pośród nich jak najprędzej się wyrwać.

„Ja, profesor i książki...” — tak sobie w myśli przedstawiał pobyt na uniwersytecie zagranicznym, gdzie mu nikt „procentu” wypominać nie będzie, gdzie go nikt „Hermogenesem” nie nazwie, gdzie, nieznany wśród nieznanym, obcy wśród obcych, zgłębi przedmioty, wyłącznie umysł jego zajmujące. Koledzy go nie rozumieli, był dla nich dziwakiem: odwracał się od spekulacji filozoficznych, od nauk chlebowych, od zabaw i rozrywek koleżeńskich, od miłostek, od wszystkiego, co ich zajmowało.

Czyż mógł go zrozumieć ojciec?

Panu Walentemu powyżej przytoczony ustęp, z listu Prospera, wydał się czemś dzikiem. Nazwy nauk i nazwiska mężów nic mu nie mówiły, a wzmianka o korycie wstrząsnęła nim i zgorzzeniem przejęła. Koryto? — co za koryto?... On znał jeno koryta przy studniach, w których bydlęta pojono, jako też te koryta, w których trzodzie chlewnej dawano siekane liście burakowe, z osypką zmieszane.

— No, i dla koryta temu smarkaczowi takich się zbytków zachciewa! Jaż mu! Jaż go! — wykrzykiwał — Ja go nauczę!

Oburzenie rozsadzało starego.

— Ja mu posyłam wiązanie, a on!

Wydawało mu się, że gdyby Prospera do rąk dostał, toby mu, wedle starego obyczaju, po ojcowsku wyspał.

I żalił się, i litował się nad samym sobą.

— Że też człowiek spokoju mieć nie może. Ledwie się wykaraskał z jednego, aż tu na łeb spada ci drugie i... masz, babo, redutę!

Owo „jedno” odnosiło się do wypadku w podróży, do pamiętnej nocy zimowej, spędzonej na słuchaniu muzyki wichrów, która panu Walentemu pozostawiła wspomnienie grozy i cudownego ocalenia; „drugie” tyczyło się Prospera.

Pani Walentowa płakała długo i milczała. Nagle wyrzekła:

— Wielkie jest miłosierdzie Boskie!

Słowa te sprawiły na panu Walentym wrażenie. Głowę pokiwał i spokojniej mówić zaczął:

— Lepiej było dawniej, kiedy ojcowie dzieci w rygorze trzymali. Batog, wówczas, rozumu bez żadnego gadania uczył! A teraz co? gadaj, gadaj, aż ci w gębie wysycha i—jakbyś groch o ścianę rzucał. Com ja się Prosperowi nie nagadał? Alem go do szkoły oddał: w tem nieszczęście całe... Ha! moja wina... Powiniennem był chłopca przy sobie trzymać, nauczyć czytania, pisania, rachunków, wprawić do prowadzenia regestrów gospodarskich i dysponowania robocizną: nie byłoby mu się w głowie przewróciło... Gdybym był pozostał ekonomem, byłbym tak zrobił, alem się udziadczył... udziadczył (wyraz ten z przekąsem powtórzył) i zachciało mi się w dziedzickiej czapce paradować. Ot, parada na co wyszła! Mnie się zachciało tego, a chłopcu memu państwa, zagranicy. Niechże panuje! Prędzej mi (tu się uniósł) włosy na dłoni wyrosną, niż ja mu jeden szeląg złamany pošlę...

Zasapał się i zamilkł, brwi zmarszczywszy i wzrok w podługę wlepiwszy.

— O, tak!—odezwał się po chwili.

Pani Walentowa, która płakać nie ustawała, cichym przemówiła głosem:

— Cóż on pocznie?...

— Co?—odparł pan Walenty, tknięty w serce przemówieniem żony.—Co?—i po chwili odpowiedział:—Ma do mnie skądś tam pisać. Odpiszę mu, odpiszę i pieniądze pošlę, ale tylko...

na powrót. Zobowiąże się, że powróci tu, do nas, do Kółka, pośle; nie?... nie! W ten sposób, przyjdzie koza do woza i już ja go na żadne uniwersytety i fakultety nie puszczę. Gospodarstwo mu oddam. Kółko mu oddam: niech w domu siedzi; ożeni się, a my będziemy dzieci jego niańczyli.

Przy wyrazach ostatnich skrzywił się, ledwie je wymówić zdołał, tak go płacz za gardło ścisnął.

Popłakali się oboje starzy i długo nie mogli się uspokoić.

Gdyby Prosper był świadkiem tej sceny, byłby może zmiękł, rozrzewnił się i na rzecz Kółka zrzekł się naukowych swoich umiłowań, ale on odbywał właśnie podróż do Berlina, gdzie otrzymał od ojca odpowiedź, stawiającą mu w znaczeniu *ultimatum* warunek powrotu do Kółka.

Warunek ten zgryzł go wielce; nad pisaniem ojcowskimi myślał, myślał i w końcu powiedział sobie:

— Ha! to niechże się dzieje wola Boża. Nie ja pierwszy, przez trudy i przeszkody życiowe, przebijam się do światła i nie na mnie to się skończy... Dalej! naprzód!... Do Kółka wrócę, ale nie teraz, nie zaraz, nie od samego początku drogi...

W Berlinie, wkrótce po przybyciu, spotkał się z trudnościami życiowymi i pokonywać je musiał. Doświadczenie nauczyło go jednej ważnej rzeczy, której dotychczas nie umiał: stosowania się do otoczenia. Braki łątał za pomocą udzielania lekcji prywatnych, które dostawał za pośrednictwem kolegów i profesorów; wprowadzało go to w styczność z ludźmi rozmaitego wykształcenia umysłowego, rozmaitego temperamentu, rozmaitych stanowisk. W Berlinie jednak nie znalazł, czego szukał. W naukowości niemieckiej pierwszeństwo w czasie owym trzymał transcendentyzm, zaszczipiony przez Kantów, Hegłów, Fichtych, Szellingów; z wyżyn idealnych na poziomy Niemcy nie zeszli byli jeszcze i Prosper, rozpatrzywszy się wśród nich w ciągu jednego semestru, powziął zamiar szukać „poziomu” gdzieindziej.

Powziąwszy to postanowienie, puścił się na peregrynację od uniwersytetu do uniwersytetu, z *feleizą* na plecach, z torbą przy boku i z kijem w ręku. Poszedł we względnie tym za przykładem kolegów Niemców; studenci niemieccy dziś jeszcze w podobny peregrynują sposób, nie ograniczając się na krajach, *wo die deutsche Sprache klinget*, lecz zapędzając się i tam, gdzie nie brzmi język księcia Bismarka. Co roku prawie gazety podają

o nich wiadomości z Rzymu, Florencyi, Neapolu. Jest to pozostałość z czasów dawnych, kiedy gromadami po kraju się włóczyli, na jarmarkach się pojawiali, przedstawienia teatralne urządzali, kantyczki śpiewali, z garnuszkami w rękach do domów kołatali i kiedy ze względu na nich uchwalono surowe prawo, zabraniające im „kraść z ołtarza”. Z upływem wieków o tyle się uprościły wędrowki studenckie, że straciły charakter zbiorowy, wywołujący ustawy odrębne; utrzymały się jednak i przybrały charakter wędrowek naukowych, na wzór i podobieństwo rzemiosłowych *reisende Geselle*. Lat temu dziesiątków kilka bardziej były, aniżeli dziś, rozpowszechnione—stanowiły jeden ze zwyczajów studenckich.

Do zwyczaju tego Prosper się zastosował i piechotą deptał grunt, deptany w ciągu wieków przez mnogie tysiące miłośników nauki. Szedł z matrykułą w zanadru, zatrzymując się po miastach uniwersyteckich i rozpytując o „mistrzów”, jak się czeladnicy o „majstrów” rozpytują. Dowiadywał się, że tu „mistrzowie” znajdują się na fakultecie medycznym, ówdzie na filozoficznym, gdzieindziej na prawnym lub na teologicznym.

„To nie to...” — powiadał sobie.

Szedł dalej.

Rzecz prosta—iść tak bez końca nie mógł, dla tej przyczyny, że, jakkolwiek go wędrowka mało kosztowała, zawsze jednak wymagała nakładu, który się z sakiewki wyczerpywał. Zniewalało go to do zatrzymywania się dla zarobków, często nie zgadzających się z jego intencjami naukowymi i zabierającymi mu czasu sporo. Całe jedno półrocze spędził we Frankfurcie, na myciu kufli w piwiarni (*Bierhalle*); w Gotha za kelnera służył. Wydawało mu się to stratą czasu i gdy uciulał tyle, że miał za co żyć przez miesiące parę, wnet się na odszukiwanie „mistrza” wybierał. Zatrzymał się w Heidelbergu; przez rok cały, o chlebie i wodzie, wykładów słuchał a przez wakacje, na folwarku szkolnym, pełnił obowiązki parobka.

Wydawało mu się, że czas tracił; nie tracił jednak. Przy życiu pełnem pracy ciągłej, przy wpatrywaniu się w punkt dążenia celowy, korzyści do umysłu wchodziły same przez się—wkradały się. Poznawał życie w wielostronnych jego przejawach, w stosunku do nauki, która mu za gwiazdę przewodnią służyła. Jednak strata czasu bezmiernym przejmowała go żalem w sercu i powziął był zamiar napisania do ojca:

„Ojcze, wracam... przyślij mi na drogę!...”



Nie napisał jednak. Powstrzymała go może ambicja, a może to „coś” nie wytłumaczone, które ludzie „przypadkiem” mienia. Czemu, na przykład, Napoleon na moście pod Arcole nie zginął? Coś podobnego Prospera spotkało z myślą powrotu do Kółka, powziął ją i zaniechał, za parobka stanął i nie pożałował tego później. Na razie atoli oderwanie się od nauki srodze go gniewało i smuciło.

Smutek jego nie uszedł uwagi kolegów i koleżanek—parobków i dziewczek folwarcznych, pełniących z nim razem funkcje rozliczne, wchodzące w zakres gospodarstwa rolnego. Drażnił on zwłaszcza jedną z koleżanek.

— Co mu?...—pytała.

— Coś mu zapewne w sercu świdruje—odpowiadano.

Świdrowanie owo zaciekawiało ją na sposób niemiecki, to znaczy, roztkliwiało. Nie była od tego, ażeby serce swe połączyć z sercem Prospera szarfą płomienną. Patrząc na niego, wdychała.

— Czemu nie wdychasz, gdy patrzysz na mnie?...—czynił jej wyrzuty kolega Prospera, Hans, któremu Gretchen w oko wpadła.

Dziewczyna młoda, świeża, niebrzydka, cokolwieczek zaletna, nie tylko jednemu Hansowi w oko wpaść mogła. Jakoż i po za folwarcznem towarzystwem znajdowali się tacy, którzy się do niej wdzięcznie uśmiechali. Ona przyjmowała od nich orzechy i inne łakocie, ale prawie nie patrząc, jeżeli zaś patrzyła—nie wdychała. Smutny, cokolwiek ponury wyraz oblicza cudzoziemca, zafrasował ją tem bardziej, że pomimo tego smutku, ze szczególnym pracował zapałem, a w wolnych chwilach oddawał się czytaniu lub pisaniu. Wszystko to zakrawało na zagadkę. Dodać należy, że Prosper w czasie owym był okazem młodzieńca, jeśli nie pięknego, to interesującego. Rysopis jego w następujących skreśliłby się dał wyrazach: wzrost trochę więcej niż mierny; włosy ciemno-płowe gęste; oczy siwe, czoło i usta zwyczajne; zarost na twarzy obfity; oznak szczególnych żadnych. W rysopisach nie zaznacza się wyraz oblicza, a wyraz jego oblicza właśnie zwracał na siebie uwagę i zastanawiał. W rysopisie nie mógłby figurować inaczej, jak pod postacią omówienia: „że jest to człowiek, z którym się liczyć należy”.

Gretchen od pierwszego na Prospera wejrzenia zaufała mu troszeczkę, następnie jeszcze troszeczkę, dalej coraz to

więcej i więcej, w końcu, gdy, przy licznych z nim spotkaniach, spostrzegła, że jej nie nadskakuje, zaufała mu zupełnie. Zaufanie do cudzoziemca w małej z razu odrobinie się wkradło, ale rosło potężnie, aż urosło do rozmiarów prawie bezgranicznych.

Prosper był przy koniach; ona przy kurnikach i karmniku. Zabudowania stajenne i zabudowania, w których mieścił się drób wszelakiego rodzaju, jako też te, w których przebywały istoty, zaopatrujące zakład w sadło, słoninę, kiełbasy, szynki i pieczeń wieprzową, leżały nieopodal jedne od drugich. Spotykanie się przeto tych dwójga członków służby folwarcznej zdarzało się często, a zdarzać by się mogło codziennie rano i wieczorem, gdyby tego chciały strona jedna i druga. Służba schodziła się przy stole spólnym, ale obiadom i wieczorzom asystował zarząd szkolny, wobec którego spożywanie posiłku odbywać się musiało bez okraszania miłosnej. Okrasa ta nie zawadzała jednak kurom, kaczkom, gęsiom, indykom, gdy im Gretchen wodę zmieniała lub jadło dawała.

Uprzątnięcie w kurnikach dokonywało się ranną porą, kiedy Prosper toż samo robił w stajni. Gretchen dawniej, zanim do niego zaufanie poczuła, pełniła swój obowiązek w milczeniu; od czasu jednak, jak to zaufanie do serca jej się wkradło, poczuła potrzebę śpiewania przy robocie. Śpiewała z razu półgłosem, następnie głośniej, w końcu tak głośno, że kury się chowały, gołębie odlatywały, indyki „gul-gul!” śpiewaniu wtórowały, a wieprze z drzemki się budziły i uszy podnosiły, co było dowodem, że je śpiew w zachwyty wprowadzał.

Śpiewania słuchając i podściółkę z pod koni wyrzucając, Prosper myślał, jeżeli nie o podziale pracy, to o konkurencji; jeżeli nie o konkurencji, to o cyrkulacji pieniężnej; jeżeli nie o cyrkulacji to o kredycie, podaży i t. p., jako też o roli, o przemyśle fabrycznym, handlu i o statystyce. Jakież, wobec takiego zajęcia umysłu sprawami naukowymi, wrażenie miał na niego wywierać śpiew dziewczyny? Słyszał, ale nie słuchał, a ona śpiewała, darła się, powtarzała tak długo, aż się przekonała, że śpiew do niczego nie doprowadzi.

Przemysliwała nad innym sposobem, a przypadek nastreczył jej sposobność, z której skorzystała. Raz, niosąc konwie, ujrzała Prospera przed stajnią; przechodząc mimo niego, zamiast powiedzieć: „Dzień dobry”, postawiła konewki i zaczęła stękać:

— Ach!... och!... uh!... uh!...

Prosper nie zważał na to.

Grethen tedy odezwała się:

— Panie Prosper... Pomóż mi... och... donieść te konwie, bo ja już nie mogę... ach!... och!...

— Czyś, panno, chora?... — zapytał, opierając miotłę o ścianę.

— Nie wiem, nie mogę.

Nic nie mówiąc, ujął konwie, napełnione rozgotowaną kukurydzą, zaniósł je do chlewa i za drzwiami, otwierającymi się z dołu do góry, postawił.

— Dziękuję pięknie...—przemówiła dziewczyna.

— Przepraszam...—odrzekł.

Zwrócił się ku odejściu, gdy ona znów przemówiła:

— Nie chciałbyś drzwi podnieść? Te konwie takie ciężkie!

— Prawda, że ciężkie...

To rzekłszy, Prosper jedną z konwi za ucho ujął i zawartość jej wlał do koryta; ujął drugą, uczynił z nią toż samo i na chwilę pozostał, patrząc, jak z radośnem chrząkaniem mieszkańcy karmnika garnęli się do posiłku. Było ich trzech: dwaj rasy chińskiej, maleńcy, krągli, czarni, z ryjkami karmionowemi, z oczętami słodkimi, przymrużonemi, mało co z podobianych tłuszczem brwi widnemi; trzeci był ogromny, rasy węgierskiej, na wysokich nogach, groźny z postaci, zasługującej na to, ażeby symbolizowała tych rycerzy, którzy pod wodzą Atylli na równiny panońskie, niby powódź, spłynęli.

Prospera, przypatrującego się im, Gretchen zapytała:

— Który ci się najbardziej podoba?

— Który?—odrzekł i ramionami ruszył.

— Bo mnie podoba się ten—tu palcem wskazała—ten chińczyk, mniejszy od tamtego chińczyka. Jaki on milusi!... patrz, panie Prosper...—po głowie zwierzęcia dłonią pogłaskała.— Co za słodkie oczy! a jaki języczek! patrz... Ryjek różowieńki... Kochane stworzenie!...

Szczebiotała.

— Na zarznięcie?...—zapytał Prosper.

— Tak... w jesieni...—odpowiedziała swobodnie.

— Panna go kochasz?

— *O mein herzschoenes Schweinchen!*...—wyciągając dłonie, z akcentem zachwytu przemówiła.

Prosper odszedł.

— *Dank schön!*—za nim posłała.

Znalazła więc sposób, który powtarzał się i to sprawiał, że się Prosper do dziewczyny powoli przyswajał, jak się przyswajają zwierzęta dzikie. Nosił jej konwie, zamieniał z nią po wyrazów kilka, niekiedy ją zapytaniem zaczepiał:

— Ile się daje pożywienia karmnikom?

— Z początku się je rozpycha, a potem dopiero karmi— objaśniła.

— Czem się rozpycha?

— Liśćciami buraków, marchwią, rzepą.

— A karmi czem?

— Kukurydzą, grochem, jęczmieniem.

— Dziękuję.

— Za co?

— Za naukę.

— O! Jabym ciebie, panie Prosper, wszystkiego uczyła.

— Naprzykład?—zapytał z uśmiechem.

— Czegobyś zechciał—odpowiedziała, pochylając na bok głowę i patrząc w koryto.

Po jakimś czasie zaczęła go:

— Powiedz mi...

— Co?

— Czemuś smutny?

— Bo mi się nie wiedzie—odrzekł.

— Nie wie-dzie się?... o?—tu wyzywająco na niego spoj-rzała.

Niebawem schadzki przy karmniku ustać musiały, ponieważ przedstawiciele rasy chińskiej i węgierskiej pozbawieni zo-stali życia. Mieszkanie ich, w którym rozkoszne dni pędzili, opustoszało na porę zimową, a dyrekcyja awansowała Prospera na parobka wyższego stopnia, powierzając mu dozór nad stajnią, oborą, owczarnią i chlewnią. Nastąpiło to wskutek ocenienia w nim intelligencji w szerszym zakresie.

Dyrektor, będąc w częstszej z Prosperem styczności, po-znał, że posiada w gronie służby podrzędnej człowieka, którego umysł jest wykształcony naukowo. Prosper pokazał był swój paszport, ale się nie chwalił dokumentami szkolnemi, które by mu przeszkadzały do zajęcia stanowiska kelnerskiego i pa-robczańskiego.

— Tyś nauki liźnął—rzekł dyrektor.

— Trochę—odrzekł Prosper.

— Gdzie?—zapytał Niemiec z uśmiechem.



— Powiem, ale pod warunkiem, że mnie pan dyrektor ze służby nie wydalisz.

— *Schön gut...* Warunek przyjmuję. No?

Prosper opowiedział w krótkości o przebijaniu się wśród zawad, przeszkadzających mu zaokrąglić edukację uniwersytecką, tem twardszych, że się znajdował na obczyźnie.

— Nie wieleby ci pomogło, gdybyś był Niemcem— rzekł dyrektor.—I najrodowitsza niemiecka młodzież nie stąpa po drogach kwieciami usłanych... Przebijaliśmy się i my, mój przyjacielu.

Po rozmowie tej, w dni kilka, Prosper przeniesiony został do biura. W biurze powierzono mu ułożenie porównawczego wykazu produkcyi rolnej w stosunku do ruchu przemysłowego. Zadanie polegało na obliczeniu, ile i jakiego zboża idzie na pożywienie, a ile i jakiego na przeróbkę w gorzelniach, piwowarniach, krochmalniach i t. p. Do porównania miał Niemcy, Francję i Anglię. Ulokowano go w pokoju osobnym, obłożono książkami i tablicami, i wyznaczono mu pensję odpowiednią z zapowiedzią honorarium, które dostanie, gdy pracę ukończy jak należy.

Praca ta oddaliła go od Gretchen.

Gdy Prospera do biura powołano, okazyje do schadzek w obrębie folwarcznym ustały i dziewczyna manewrować musiała. Ale on zawsze się śpieszył tak, że całkowita romansowość spotkań ograniczała się do zamiany pozdrowień pomiędzy *Fräulein* Gretchen a *Herr* Prosper: *Guten Morgen, guten Tag* i *guten Abend*.

Po rozmowie z dyrektorem, gdy mu ten uczynił propozycję opracowania wykazu statystycznego i pracy tej istotę i rozmiary wyłożył, przejęło go takie uradowanie, takim tętnem przyśpieszonym krew mu w żyłach ruszyła i tak się w ciele jego, zwłaszcza zaś w głowie, temperatura podniosła, że uczuł potrzebę przejścia się po świeżem powietrzu. Miesiąc luty świeżości dostarczał—termometr wskazywał 2 niżej zera, pola okrywała warstewka śniegu. Prosper z biura wybiegł, przez podwórze ku stancyjce swojej się skierował, lecz nie wszedł; nawrócił i począł się przechadzać, tam i napowrót. Powtórzył to razy kilka, a zwracając się od budynku biurowego, ujrzał na swojej drodze Gretchen.

W naturze ludzkiej tkwi potrzeba dzielenia się uczuciami. Życzliwość Gretchen wątpliwości nie podlegała; zoczywszy ją

Którędy do szczęścia.

przeto, młody człowiek pośpieszył do niej, oczy do góry wznosił i, nie patrząc na nią, głosem uradowaniem nabrzmiąłym zawołał:

— Ach! panno Gretchen...

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Na chybił trafił więc wyrzekła:

— Ach!...

Na to Prosper w objęcia ją pochwycił, podniósł, wyściaskał i na ziemi postawił.

Zmieszało ją to i do tego zaniepokoiło stopnia, że chciała wołać o ratunek; zanim jednak krzyknęła, Prosper czoło sobie dłonią potarł i rzekł:

— Nareszcie, *endlich!* nareszcie!...

— Co?—zapytała.

— Co? Panno Gretchen! o! panno Gretchen...

— Pierwszy raz wesółm cię, panie Prosper, widzę.

— A wiesz panna, dlaczego?

— Dlaczego?

— Powodzenie mi się uśmiechnęło... powodzenie takie, że... Ale—przerwał, jakby się upamiętał nagle—co tam!

Prosper zamyślił się i po chwili odszedł.

Gretchen obejrzała się i pomyślała: znowu go tu spotkam innym razem.

Na ów „inny raz” czekała, ale doczekać się nie mogła.

Prosper, jeżeli się pokazał, to nigdy prawie sam: towarzyszyli mu zwykle, bądź dyrektor, bądź któryś z profesorów, bądź słuchacze akademii rolniczej.

Mijały dni, tygodnie, minęło miesięcy kilka. Dnia pewnego, wczesnym rankiem, Gretchen zjawiła się u Prospera w biurze. Siedział przy stole i pisał. Odwrócił się i, zamienwszy z nią pozdrowienia, wysłuchał zapytania:

— Panie Prosper, czy mam iść za Hansa?...

Szeroko ze zdziwienia, na zapytanie to, oczy otworzył i po chwili odpowiedział:

— Idź, panno Gretchen... idź... Czemużbyś iść nie miała? Życzę ci szczęścia i pomyślności wszelakiej.

## V.

Komu innemu, nie Prosperowi, możeby się była noga powinęła: alboby się spodlił, albo złapał. Człowiek pracą zajęty, może pokochać, ale nie może w miłość się bawić. Prosper na pokochanie nie miał czasu nawet, przerzucając się od nauki do zarobkowania, od zarobkowania do nauki; ostatecznie zaś, dostawszy pracę, która go zajmowała, oddał się jej całkowicie, zapomniawszy nie tylko o Gretchen, ale o całej połowie rodzaju człowieczego, zwanej piękną lub słabą.

Pracował nad powierzonym mu zadaniem pilnie i z ochotą. Praca ta praktycznie uzupełniała teoretyczne wiadomości, które mi sobie umysł wytynkował, skupiała je, ogniskowała. Otoczony książkami, broszurami, tablicami, czytał, notował, metody zgłębiał, systemy układał i często potrzebował wyjaśnień, których mu chętnie udzielali: dyrektor, profesorowie, studenci ustnie, w laboratorium, na grządkach lub w polu. Przy takiej pracy poznawał bogactwo.

To ostatnie przedstawiło mu się pod postacią zadań, których rozwiązywaniem od wieków trudni się ludzkość zbiorowo i pojedynczo. Rozwiązywaniem takim trudnią się państwa, prowincye, miasta, wsi, domy zamożne, chaty, wszystkie stany, wszystkie klasy, wszyscy ludzie razem, każdy człowiek z osobna, potężny moćarz i najmizerniejszy wyrobnik. Ten, kto nie posiada nic, pragnie posiadać bodaj odrobinę, a celu pragnienia swego dopiąwszy, pożąda zaraz więcej. Ten, kto posiada wiele, nie zadowolnia się mieniem, z któregooby tysiące rodzin żyć wygodnie mogły. Ten ma milion—chce miliona drugiego; ów ma miliard—chce miliarda drugiego; a zachcenia te milionerów i miliardów nie są ani trochę słabsze, ani też mniej gorące, aniżeli zachcenia

biedaków, przemyślających z dnia na dzień o zarobieniu na kawałek czarnego chleba.

„To chcenie, ta dążność, jest ogólnem, ogniskowem prawem, regulującym ruchy życiowe, jest ekonomicznem słońcem” — powiedział sobie Prosper, w ciągu pracy nad układaniem porównawczych wykazów statystycznych.

Analizował istotę bogactwa, jego znaczenie, jego wpływy.

Analizę tę dokonywał w umyśle, obliczając produkcję jednej z dużych fabryk, przerabiających materiały rolne. Fabryka owa, zatrudniająca kilka setek robotników i spożytkowująca materiały surowe, czerpany z sąsiadującej z nią okolicy, stała się względem tej ostatniej dobrodziejstwem. Dzięki jej, kraj, przedtem ubogi, zamożnością zakwitnął, zmienił nieużytki w grunta uprawne, dobrobyt mieszkańców podniósł i, zaopatrzone w szkoły, szpitale, zakłady finansowe, rósł w miarę, jak się rozwijała fabryka.

— Oto — zawołał — tajemnica znaczenia i wpływu bogactwa! Posiadacz milionów jest niby sternikiem, dzierżącym rudel, służący do prowadzenia nawy, której losy swoje wielu ludzi powierzyło; on ich prowadzi, Opatrznością ich jest, przy rudlu stojąc. Oto jest tajemnica bogactwa... Nie dziw, że się tak ludzie do niego garną: komużby się przy rudlu stać nie chciało?

Z kolei do umyśłu jego zawitała kwestya: osiągnięcia bogactwa. Rozmyślając nad nią, do tego doszedł przekonania, że ze wszystkich zadań, jakie ludzie przedsięwzięją, zadanie to jest do rozwiązania najłatwiejszem, rozstrzygającą bowiem w dobijaniu się do majątku rolę odgrywa spryt, władza umysłowa najpodrzedniejsza i najpośledniejsza.

Spryt, przymiot główny oszustów, szulerów, złodziei, polega na chodzeniu krytym sztychem, na uzdolnieniu, które wyrobić w sobie może każdy, pod warunkiem pozbycia się szacunku dla własnego ja. Nie każdy, co chce, zostać może mędrce, artystą, pisarzem, mężem stanu, wodzem, nie dość bowiem na to posiadać uzdolnienie, należy jeszcze uzdolnienie wesprzeć pracą, bez której spryt obywa się całkowicie; łatwo więc tą drogą dojść do bogactwa.

W chwilach wolnych od pracy, w chwilach wypoczynków, koniecznych dla wyswobodzenia mózgu od natężenia, wyobrażał sobie Prosper, że stoi przy rudlu i steruje nawą, kołyszącą się w powietrzu rodzinnego Kółka. Tam się często



zwracał myślą i sercem. Ojciec, matka, siostra w oczach mu stawali; zamiar wrócenia do nich z głowy mu nie wychodził, ale chciał im powiedzieć:

— A co, czy nie miałem racyi?

Pracował z całych sił, z zamiłowaniem.

Dyrektor powtarzał:

— Tak, to dobrze, młody przyjacielu! Dalej, dalej, do końca. *Finis coronat opus.*

Nim praca do końca dobiegła, minęło lat dwa i pół; ani się spostrzegł Prosper, jak mu ten czas upłynął. Kiedy w wierszu ostatnim literę ostatnią napisał, odsunął od siebie arkusz, sam się z krzesłem od biurka oddalił i patrzył długo na złożony plik rękopiśmienny, który jego był dziełem; patrzył z przywiązaniem i z żalem: żał mu było, że się z tą pracą, taką długą i trudną, rozstać będzie musiał. Chciałby ją prowadzić dalej, jeszcze dalej, bez końca.

Kiedy tak był w żalu pogrążony, usłyszał głos znajomy:

— *Also?*

Wszedł dyrektor, który wiedział, że praca do końca dobiega.

Prosper zerwał się.

— Cóż? już?—zapytał przełożony.

— Już—odparł Prosper.

— Będziemy drukowali i poprawiali... Cały jeszcze gmach roboty. Korekta, w takiej pracy, niezmiernej jest wagi. Prowadzić jej nie może nikt inny, tylko ty.

— Długo to potrwa?

— Najmniej pół roku.

Prosper oczy przymrużył i po czole ręką potarł.

Dyrektor wziął to za oznakę niezadowolenia.

— Znudziłeś się już, co?—zapytał.—Rzecz to konieczna.

— Nigdy tego nie robił.

— Nie jest to filozofia wielka. Po przygotowaniu kilku pierwszych arkuszy, wprawisz się i dalej pójdzie, jak po maśle. Znajdzie się przytem coś do poprawienia w tekście samym.

— Mnie ten druk niepokoi.

— Czemu?

— Pójdzie pomiędzy ludzi.

— Chciałbyś go zachować dla siebie?—odezwał się dyrektor z akcentem żartobliwości w głosie i dodał:—Wiedzy ci

udzielili ludzie, ludziom się wywzajemnić winieneś. Zresztą, myślę, na dziele swoim pod żadnym względem nie stracisz.

Dyrektor się nie omylił. Praca, gdy z druku wyszła, znalazła powszechnie uznanie i autor jej otrzymał, za pośrednictwem dyrekcyi, od kilku przemysłowców i finansistów propozycyę, pod względem materyalnym korzystne. Dyrektor mu te listy wręczył.

— Cóż?... Znajdujesz się wobec *embaras du choix*. Cóż myślisz?

— Myślę, jak dziwnie układają się niekiedy losy ludzkie! Tak niedawno, cztery lata temu, jak o łaskę, dobijałem się o posadę parobka.

— A teraz dobijają się o ciebie. Zdarza się to, mój młody przyjacielu, rzadko wprawdzie, ale się zdarza, a nigdy bez racyi. Cóż teraz myślisz?

— Kiedym za parobka służył, czyniłem to w zamiarze zdobycia sobie środków na uniwersytet.

— Mianujący cię doktorem?...

— Tak.

— Tytuł doktora—prawił Niemiec—nic ci nie doda, a czas, jaki na uzyskanie go poświęcić musisz, w cień cię zepchnie. To zmienia sytuację: dziś jesteś poszukiwanym, jutro będziesz poszukującym. Znasz prawo handlowe, regulujące ceny; radzę ci przeto: zastanów się.

Prosper zastanowił się, uznał słuszność uwag powyższych i w parę dni później z dyrektorem o wyborze mówił. Zdziwiło go, gdy mu tenże na zapytanie, co ma wybrać, odpowiedział:

— Wszystko.

— Jakże to?

— Ofiarują ci w dwóch miejscach posady stałe, w innych zaś frazesami przezroczytymi wzywają cię na konsultację i proszą, ażebyś oznaczył wysokość wynagrodzenia. Do chorego, któremu lekarze zwyczajni zdrowia przywrócić nie są w stanie, wzywają znakomitość lekarską. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem. Nie rozumiem jednak, w czym miałbym być znakomitością?

Dyrektor po grubej księdze, dziele Prospera, dłonią uderzył i odpowiedział:

— W administracyi. Z pośród szeregów i kolumn cyfr, z po za poglądów, rozmowań i uwag, wystają twoje zdolności w tym kierunku, które natura ci dała a nauka wykształciła.

Człowiek, posiadający reputację gruntownego znawcy strony administracyjnej, jest mechanikiem-lekarzem.

Z tej rozmowy wypadło, że Prosper nie odmówił nikomu stanowczo, a właścicielom: cukrowni we Francji, kopalni węgla w Belgii i lordowi angielskiemu, posiadającemu rozległy majątek ziemski w Anglii i hrabstwo całe w Irlandyi—wyznaczył terminy, w których do nich przybędzie.

Pozostawało oznaczenie porządku odwiedzin i wysokości wynagrodzenia. Za spólną naradą, na pierwszym numerze postawiono cukrownię, na drugim kopalnię, na trzecim majątki ziemskie. Prospera ciągnęło do Anglii, ojczyzny Smitha, o której jeszcze w gimnazjum marzył; przeważyły jednak względy praktyczne, nakazujące zacząć od cukrowni dlatego, że zakład ten, mimo warunków powodzenie zapewniających, wielce niedomagał. Postawienie go na nogi wskazywało w perspektywie spotęgowanie uznania, które Prosperowi zrobiła książka.

— A wynagrodzenie pieniężne!—przypomniał dyrektor.

— Wynagrodzenie?

— O tej kwestyi zapominać nie należy—dodał tonem upomnienia ojcowskiego.—Pieniądze...

— To bogactwo—podchwycił Prosper.

— A bogactwo?

— To rudel...

— Prawda... *hast Recht*. Z rudlem tym atoli trzeba się umieć obchodzić. Hiszpania nie umiała i nawet swoją rozbiła.

— Zdanie wasze, panie dyrektorze, podzielam w zupełności—odrzekł Prosper z przyciskiem znaczącym.

— Owóż, z wynagrodzeniem zróbmy tak: cukrownia dwanaście tysięcy franków, kopalnia dwadzieścia; majątki ziemskie: angielski—tysiąc funtów i irlandzki tysiąc funtów sterlingów.

— Aż tyle!—wykrzyknął Prosper.

— Ubliżyłbyś Anglikowi, do tego lordowi, gdybyś od niego mniej zażądał, a przytem obniżyłbyś w jego oczach siebie.

— Mnie się dwanaście tysięcy franków wydało za wiele.

— Nie, nie za wiele. Nie radziłem ci wyznaczać wynagrodzenia wyższego ze względu na sknerstwo Francuzów; hojnymi są oni, ale dla próżności tylko. Wśród nich ludzie uczeni, jeżeli sobie nie pomagają sprytem, dochodzą do sławy, ale nie do majątku.

Prosper do wzywających go zakładów napisał listy i przed wyjazdem do Francji zaopatrzył się w odzież, bieliznę i przybory

toaletowe. Nie zajmowało go to dotychczas, chociaż wiedział, że „ludzie, jak cię widzą, tak cię piszą”. Bieliznę, obuwie i odzież kupował gotowe; przybory toaletowe składały się z grzebienia, szczotki, szczoteczki do zębów i kawałka mydła prostego. Musiał, wybierając się pomiędzy ludzi, zastosować się do nich, bodaj o tyle, ażeby ich nie razić. Zwrócił się więc do krawca, szewca, szwaczki z wiadomością, że jedzie do Francji, przeto majstrowie niemieccy we własnym interesie starać się powinni odziać go jak należy. Rozniosło się po mieście, że *Herr Prosper*—tak go powszechnie zwano—wyjeżdża bezpowrotnie.

Razu pewnego spotkała go, umyślnie, na ulicy młoda kobieta.

— Opuszczasz nas pan?—zapytała.

— Tak... Odjeżdżam.

— Na zawsze, słyszałam?

— Na zawsze.

Kobiecie łzy w oczach zabłysły i na policzki spłynęły.

— Pan odjeżdżasz, panie Prosper.

— Więc cóż?

— Nie powrócisz. Żal mi.

— Cóż ja... dla pani, pani Gretchen?

Ona dłoń mu do uściśnienia podała i rzekła:

— Bądź zdrow, szczęśliwy... wesoly. Pamiętam ciebie, panie Prosper, smutnego.

Młodzieńcowi na sercu zrobiło się nijako. Powrócił co prędzej do domu, przy biurku zasiadł i do rodziców jednym tchem list napisał. Zaczął od tego, z jakim trudem w świecie się przebijal, jak nieraz czuł się upadku blizkim i przypominał sobie te bajki, w dzieciństwie słyszane, w których mysz człowiekowi drogę do wyjścia z biedy wskazuje. Donosił następnie, że trudności zwalczył, że powróci kiedyś do Kółka na stałe, że usprawiedliwi się i przebaczenie uzyska. Nie zawiadamiał, co z sobą dalej robi, oczekiwał bowiem odpowiedzi od zakładów, które go wezwały.

Odpowiedzi nadeszły wkrótce. List z cukrowni oświadczał, że zarząd jej czyni prawdziwą ofiarę, przyjmując warunek, tycający się wysokości wynagrodzenia.

— Francuzi!... *sacrifice!*—zauważył dyrektor z przekąsem.

Z kopalni odpowiedziano, że odpiszą później—za trzy miesiące.

— Tak czynią ludzie ostrożni.



Z Anglii zawiadamiano, że na Prospera czekają i wynagrodzenie uznają za umiarkowane.

— A co!—odezwał się dyrektor.—Trzeba było pięć razy tyle zażądać, a czekaliby z niecierpliwością. Anglicy znają się na rzeczy.

W wigilię wyjazdu dyrektor, profesorowie i słuchacze akademii rolniczej wyprawili na pożegnanie i na cześć autora pracy, noszącej firmę szkoły, bankiet, przy którym wygłaszano mowy toastowe.

Wreszcie—Prosper pojechał.

Nawędrował się po świecie przez lat ośm; spory to kawał życia, lata najpiękniejsze młodości. Naponiewierał się, swego dopiął, ale kto wie, co go czeka na drodze do celu, który sobie wytknął—do bogactwa. Idzie ku niemu, ale czy dojdzie? To pytanie snuło mu się po głowie, gdy go dylizans wioził do Strasburga, podówczas francuskiego.

„Co za kraj!”—zawołał w duszy, patrząc na przesuwaną się mu przed oczami uprawę, niby grządki, pola.

Widok ten silnie sprawił na nim wrażenie bogactwa, którem dyszała gleba, wdzięczna ludziom za łożoną koło niej pracę. Praca staranna i umiejętna w każdym zaznaczała się calu; widział to Prosper i w Niemczech, lecz bez tej cechy piękna, jaka jest przywilejem Francyi.

Jechał na Lion—kawałek drogi odbywał koleją żelazną. Za Lionem, gdy się zbliżał ku ujściu Rodanu, zmieniła się fizjognomia kraju: ukazały się gaje oliwne, drzewa figowe, migdały, granaty, odbijające od wspaniałych, zalegających stoki gór, których grzbiety rysowały się na horyzoncie.

Porównywał podróż obecną z wędrówkami, jakie odbywał przed kilku laty z kijem w rękę i tłumoczką na plecach. Wówczas widoki nie zajmowały go wcale; przyroda wydawała mu się martwą, nie przemawiała do niego; dziś, gdy rozpatruje się w niej, czuje, że żyje, że słucha symfonii barw i kształtów. Z żalem wysiadał z dylizansu, gdy podróż kresu dobiegła.

Dylizans zatrzymał się przed hotelem. Hotel ów nosił nazwę Paryskiego, posiadał na piętrze kilka skromnie umeblowanych pokoi gościnnych, na dole salę jadalną, zastępującą zarazem kawiarnię i szynkownię.

Mrok zapadał, kiedy Prosper w progi hotelu wstąpił; od razu poznał, że był gościem oczekiwanym, po żywej ciekawości, jaką osoba jego wzbudziła. Był tam jeden mężczyzna i pięć

kobiet, nie licząc posługaczki, posługacza i małego chłopaka. Do zastępu kobiecego wchodziły: matka i cztery córki nadobne, w wieku od lat ośmnastu do dwudziestu pięciu.

Kiedy Prosper wysiadł i konduktor walizę jego, torbę, płaszcz i związany z łaską parasol wyłożył, wszystkie poskoczyły do podróznego z pomocą. Jedna pochwyciła walizę, druga torbę, trzecia płaszcz, czwarta parasol.

— Proszę! tędy!—szczebiotały, to jedna, to druga, wskazując mu schody na piętro.

Wprowadziły go na kurytarz.

— To pański pokój—rzekła jedna, drzwi otwierając.

— Czy panu czego nie potrzeba?—zapytała druga.

— Woda jest, ręcznik jest—mówiła trzecia.

Czwarta oznajmiła:

— Na dole sala jadalna. Wieczera za chwilę będzie gotowa.

— Dziękuję... dziękuję...—wszystkim naraz uprzejmie odpowiedział Prosper.

Wszystkie razem z pokoju wyszły i, gdy się za nimi drzwi zamknęły, do uszu młodzieńca doszły wyrazy:

— To on!... Nie on!... On!... Nie on!... On!...

Prosper się umył, uczesał, oczyścił i do sali jadalnej zszedł.

Jedna z siostrzycy do niego podbiegła i miejsce mu wskazała:

— To miejsce pańskie.

Druga niezwłocznie z zapytaniem pośpieszyła:

— Absyntu?

— Nie... dziękuję.

Trzecia podchwyciła:

— Białego wina?

— Nie... dziękuję.

Czwarta zapytała:

— Jakie pan przy stole pija wino?

— Zwyczajne... krajowe.

— Czerwone?

— Czerwone.

— Bordeaux? Maçonnais? Maçon? Beaujolais?

— Beaujolais—odpowiedział na chybił trafił.

Zawadzała mu dziewczyna, taka gościnną a taką piękną, która przed nim stojąc, szczebiotała; podobało się mu jej szczebiotanie srebrzyste, podobała się mu ona sama. Znalazł się

w położeniu człowieka dzikiego, któremu człowiek ucywilizowany dał do wypicia pierwszy kieliszek napoju, zawracającego głowę. Dzikie w takim wypadku doznaje zarazem wstępu i pociągu, on też doznał czegoś podobnego. Dopytująca się dziewczyna wyglądała na zbyt natrętną—rad był, gdy odeszła; gdy się jednak oddaliła, oczami za nią wodził—za nią i za jej siostrami. Wchodziły one i wychodziły, kręciły się, coś co moment przynosiły lub wynosiły.

Patrzył, oglądał i podziwiał.

Dotychczas, pracą zajęty, prawie nie wiedział o istnieniu kobiety. Przesuwały się przed jego oczami istoty inaczej aniżeli on odziane, ale na nie uwagi nie zwracał.

Zmrok nastął—panny do sali wpadły i jedna z nich, przybity do ściany kinkiet zapalała, ale zapalki gasły, płomyk się knota nie chwycił; powtórzyło się to kilka razy.

— Czyż nie zapalę?...—rzekła z niecierpliwością.

Prosper z siedzenia się zerwał.

— Niech mi panna pozwoli—przemówił.

— Ale... cóż znowu!—odparła.

— Proszę mi pozwolić.

— Ależ, panie!

Od strony wchodowych drzwi sali, usłyszał skrzeczące wołanie:

— Goście wnet nadejdą, a światła jeszcze niema!

— Ten kinkiet, papo, zapalić się nie chce.

— Czemu?

— Nie wiem. Próbowалам ja, próbował ten pan, który dziś przyjechał.

— Ten pan?—zapytał się człowiek stary, wzrostu małego, suchy, wygolony, w fartuchu, którego róg jeden za pas był założony, w czapce na głowie.

Tak wyglądał papa dziewczyny.

— Więc pan dziś przyjechał?

— Dziś—odrzekł Prosper.

— Czy nie na rewizję do cukrowni?

— A tak.

— Wyglądają tu pana. Na wieczerzę zjedzą się niebawem panowie z cukrowni, z których kilku u nas się stołuje.

Ostatnim wyrazom towarzyszyło spojrzenie, skierowane ku ichnościom, zbliżającym się ode drzwi do nakrytego stołu.

## VI.

Przy stole „panowie” z cukrowni wielką Prosperowi okazali uprzejmość. Cztery gracze zmieniały talerze, obnosiły półmiski i zaprawiały dania dowcipami i śmiechem.

Panowie po wieczerzy powstali, dwóch do gry w szachy zasiadło, dla innych domino przyniesiono. Jeden przysiadł się do Prospera i próbował mówić o cukrowni. Młody człowiek zbywał go, niekiedy z akcentem zakrawającym na imperytynencję.

Było mu w tem towarzystwie nijako. Panny się wyniosły i nie wracały.

„Nie mam ja tu co robić” — pomyślał sobie.

Wstał, kiwnięciem głowy pożegnał gości i gdyby nie roz-targnienie, mógłby był usłyszeć, jak ten, który z nim rozmowę nawiązać próbował, odezwał się do grających w szachy:

— *Fine mouche...* będzie z nim ambarasu nie mało.

Prospera, z sieni na schody, poprowadziła jedna z siostrze świecą. Na kurytarzu, blisko jego drzwi, nadbiegły trzy inne. Jedna drzwi szeroko przed nim roztworzyła, druga świecę wniosła, inna zapytała:

— Czy panu czego nie trzeba?

Jeszcze inna zaleciła:

— A niech pan trzewiki przed progiem wystawi.

Następnie z kolei wykrzykiwały:

— Dobranoc!... dobranoc!... dobranoc!... dobranoc!...

— Dobranoc! — odrzekł Prosper i zamknął się.

Sen, acz krótki, pokrzepił go. Gdy się obudził, przypomniał sobie, po co przyjechał.



Na śniadanie zeszedł i wnet go znowu cztery panny obskoczyły. Pod ich okiem wypił kawę; one mu niedaleką drogę do cukrowni wskazały.

W cukrowni zgłosił się do dyrekcji; lokaj wprowadził go do salonu, w którym kwadrans blisko czekać musiał; czekając, rozglądał się i pierwszą rzeczą, która mu w oczy wpadła, było, leżące na stole, wśród wydawnictw illustrowanych, dzieło jego.

Wszedł dyrektor.

Czynność, jaką miał Prosper w cukrowni do spełnienia, nie od razu się rozpoczęła. Nie było jeszcze prezesów rady zarządkowej i rady nadzorczej, na których przybycie czekano. Dyrektor opowiadał o ustroju administracyjnym i w końcu zaproponował obejrzenie zakładu, dał gościowi przewodnika i na śniadanie go zaprosił uprzejmie.

— Zrobi mi pan ten zaszczyt—rzekł.

Parugodzinne oglądanie zakładu zeszło szybko. Prosper pilnie rozpatrywał się w mechanizmie, przerabiającym surowy materiał na płyn, na mączkę, na rafinadę. Wszystko to dokonywało się na szerokie rozmiary. Młody człowiek byłby o śniadaniu zapomniał, gdyby nie przewodnik.

— Jeszcze cukrownię zewnątrz chciałbym obejrzeć.

— Po śniadaniu służyć panu będę—brzmiała odpowiedź.

W dyrekcji zeszedł się z nim dyrektor w przedsionku, wprowadził go do salonu i przedstawił swojej żonie i swojej synowicy. Żona, niewiasta w dobie drugiej młodości, wyglądała dosyć pokaźnie; synowica za to przedstawiała kwiat w pełni rozkwitu, uroczy. Pani dyrektorowa ofiarowała mu ramię; za nimi dyrektor prowadził synowicę, która, wskazując oczami gościa, półgłosem szepnęła:

— Niedźwiedź północny.

Stryj jej odszepnął:

— *Fine mouche* niemiecka.

Przy stole synowica mało się odzywała, kiedy niekiedy tylko zwracając na siedzącego naprzeciw niej gościa wejrzenie powłóczyście. Dyrektorowa zadawała Prosperowi różne pytania; nakręciła rozmowę na zajęcia i wyraziła nadzieję, że nie pochłoną go one tak zupełnie, ażeby nie pozostawiły mu choć godzinki na poświęcenie się „obowiązkowi towarzyskiemu”.

— Będę panu czas zabierała tak często, jak mi się to uda—rzekła.—Zgadzasz się pan?

— O... tak... dobrze—odpowiedział.

— Co pan robi dziś z sobą?

— Zwiedzam fabrykę.

— A po zwiedzeniu?

— Pójdę do hotelu.

— Owóż—zaczęła—do hotelu pana odwiozę. Obejrzysz pan okolicę naszą. Czy zgoda?...

— Zgoda.

— O piątej powóz będzie czekał i my będziemy czekały.

„My”—znaczyło to, że i synowica towarzyszyć będzie.

Ta ostatnia cokolwiek intrygowała Prospera.

Przy czarnej kawie, którą z dyrektorem pił na werendzie, ten o interesach ani wspomniał. Mówił o odludziu, w jakim, trzymać musi żonę, przyzwyczajoną do życia światowego.

— Biedna, pociągnąłem ją z sobą na wygnanie. Towarzystwa dotrzymuje jej teraz kuzynka moja, która się z mężem rozstać musiała. Nieporozumienia domowe. Wydano ją za starca, z którym pożycie nie mogło się harmonijnie ułożyć. Człek wprawdzie bogaty i kontrakt zabezpiecza jej po nim majątek, ale życie z nim, luboć nie zanosilo się na długie, nie należało do najprzyjemniejszych.

Dowiedział się przeto Prosper szczegółów, udzielonych mu od niechcienia, lecz mogących zainteresować człowieka, mającego ożenienie na widoku.

Panie nie dały na siebie czekać długo. Wyprowadziły Prospera z salonu do pojazdu, same zajęły głąb siedzenia, jego posadziły na przodzie, naprzeciwko synowicy.

Przejażdżka trwała z półtorej godziny, a upłynęła w milczeniu prawie, przerywanem jedynie przez dyrektorowę, która wskazywała bądź to Prosperowi, bądź swej towarzyszce zasługujące na rzut oka widoki. Do synowicy odzywała się: „Adelo”.

O zmroku powóz stanął przed hotelem.

Panie pożegnały Prospera, mówiąc: „Do widzenia”.

Wieczór upłynął mu, jak poprzedni. Dowiedział się od oberżystek, że panią Adelę rodzice sprzedali, że kochała się w pewnym młodzieńcu, a za kogo innego poszła.

Przypomniało mu to siostrę jego, Annę, która kochała Sedynowicza a poszła za Cerhowskiego.

Prosper oswajał się z nowemi dla siebie rzeczami, obok zajęć, które się w pełni rozpoczęły wraz z przybyciem prezesów: rozpatrywał rachunki, robocizny i wynagrodzania, rozkład czynności i system administracyjny. Do pracy się zaprząwszy,

poczuł krew w sobie — siedział nad rachunkami, z zarząd-  
dem i nadzorem rozprawiał i przytem wskazówki faktyczne da-  
wać musiał przy kotłach, piecach, kadziach i rezerwoarach.  
Mało mu więc czasu pozostawało na czynienie zadość obowią-  
zkom towarzyskim; gdy zaś godzinka jaka trafiła się swobodna,  
wnet go pomiędzy siebie chwyciły kobiety—jeżeli nie panny  
Pipard, oberżystki, to dyrektorowa z panią Adelą.

Pani dyrektorowa okazywała mu przyjaźń serdeczną; pani  
Adela osnuwała go powoli siecią, której istnienia ani się domy-  
ślał, nie wiedząc, jaki we Francji kobiety w interesach biorą  
udział.

Dyrektor, wskutek przedsięwziętej rewizyi, znalazł się w po-  
łożeniu kłopotliwym: wykazywała ona strony ujemne w ogólnem  
prowadzeniu fabryki i oddawała niejako zarządzającego na łaskę  
i niełaskę Prospera. W miarę, jak się to ujawniało, zmniej-  
szało się co chwila oddalenie, w jakim zrazu pani Adela trzy-  
mała od siebie „niedźwiedzia północy”. Prawda, że niedźwiedź  
ów obłaskawiał się; prawda, że w towarzystwie dam, luboć  
trwożliwy, nie był jednak nieznośnym; to wszystko jednak nie  
kwalifikowałoby go do szczególnych pani Adeli względów, gdy-  
by nie okoliczności, że w ręku jego losy jej stryja spoczywały.

Raz Prosper wcześniej z biura wyszedł i, zamyślony, ku  
bramie zmierzał, gdy niespodzianie obok niego zjawiała się  
pani Adela. Spotkawszy ją, zatrzymał się i uklonił.

Była jak do przechadzki ubrana.

— Pani wychodzi?—zapytał.

— Uciekam—odparła.

— Od czego? od kogo?

— Od świdrujących mi uszy „pozycyi”, „przenośni”, „ha-  
betów”, „debitów” i wszelkich dzikich lokucyj, które mnie od  
rana do wieczora na każdym ścigają kroku. Prezes jeden  
i prezes drugi, urzędnicy, stryj, stryjenka nie mówią o czem  
innem, tylko to jedno i jedno. Więc się wyrwałam od nich  
i pójdę.

— Dokąd?

— Nie wiem.

— Czy pani pozwoli sobie towarzyszyć?

— Dobrze, ale pod warunkiem.

— Pod jakim?

— Abyśmy o fabryce nie mówili.

— Zgoda.

— Ona pana zbytecznie pochłania.

— Tak być powinno.

— Czemu?

— Wynika to z natury rzeczy, wprowadzającej nas w pełną sferę działalności, która zaprzęta nam umysł.

— Lecz tę sferę otacza inna, obszerniejsza, ogólna, sfera życia towarzyskiego, nie odpychająca nas, kobiet biednych.

— Jakaż to sfera panie odpycha!—zaprotestował Prosper.

— Ta, która pana pochłania.

Odpowiedzieć nie umiał.

Słońce zachodziło—słońce wrześnie w południowym klimacie; w powietrzu panowała cisza i unosiła się przyjemna woń skoszonego na pobliskiej łące siana; wśród ciszy, gdzieś z pobliza, świerszcz się odzywał. Pani Adela westchnęła i rękę pod ramię Prospera wsunęła.

Szli z początku w milczeniu, które wkrótce ona przerwała. Mówiła, raczej wykladała o zagadkowym powinowactwie dusz, drzemiącem w sercach, i objawiającem się niekiedy wulcanicznie, przy spotkaniu dwojga istot, które się nie znały, a dążyły ku sobie z daleka, z bardzo daleka, drogami tajemniczemi.

— Wszak mamy do szczęścia prawo?—rzekła pytająco.

— A tak... niezawodnie...

Po chwili znowu zapytała:

— Zostajesz pan przy cukrowni?

— Tak.

— Zostajesz?—powtórzyła zmienionym tonem, z pod ramienia jego rękę swoją wysuwając.

— Albo co?—ździwił się.

— Przyjmujesz więc posadę?

— Jakaż? ja? Nic o żadnej nie wiem...

Chwilkę szli znowu w milczeniu. Pani Adela zatrzymała się, szal sobie na ramionach poprawiła i rzekła:

— A przecie byłabym rada, gdybyś pozostał.

— Nie mogę, żadną miarą nie mogę. Zobowiązania do-trzymać muszę.

— Szkoda.

— Cóż pani na tem zależy?

— Bo nic mnie tu nie zatrzyma... Dokąd pan wyjedziesz?

— Do Belgii zapewne, następnie do Anglii. Może do Anglii wprost.



Milczała. Nagle, po chwili, rzuciła zapytanie:

— A gdybym i ja tam pojechała?

— Pani?!

— Bo mnie nic nigdzie nie trzyma... Tu, czy tam, czy gdzieindziej, wszędzie mi jednako... Mam prawo po całej kuli ziemskiej jeździć i—dodała tonem ironii wymuszonej—prześladować osobą swoją tych, których życzliwość odczuwam. Pan mnie nie odepchniesz? Pojadę do Belgii, do Anglii, tylko pan słówko napisz, dając znać, gdzie przebywasz. Dobrze?

— Dobrze.

— Bardzo jestem ciekawa Anglii, chociaż po angielsku nie umiem... Nie umiem też po niemiecku, pojechałabym jednak do pańskiego kraju.

— Tam po niemiecku nie mówią—wtrącił Prosper.

— A jakże?

— Po polsku.

— Czyż to nie jedno?

— Jest pewna różnica.

— Mała chyba.

— Nie mniejsza, jak pomiędzy językami francuskim a niemieckim.

— Anim się spodziewała... Mniejsza jednak o to... język taki lub inny nic nie ma do serca.

Ten ostatni wyraz wymówiwszy z naciskiem, śpiesznie przez podwórzec fabryczny ku gankowi dyrekcyi się udała.

Prosper, zwróciwszy się od bramy fabrycznej, podążył krokiem powolnym, z głową zwieszoną, na wieczerzę. Zmierzał ku hotelowi, ale jakoś do niego trafić nie mógł. Myślał nie o hotelu, ale o pani Adeli. Analizował siebie i ją, i ani się spostrzegł, jak noc zaszła, noc ciemna, cicha, głucha. „Hotel!” nagle mu w głowie strzeliło. Zatrzymał się, obejrzał i poznał, że się znajduje w miejscu obcym sobie.

Puścił się z powrotem. Wracając, przekonał się, jak trudno odnaleźć raz straconą drogę—po ciemku zwłaszcza. Zbłądził, kierunek zgubił i musiałby, albo pod gołem prześpać się niebem, albo się błąkać do rana, gdyby nie śpiew, który usłyszał. W kierunku śpiewu tego ruszył krokiem zdwojonym. Śpiewakami byli podochoceni robotnicy fabryczni. Zeszedł się z nimi, kiedy oni z zapałem wrzeszczeli na całe gardło:

— Tirlitirli-tirlitirli, tirlitirli...

Którędy do szczęścia.

Musiał chwilkę towarzyszyć im, zanim zapytał o hotel Paryski.

— Hotel paryski?...—odpowiedział zapytany—pa-pa-paryski?...

— Paryski...—powtórzył Prosper.

— Do hotelu?... Dwa, trzy kroki... i w hotelu jesteś...

Idź tędy...

Drogę wskazał. Hotel znajdował się za załomem gruntu.

Wszystkie cztery hoże oberżystki czekały na Prospera i półkolem go otoczyły. Na pytania, któremi został zasypany, odpowiadać czasu nie miał—tak jedne po drugich szybko następowały. Powiedział tylko, gdy go do sali jadalnej ciągnęły i o zachowaniu dla niego wieczerzy wspomniały, że mu się jeść nie chce.

— Chory!—wykrzyknęły na cztery głosy.

— Zdrow jestem—zaprotestował.

— Chory!—powtórzyły i naradzały się pośpiesznie nad zbudzeniem matki, posiadającej sposób leczenia wszystkich chorób.

— Zdrow jestem! zdrow jestem!—bronił się Prosper.—

Na dowód, o wieczerzę proszę, będę jadł.

Wieczerza wnet się na stole zjawiała. Prosper zasiadł, a przy nim, po dwie z każdej strony siostry, miejsca zajęły i rozmową go bawiły.

— Gdzieś pan był tak długo?

— Na przechadzce.

— Sam?

— Sam w końcu, a z początku nie sam...

— Z kimże?

Na pytanie to nie odpowiedział. Panny odgadywać zaczęły, wreszcie, gdy jedna z nich nazwisko pani Adeli wymieniła, razem krzyknęły, że odgadły.

— Pan się w niej kocha?

On ramionami wzruszył, pijąc wino.

— O, tak, tak!—szczebiotały i wśród szczebiotu odprowadziły gościa do pokoju sypialnego.

Niedługo już potem Prosper przy cukrowni pozostawał. Prezes rady zawiadowczej ofiarował mu dyrektorstwo i trzydzieści tysięcy pensyi; nie przyjął, bo w przekonaniu jego stryj pani Adeli podoła zadaniu, zmieniawszy system zarządu wedle udzielonych mu wskazówek. Prezes z łatwością przekonać się dał, honorarium wypłacił i młody człowiek, pożegnany uprzejmie przez wszystkich, w dalszą ruszył drogę.

## VII.

Jadąc do kopalni, położonej pomiędzy Mons a Charlerois, przejeżdżał Prosper przez Paryż. W „mieście-słońca” nie mógł jednak bawić tak długo, ażeby później o niem mówić, jako o miejscowości dobrze znanej. Zwiedził ważniejsze place, pomniki i galerye, parę wieczorów spędził w teatrze, parę razy obserwował ruch tego mrowiska, tętniącego życiem przyśpieszonym. Nie ominął też giełdy, gdzie udał się z przewodnikiem. Bankier, który mu honorarium wypłacał, był jednym z akcyonaryuszów cukrowni; ten nie tylko go w przewodnika zaopatrzył, ale na obiad zaprosił i informacyj udzielił. Ponieważ się jednak Prosperowi śpieszyło, zwiedzenie Paryża na później sobie zostawił.

W Belgii nie przytrafiło mu się nic osobliwego. Przyrzekł do pani Adeli pisać—napisał: zawiadomił, że jest na miejscu, że mieszka w hotelu i ma pracy po uszy; nie był jednak w stanie na list sentymentalny się zdobyć.

Czekał i żadnych się nie doczekał następstw. Natknął się na pracy huk, czas więc upływał mu z szybkością błyskawiczną. Wolne chwile obracał na zwiedzanie hut szklanych, fabryk porcelany, płótna, sukna, wyrobów żelaznych.

Przy takim zaprzątnięciu umysłu trudno mu było o pani Adeli pamiętać. Przypomnił sobie o niej na wyjeździe z Belgii, lecz uznał, że lepiej będzie przesłać jej zawiadomienie z Anglii, po rozpatrzeniu się na miejscu.

Do Anglii ciągnęło go od dawna, jak onego czasu żydów do Ziemi obiecanej, wędrował też do niej przez lat ośm z okładem, zbierając starannie wszelakie informacye o ojczyźnie Smitha. Gdy się, jako *studirender Gesell*, po uniwersytetach błąkał, zdarzały mu się u Anglików lekcye, przy których po angielsku się nauczył. Czytywał w tym języku pilnie książki i dzienniki; w ciągu dwuletniej pracy nad swoim dziełem, wejrzał w głąb tego, co się zwie popolicie „egoizmem angielskim”, i egoizmowi temu, wykazanemu dowodnie przez Smitha, oraz upiękzonemu przez Newtonów, Miltonów, Szekspirów, Byronów, Walter-Scottów i t. p., pragnął się z blizka przypatrzeć. Z wielkiem zadowoleniem w Duwrze (Dover) wysiadł na łód angielski.

Z parowca przesiadł się na kolej żelazną, dostawiającą podróżynych wprost do Londynu.

Przybył tutaj na kilka miesięcy przed pierwszą na kuli ziemskiej wystawą powszechną. Czyniono już do niej przygotowania: stawiano w Hyde-Parku pałac kryształowy, pierwotny wzór budowli, które następnie przejść go miały co do rozmiarów i smaku estetycznego. W dobrą trafił porę, nadającą się do studyów porównających w kierunku przemysłowym i handlowym.

Zarząd majątków lorda Littley'a nie mało pod względem administracyjnym pozostawiał do życzenia; w administracji tej trzymano się form i zwyczajów przestarzałych. Lord, używając za młodu świata i życia, nie wgląda w nic; gdy się ustatkował, pochłonąć się dał sprawom politycznym; na sprawy majątkowe dopiero zwrócił uwagę, gdy starość nadchodziła i córka, jedynaczka, miała zostać spadkobierczynią wadliwie administrowanej fortuny. Zabrał się więc stary lord do uporządkowania interesów, lecz sam sobie poradzić nie umiał. Zwracał się do ekspertów, ale i u tych rady nie znalazł. Wpadło mu w ręce dzieło Prospera, więc do dyrekcyi szkoły mannhemskiej się zgłosił, a córce, którą ze stanem rzeczy obznajamiał, powtarzał:

— Ten nas na czystą wyprowadzi wodę.

Córka, Eledis, liczyła lat dwadzieścia trzy należała do tego rodzaju kobiet, o które w wiekach średnich rycerze kopie kruszyli. Posiadała dwa przymioty, odznaczające ją w tłumie obywaterek Wielkiej Brytanii i Irlandyi: była jedną z najpiękniejszych i jedną z najfantastyczniejszych blondynek. Fantazje jej na tem głównie polegały, że zamąż wyjść nie chciała.

— Nie chcę! nie chcę! nie chcę!—powtarzała gniewnie.

Ojciec pozostawił ją samej sobie, nie sprzeciwiając się niczemu i nie dziwiąc się niczemu. Chwytały się jej zachcenia: podróżowania, na przykład; opłynęła kulę ziemską własnym okrętem i, zatrzymawszy się przez parę miesięcy na przylądku Dobrej Nadziei, uczyła się języka tuziemców. Innym razem czepiła się jej fantazya hodowania krokodyłów w Anglii—klimat i policya nie pozwoliły, co ją mocno zirytowało. W czasach ostatnich oddała się sportowi końskiemu: polowała, fajkę na krótkim cybuszku paliła i do grogu gustu nabrała.

„Rozpije się!...”—myślał z żalem dostojny lord, lecz się z tem nie odzywał, z obawy, ażeby się nie sprawdziło smutne jego przewidywanie.



Rozgadał się raz przed nią o nieładzie w majątku.

— Ja ład zaprowadzę—podchwyciła.

Dawała rozkazy i zakazy, sprowadzała ekspertów, burmistrzowała i wreszcie zaciekaowała się osobistością Prospera, o którego pracy przy niej wspomniano.

— Co to za jeden?—zapytała.—Niemiec?

— Nie. Polak.

— A to co?

Objaśniono ją, że tak brzmi nazwa narodu, do którego autor należy.

— Nie słyszałam o narodzie podobnym. Ale tem lepiej; nie spotkałam się jeszcze dotychczas z dzikim upolerowanym.

Z błędu, co się tyczy dzikości Prospera, nie wyprowadzano lordówny, dlatego też z niecierpliwością przybycia Polaka wyglądała. Poleciała, aby ją zawiadomiono, skoro Prosper się zgłosi.

Ten, po przybyciu do Londynu, przedstawił się w biurze intendenty dóbr, znajdującem się w jednym ze skrzydeł pałacu, w którym lord Littley przemieszkiwał zimową porą. Dano wnet znać panu o przyjeździe Prospera i ten go do swego gabinetu prosić kazał.

— Oczekiwaliśmy pana—rzekł do niego po powitaniu.

— Stawiam się na termin—odparł Prosper.

— Usiądź pan, pomówimy z sobą.

Rozmowa polegała na tem, że lord opowiedział o roli, jaką córka jego w zarządzie majątkiem odgrywa.

— Jest panią—mówił—czyni, co jej się podoba i przewidywać należy, że będziesz pan miał z nią trudności niejakię, których usunięcie zależy jedynie od pańskiego taktu.

Gdy słów tych domawiał, do gabinetu weszła, wpadła raczej, przesliczna kobieta w amazonce, z szpicrutą w ręku.

— Słyszałam—zaczęła—że ten rewizor przybył.

— Oto on, ten dżentelman—odpowiedział lord, oczami Prospera wskazując.

— Aa?—odezwała się, mierząc wzrokiem od dołu do góry młodego człowieka, który za jej wejściem z siedzenia wstał.—Dobrze, dobrze, oryginalny.

Prosper nie wiedział, do czego się wyraz „oryginalny” ściągał. Nie miał zresztą czasu nad tem się zastanawiać, wnet bowiem podchwyciła:

— Pojedziesz pan ze mną; nie odmówisz mi tego?

— Dobrze—odparł.

— Proszę.

Prosper, skłoniwszy się lordowi, poszedł za nią. Ze schodów schodząc, myślał sobie: „Czy nie zechce mnie na konia wsadzić?” Jeździł konno, ale w Kółku, i konia od lat ośmiu z górą nie dosiadał. Przypuszczenie to niepokoiło go potrosze, a niepokój jego wzrósł, gdy, na ganek wyszedłszy, ujrzał dwa wierzchowce osiodłane: jeden miał na grzbiecie siodło damskie, drugi męskie.

Ha!—powiedział sobie w duchu.—Przecież się nie cofnę!  
Wstyd odwagi mu dodał.

Gdy wsiadła ona i, konia zwróciwszy, na niego patrzyła, podszedł rezolutnie do przeznaczonego dlań wierzchowca i z niedowierzaniem na siodło angielskie spojrzął. Wtem przypomniał sobie, że dzieckiem będąc, na oklep jeździł. Nie wiele więc myśląc i teraz, za grzywę ręką ujął, nogę w strzemię włożył i usiadł na grzbiecie konia.

— Bardzo dobrze... oryginalnie—rzekła.

Cugle zebrał, w siodle się poprawił i ruszył obok niej—właściwie, dał wolę koniowi, który się z jej koniem zrównał i poszedł stępem.

Jechali wolno przez miasto. Zabrało to z pół godziny. Przez ten czas Prosper nabrał do siebie zaufania. Czekająca go jednak próba ciężka. Gdy do Hyde-parku wjechali, ledy Eledis dotknęła konia swego szpicrutą i puściła się kłusem. Koń pod Prosperem również kłusem poszedł; ujął go kolanami—kolana się ześlizgiwały; doznał podrzucania, któreby go niechybnie na kark rumaka strąciły, gdyby się nie uciekł do praktykowanego u nas przez chłopów, żydów i cyganów sposobu: trzymania się na koniu piętami. Do wierzchowca więc swego, jakby przyrósł, gwałcąc najgłówniejszą i najważniejszą angielskiego jeżdżenia regułę.

Ledy Eledis, spostrzegłszy to, zawołała:

— Oryginalne! *indeed!* oryginalne!

Następnie wyraz „oryginalne” powtarzała często, podczas gdy kłusem park objechali raz i drugi. Z parku wyjechawszy, znów konie stępem poszły. Prosper, zmęczony, odetchnął.

— *Thank you* (dziękuję)!...—rzekła, dłoń mu do uścisku przed gankiem pałacu podając.

Po takiej próbie nie było co myśleć o rozpoczynaniu w dniu tym pracy w biurze. Zmęczony i stłuczony, Prosper udał się do hotelu, na kanapie się rozciągnął i odpoczywał.

Odpoczywając, myślał o ledzie Eledis. Jasne jej, lnianej barwy włosy, oczy szafirowe, brwi łuczyste, ciemne, usta koralo-we, rysy oblicza regularne, kibić jakby utoczona, wszystko to razem wzięte zaprzętało mu wyobraźnię i łączyło się z zagadką, jaką dla niego był wyraz „oryginalne”.

Cóż ona pod wyrazem tym rozumiała?

Na wstępie do Anglii doznał czegoś, czego sobie wytłuma-czyć nie umiał i co z wywodami Smitha w najmniejszej nie znaj-dowało się styczności.

Upłynęło godzin kilka, zmrok zapadł. Prosper świece za-palił, ogarnął się i zamierzał do sali jadalnej na wieczerzę zejść, gdy usłyszał mocne we drzwi pukanie.

— *Herein*—odezwał się.

Do pokoju wszedł lord Littley.

— Córka moja—zaczęła, zajmwszy krzesło—przeszkodzi-ła mi w rozmowie z panem. Dla wznowienia narady czekał-bym sposobniejszej pory, gdyby nie wypadła potrzeba nagląca pomówienia z panem niezwłocznie. Oryginalność pańska, tak dalece córkę moją zajęła, że powzięła zamiar na model pański przerobić społeczeństwo angielskie.

— Oryginalność moja?—przerwał Prosper tonem najwyż-szego zdziwienia.

— Zdaje się, że oryginalnie na koniu jeździsz.

— Może... nie wiem—odparł głosem niepewnym.

— Powzięła zamiar reformę wprowadzić i na początek za-łożyć szkołę jazdy konnej pod pańską dyrekcją.

— Pod moją dyrekcją? szkołę jazdy konnej? Ależ to rzecz niemożliwa!

— Dla ledy Eledis niema rzeczy niemożliwych.

— Na nic podobnego zgodzić się nie mogę!

— Zgódź się pan, ale warunkowo.

— Jakże to?...

— Na propozycję, jaką ci uczyni, odpowiedz stanowczo, że honor cię zobowiązuje przedewszystkiem rewizji fabryki do-konać. Rewizya przewlecze się czas jakiś; będziesz miał do czyszczenia stajnie Augiusza; przez ten czas ledy zapomni: inny jakiś pomysł w głowie jej strzeli. Na punkcie honoru jest ona drażliwą: rację tę z pewnością uwzględni i swobodę ci zostawi, inaczej bowiem... O, córka moja, ledy Eledis Littley, nie jest kobietą zwyczajną. Więc—zapytał—zgadzasz się pan na ten wybieg dyplomatyczny, jaki ci proponuję?

— Najchętniej—odrzekł Prosper.

— Jutro, skoro przyjdiesz, wezwie cię na konferencyę z sobą.

Wizyta lorda dała dużo Prosperowi do myślenia. Ledy Eledis była siódmą w szeregu—siódmą w składzie tego źródła, z którego, wedle słów lorda, płynie trucizna pod firmą miłości.

„Pod firmą miłości”.

Firma ta wydała się mu niesłychanie pojętą.

„Reforma—mówił sobie—którą Eledis przedsięwzięć zamierza, jest prostem dziwactwem. Na co mnie ona porwała z sobą na przejażdżkę konną? To także dziwactwo... Ale firma?...”

Przypominał sobie rozliczne firmy, używane przez przemysłowców i kupców. Smok, zalecający pigułki od kaszlu; ptak rajski, opiewający tkaniny bawełniane; róg obfitości, osłaniający worek kawy; lew heraldyczny, trzymający w łapach szczoteczki do zębów: nie sąż to dziwactwa? A herby?

Takie myśli snuły się w głowie Prospera i usprawiedliwiały dziwactwo młodej kobiety.

Nazajutrz ledy przyjęła go w bogato i gustownie urządzonej bucluarze, w ubraniu świadczącym, że się po kobiecemu obchodziła z pięknnością swoją. W lazuruwej barwy *matinée*, w koronkach, w przerzuconym, od niechcienia, przez warkocze koronkowym szaliku, wyglądała zachwycająco. Trzymając w rękę książkę, traktującą o hippice w starożytnych i w nowszych czasach, siedziała na otomanie. Obok niej, na stolyczku inkrustowanym perłową masą, leżało nieoprawionych książek kilka, do tegoż odnoszących się przedmiotu, nóż z kości słoniowej do rozcinania kartek i parę malutkich flakoników, z kryształu rzeźbionego, w złoto oprawnych. W pokoju unosiła się woń subtelna i delikatna.

Na ukłon, przez Prospera złożony, ledy odpowiedziała skinieniem głowy i, wskazując na stojący nieopodal taburet, rzekła:

— Przysuń go pan i usiądź.

Prosper rozkaz wykonał.

— Wzięłaś się już do pracy?—zapytała.

— Nie jeszcze. Wczoraj nie mogłam; dziś...

— Za wcześnie jeszcze—podchwyciła.—Kazałam cię do siebie prosić, abyś mi pomógł do wykonania pomysłu, który jest—uśmiechnęła się—krótko mówiąc, wielki.



Mówiła spokojnie, z namysłem; widocznie ważyła wyraz każdy; wreszcie zapytała:

— Znasz Anglię?

— Nie znam, pani.

— Nie wiesz przeto, że wszystko się w niej chwieje, zaczynając od dołu, kończąc na górze. Chwieją się najpośledniejsi wyrobnicy w niepewności jutra; chwieją się pracodawcy, nieświadomi gruntu, na którym stoją; chwieją się słudzy anglikańskiego kościoła, niewierzący w prawdy, które głoszą; chwieją się sądy, niemające jasnej przed sobą drogi; chwieją się wszystkie instytucje pomiędzy złem a dobrem, pięknem a brzydkiem, pożytecznym a szkodliwym; chwieje się parlament od torysów do whigów i od whigów do torysów; chwieje się nasza królowa, nie wiedząc komu rację przyznawać; chwieje się, słowem, w Anglii wszystko.

— A przecie Anglia taka potężna!—ośmielił się Prosper wtrącić.

— Pozornie — odparła — jak porządek administracyjny w majątku naszym. Wistocie wszystko się chwieje, a wierny tego obraz odbija się w sportsmenach naszych. Lecz co o naszej konnej jeździe myślisz?—zapytała.

— Nie zastanawiałem się nad tem.

— Pod względem estetycznym jest wprost obrzydliwą, wstrętną, wymagającą gwałtownie reformy. Od czegoż zaczynać, jeżeli nie od tego, co się najbardziej w oczy rzuca? Będzie to otworzeniem luki, przez którą wejdzie do Anglii odrodzenie. Jakże, nie wielki to pomyśl?

Czekała na odpowiedź, z którą się Prosper nie spieszył. Odrzekł wreszcie:

— Być może... być może. Nie znając Anglii, nie śmiem w materyi tej orzekać stanowczo.

— Ale w ogóle?...—nalegała.—Wszak reformę jakąkolwiek od czegoś zacząć potrzeba? Czy tak?

— Tak.

— A zatem, ponieważ podzielasz pan ze mną zdanie, wzywam cię do zespolenia z mojem usiłowaniem swojej sztuki... Założę w Londynie ogromny maneż, na szkołę jazdy, sproszę wszystkich, którzy sport uprawiają, i pokażesz im, jaka zachodzi różnica pomiędzy chwianiem się na koniu a jeżdżeniem takim, że koń z jeźdźcem zlewają się w jedno, że wydaje się, jakby jeździec był do konia przykuty. Takim był jeżdżenia

konno ideał u starożytnych, na którego podstawie fantazyja ich wytworzyła hippocentaurów. Starożytni nie jedną nam cenną dają wskazówkę... Więc—zapytała—zespaldas się pan ze mną?

— Dobrze—odpowiedział Prosper, pomny na zalecenie lorda—ale nie zaraz.

— Kiedyż?

— Po ukończeniu pracy, do której zobowiązałem się kontraktem. Podpis mój...

— Długoż ta praca potrwa?

— Pół roku, może dłużej nawet.

— Pół roku?—zamyśliła się i po chwili zaczęła, mówiąc niejako do siebie:—Wystawa otwiera się w maju; do maja miesięcy cztery. Maneżu budowlę rozpocząć można będzie w kwietniu i skończyć w ciągu trwania wystawy, w czerwcu, w lipcu najpóźniej. To dobrze. Terminy pańskie wypadają odpowiednio do moich zamiarów. To dobrze. W lipcu przypomnę się panu.

Zadzwoiła. W progu zjawił się lokaj we fraku aksamitnym, z akselbantami, w białych pończochach, w trzewikach ze sprzączkami.

Rzuciła rozkaz i sługa ten przyniósł na tacy srebrnej podłużną, w safianowej oprawie, po brzegach złoconą, na klamerki zamykaną książkę, znacznej wielkości. Książkę tę, zawierającą w sobie informacje drukowane, jako też rubrykowane na każdy miesiąc kartki do zapisywania notatek, otworzyła i pod miesiącem lipcem zapisała: „Inauguracja szkoły jazdy”.

— Zatem—rzekła, do Prospera się zwracając—do widzenia, do miesiąca lipca w roku następnym.

Prosper rad, że się tak gładko wywinął, do biura się udał i pracę rozpoczął.

Praca jego na trzy rozkładała się warstwy: w Londynie biuro centralne, na prowincyi, w Anglii, angielskie, w Irlandyi—irlandzkie. Roboty miał dużo; dzięki jednak wprawie, jakiej nabył we Francyi i Belgii, z łatwością w labiryncie administracyjnym odszukał nitkę przewodnią i trzymając się jej, przyprowadzał do porządku sprawy powikłane. Z Londynu przeniósł się do stolicy hrabstwa, stamtąd do Irlandyi. Porządkując administrację, studyował hodowlę bydła i uprawę roślin pastewnych, ówdzie plony zbóż rozmaitego rodzaju. Czas mu upływał szybko; wśród zajęć nadchodziły propozycje od fabryk żelaznych, bawełnianych, porcelanowych, przerobów mlecznych,

wódek i innych, od kopalni i od banków. Proponujący, jakby się licytowali: ten ofiarowywał wynagrodzenie wysokie, ów jeszcze wyższe. Prosper wybierając przyjmował; rozłożył sobie pracę na lat pięć i tak wymiarkował, że każdy miesiąc przynieść mu miał w zysku tysiąc funtów sterlingów.

Przy zajęciach, mało Prosperowi pozostawało czasu na wdawanie się z płcią, niewieścią, której przedstawicielki, dzięki napływającym do jego kieszeni funtom, rade lgnęły do niego. Powtarzały jedne sympatyę Gretchen, owe impetyczność panien Pipard, inne tkliwość pani Adeli, której nie przesłał zawiadomienia, bo jej firmę miłości zubożyła firma uroczej ledy Eledis.

Obraz tej ostatniej ukazywał mu się niekiedy w ramach cyfr, w wieńcach obliczeń. Przychodził mu na myśl miesiąc lipiec, zwłaszcza, gdy dowiedział się o otwarciu wystawy w Londynie i w sprawozdaniach wyczytał nazwisko lorda Littley'a „z uroczą córką”, wymienione wśród wysokich dostojników i członków najwyższej arystokracji, mających miejsce w orszaku królowej. Zamierzony manęż w głowie mu tkwił, niby ćwiek, i niepokoił potrosze.

„Jeżeli się ledy naprze, ażebym na popisie wystąpił, co pocznę?” — zapytywał się w duchu.

Na wspomnienie kłusowania w parku, oblewały go zimne poty. Po ukończeniu czynności w majątku lorda, udał się do Londynu dla zwiedzenia wystawy, odebrania należności i popatrzenia na piękną ledy.

W Londynie, ku wielkiemu swemu zadowoleniu, dowiedział się, że budowla manężu do skutku nie przyszła. Kamień mu z serca spadł. Wiadomość tę usłyszał z ust lorda, gdy ten pisał dla niego przekaz do banku.

— O reformie sportu zapomniała — mówił. — Inny ją pomysł zajął obecnie.

O ten pomysł inny nie dopytywał się Prosper.

Spadł mu z serca ciężar jeden, był atoli jeszcze drugi, który niepokój mu sprawiał. Piękności takiej nie ogląda się bezkarnie i nie zapomina się o niej łatwo.

Niestety, po ukończeniu czynności administracyjnych drzwi pałacu lorda Littley'a zamknęły się dla niego. Jakiś tam Orzyński, który zaprowadziwszy w majątkach lorda porządek, zdwoił mu fortunę, stał się dla niego niczem. Dotrzymane z obydwóch stron zobowiązania rozwiązały się i usunęły Prospera w cień, w którym dla domu lorda zniknął.

Prosper to zrozumiał, miał jednak nadzieję, że się z lordówną spotka i że mu choć uśmiech w jałmużnie rzuci.

Jakoż spotkał się z nią parę razy: w parku, na ulicy, gdy konno lub w powozie przejeżdżała—lecz nie spostrzegła go.

Spotkał ją wreszcie na wystawie—skłonił się; nie okazała ani zdziwienia, ani gniewu, tylko żrenice jej, gdy na niego spojrziała, przybrały wyraz taki, jakby były ze szkła. Spojrzała i przeszła.

Krew mu do głowy uderzyła.

„O kobiety!...” —zawołał w duchu.

Lord Littley odwrócił się od niego, ale nie odwracali się ci, co go potrzebowali, między innymi bankier, do którego z przekazem lorda się zgłosił. Bankier poradził Prosperowi, zamiast deponować pieniądze i pobierać procent nie wysoki, zakupić akcyj tyle, ażeby mógł uzyskać prawo głosowania na zgromadzeniu akcyonaryuszy i wejścia do rady zawiadowczej.

— Zaryzykuj pan—tłumaczył.—Dwa tysiące funtów sterlingów, to drobnostka, kropla w morzu w kapitale zakładowym, wynoszącym milion funtów; lecz ten milion może z dziś na jutro podskoczyć na dziesięć milionów i pańską drobnostkę dziesięć-krotnie powiększyć. Weź przytem na uwagę to, że potrzebujemy usługi pańskiej i bardzo nam będzie miło mieć pana za spółnika, wypłacać panu procenty, dywidendy i, jeżeli do rady wejdiesz, żetony.

„To bogactwo w perspektywie!” —pomyślał Prosper i poszedł za radą bankiera.

W Londynie spędził dwa miesiące, studyjąc pilnie wystawę w zakresie przemysłu, handlu, komunikacyj i warunków, w jakich znajdują się kraje, wkluczone w sferę ruchu handlowo-przemysłowego. W studyach tych zwracał się często myślą do ojcowskiego Kółka.

„Tamby potrzeba rudla i kogoś przy rudlu.”

Była to niby stała zwrotka w symfonii na nutę ekonomiczną, co w duszy jego grała.

„Z bogactwem się zjawię i...” —resztę sobie w duszy dośpiewywał.

Z fabryki przenosił się do fabryki, z zakładu do zakładu, rewidował, plany kreślił, porządkował, w ruch puszczał i tak się wprawił, tak tajemnice powodzenia zgłębił, że od jednego niemal rzutu oka dyagnozę czynił i odpowiednie środki lecznicze przepisywał. Bank, gdzie został akcyonaryuszem, na drogę racjonalną wprowadził i, wkrótce po ukończeniu przy nim zajęcia,



dostał wezwanie na ogólne zgromadzenie akcyonaryuszów. Po sprawozdaniu, członkowie obecni, dowiedziawszy się, co mu zawdzięczają, zawotowali najprzód dla niego podziękowanie, następnie jednomyślnie na członka rady zawiadowczej wybrali; byłiby go wybrali na prezesa, lecz się wymówił ze względu na zobowiązania. Do Londynu przeto zjeżdżał od czasu do czasu, bądź gdy był wezwany, bądź też z własnej ochoty i wglądał w operacye bankowe znane mu, jak kieszenie własne.

Na tej drodze rósł w pierze. Ci, co byli z nim bliżej, podziwiali rozum jego i otaczali go szacunkiem, obliczając setki tysięcy, które corocznie, niekiedy co kilka miesięcy powiększały fortunę jego osobistą.

— Czemu się on nie żeni? — zapytywano.

Zapytanie to, nie towarzyskie, nie rodzinne, nie romansowe, ale kapitalistyczne względy miało na widoku. Ożenienie w tej sferze polega nie na połączeniu osób i założeniu ogniska domowego, lecz na połączeniu majątków. Według tego szacują się panny na wydaniu i kawalerowie na ożenieniu. Powszechnie twierdzono, że Rotszyldowie wydaliby za Prospera jedną z infantek swoich, dodaliby mu milion funtów sterlingów posagu i ubraliby go w tytuł barona, gdyby się tylko do nich o którąkolwiek z ich córek lub sióstr zgłosił. Utrzymywano nawet, że jedną z zamężnych rozwiedliby chętnie i ochrzcił dla niego. On się jednak nie zgłaszał, ani o Rotszyldównę, ani o żadną inną.

Ktoś wpadł na domysł:

— Dorasta Brinkówna, jedynaczka, posagu siedem milionów funtów: on na nią czeka.

Brinkówna dorosła i nie doczekała się Prospera.

Ten i ów przypominał mu przy okazji:

— Jest w Anglii, Szkocyi i Irlandyi sporo dużych posagów do wzięcia: trzeba tylko po nie rękę wyciągnąć.

Jemu, człowiekowi rachunkowemu, ekonomiście, statystycie, ledy Eledis głowę była zawróciła. Szło to stopniowo: od Gretchen do panien Pipard, od panien Pipard do pani Adeli, od tej ostatniej do panny Littley. Ledy Eledis dzieło uwieńczyła. Zjawiała się oczom jego pod postacią piękności niewieściej skończonej, ukazała mu w dali raj i raję tego drzwi przed nosem brutalnie zatrzaskała.

„Basta!” — powiedział sobie.

W bogactwo się wzbijał i myślenie o kobiecie na stronę usunął — do czasu powrotu w rodzinne progi.

## VIII.

Lat dziesięć z rzędu harował Prosper i doharował się pieniędzy; nie wiadano dokładnie ile miał, mówiono o czterech milionach. Liczba ta tyczyła się funtów sterlingów, co uznawano za rzecz, po angielsku *very*, po francusku *très respectable*. Przewidywano, że ten nowy bogacz założy jakiś na wielką skalę interes bankowy i, znając wszystkie przemysłowych i finansowych obrotów tajemnice, poprowadzi go tak świetnie, jak wielcy wojownicy, Aleksander macedoński, Cezar, Napoleon, kampanie swoje prowadzili. Świat finansowy sposobił się do śledzenia strategicznych i taktycznych manewrów, z jakimi się popisie. Ciekawość ogólna była nateżona, gdy się rozeszło, że Prosper coś nakształt likwidacyi urządzi.

— Wytnie on tu sztukę!—w tym sensie wyrażano się powszechnie.

On taką sztukę wyciął, że złożywszy kapitały w bankach, największą przedstawiających pewność, i zachowawszy akcye banku, który za jego sprawą zajął stanowisko jedno z najpoważniejszych wśród instytucyj finansowych, najkrótszą drogą do Kółka pojechał.

„Pachnącemi są dymy z kominów siola rodzinnego.” Przypuszczać należy, że Prosper nie znał poetów łacińskich i o wierszu tym nie wiedział. Mógłby jednak sam go napisać—takiego, gdy do wioski rodzinnej wjeżdżał, doznał wrażenia. Młodzikiem będąc, przed laty ją opuścił; wracał, jako mąż dojrzały. Wypchnęło go w świat pragnienie nieokreślone, przystrojone w formuły i cyfry, które mu się majaczyły nakształt tych ogników błędnych, co, wedle wierzeń ludowych,

ludzi na topieliska ciągną; wracał z jasno i wyraźnie wytkniętym, nauką i doświadczeniem podszytym celem życia, celem wykluczającym tkliwość, rzewność, sentymentalność, romantyczność, słowem wszystko, co z uczuciem w jak najbardziej pośredniej pozostaje styczności i wyobraźnią się posługuje.

A jednak, gdy od figury z Matką Boską ukazało mu się Kółko, gdy ujrzał nad wioską wzgórze, a na wzgórzu dwór słomą kryty, o rozciągający się za nim sad oparty, gdy dwór ten z bocianiem gniazdem obok komina w oczy mu się z po za załomu gruntu rzucił, uczucie wzięło nad rozumem górę i wycisnęło mu łzy z oczu. Trysły one same przez się, pierwiej nim się Prosper opamiętać zdołał. W chwilę później nad wzruszeniem zapanował; łzy otarł, na siedzeniu się poprawił i pocztalionowi kazał jechać powoli.

Prosper nikogo o swoim przyjeździe nie uprzedził. Obliczył lata i tak rozumował:

„Postarzeli, wrzuszycie ich wiadomość o mojem przybyciu i we wzruszeniu będą dni kilka wyczekiwali... Oszczędzę im tego... Nie poznają mnie, poznawanie przeto przygotowuje ich powoli i następnie wzruszenie zredukuje się do chwili jednej.”

Przypuszczał, że ojciec ma do niego żal, tem bardziej więc uważał uprzedzenie za zbyt uczynne.

Gdy, z powozu wysiadłszy, na ganek wchodził, znów mu się łzawo zrobiło, zdołał jednak łzy w sobie stłumić.

Na spotkanie jego wyszedł jegomość, należący, według wyglądu, do rodzaju tych, którym nadają nazwę „podtatuśiałych”: wzrost średni, tusza niezła, wyraz oblicza dobrotliwy, głowa duża, siwizną przyprószone i w łysinę się przystrajająca.

— Pan Walenty Orzyński?... czy go w domu zastają?... — zapytał Prosper.

Jegomość rozszerzonymi ze zdziwienia oczami na niego spojrział. Po chwili odrzekł:

— Ależ, panie!... Pan Walenty. Chyba pan dobrodziej nie wiesz?

Prosper patrzył na niego, patrzył w milczeniu, wreszcie z głębi piersi odetchnął i z ust wypchnął wyraz:

— Nie żyje?

— Od kiedy! Od lat bodaj dziesięciu.

— A matka?—zapytał.

W zapytaniu tem, wymówionem głosem ponurym, czuć było wzruszenie, które zafrasowało jegomości. Oczy szerzej otworzył i, jękając się, wygłaszać począł sylaby:

— Ma-a-tka czy-ja?

Przybysz nie odpowiadał. Usta jego i policzki drgały, brwi się ściągnęły pochmurnie, a powieki szybko to się podnosiły, to opadały.

W chwili tej wyszedł chłopak lat piętnastu i obok jegomości stanął, ciekawe wejrzenie przenosząc z przybysza na powóz, od którego poczylił konie wypręgał.

Prosper westchnął; westchnieniu towarzyszyło łkanie. Westchnął i odezwał się, jakby do siebie:

— I ojciec... i matka...

Rzekłszy to, odwrócił się; policzki i usta mocno mu zadrgały; chwilę patrzył na powóz walizami wypakowany i okurzony; ręką do kieszeni sięgnął i do podchodzącego w tej chwili po napiewek poczyliłona, w te przemówił słowa:

— Poczekaj... nie odjeżdżaj—może mnie odwieziesz.

Następnie, pomilczawszy chwileczkę, jakby myśli skupiał, pociągnął dłonią od czoła po twarzy i do stojącego, a wciąż zdziwionego jegomości, zapytanie zwrócił:

— Nie zechciałbyś mi pan udzielić szczegółów, tyjących się zgonu rodziców moich?

— Rodziców?! pańskich? to jest... pana dobrodzieja?!— w osłupieniu rzucał zapytany wyrazy.

— Orzyńskich—rodziców moich?

— Więc?... to?... więc?... Prosper!!—krzyknął na głos cały.

Wraz z okrzykiem jegomość na Prospera się rzucił, w objęcia go pochwycił i pocałunkami oblicze jego okrywał.

Okrzykowi jego zawtórował chłopak, temu zaś ostatniemu chór głosów dziecinnych, płynących z sieni i głębi dworu:

— Wujcio Prosper! wujcio Prosper!

Chórowi temu wnet odpowiedział głos niewieści:

— Prosper!

W jednej chwili przybyły ujrzał się w otoczeniu gromady dzieci, tłoczących się obok niemłodej jejności, okazałe i zdrowo wyglądającej.

Kobieta pochwyliła go w swoje objęcia.

Ścisłała, całowała, śmiała się i płakała.



Dziewięć, wśród której była panienka siedemnastoletnia, chłopak piętnastoletni, jeszcze jeden chłopak wyrostek, a dalej chłopaki i dziewczynki coraz to mniejsze, wykrzykiwała radośnie:

— Wujcio!... wujcio!...

Nie potrzebował więc Prosper rozmyślać, w jakie dostał się grono. Wyciskany przez szwagra i siostrę, pociągniętym został do wnętrza domu.

— Chodź!... chodź!...—wzywali, za ręce go trzymając.

Na progu oparł się.

— Poczekajcie!

— Ależ chodź!

— Pocztylion.

— Co tam pocztylion!

— Pozwólcie mi go odesłać, bom mu czekać kazał.

— Czekać?... na co?

— Myślałem, że odjadę.

— Ty?... odjeżdżać?... Ty już nie odjedziesz nigdy! Ty z nami zostaniesz na zawsze!

— Pocztyliona odprawię.

— Ja go odprawię!—podchwycił pan Oktawiusz.

— Powóz niech zostanie, on zaś z końmi odjechać może.

Prosper wręczył jednemu z chłopców sztukę monety dla pocztyliona i z całą państwą Cerhowskich rodziną wtargnął do pokoju bawialnego — do „światlicy”, wedle nomenklatury dawniejszej.

Była to „światlica” w postępowym, pod względem komfortu, zreformowana domu. Reforma przedstawiała się, jako *mixtum compositum*, co bywa zwykle w momentach przechodzenia od starych do nowych zwyczajów i porządków; spostrzegać się to dawało na meblach i na upiększeniach pokoju bawialnego. Nieboszczyk Walenty do stołków dawniejszych dodał kanapę i krzesła z poręczami; stół dębowy o czterech nogach zmienił na okrągły, politurowany, na jednej toczony stojący nodze; lanszafty pozostawił starodawne. Obecnie stołki znikły, do krzeseł z poręczami dodano fotele, lanszafty zmieniono na obrazki litografowane, nad kanapą umieszczono zwierciadło, w oknach pozawieszano firanki i w kącie ustawiono fortepian. Zmieniło to z gruntu wygląd pokoju i to tak dalece, że Prosper, wszedłszy i obejrzawszy się, uczuł w sercu żal srogi. Umiał

jednak nad nim zapanować i łzę, co się na oczy wydzierają—połknął.

Siostra, smukła, szykowna niegdyś Anusia, dziś była otyła, o obliczu czerwonym, zamaszysta, na *hic mulier* wygląająca.

— Prosperku! Prosperku!—nawoływała.—Ty od nas nie odjedziesz... nie?

— Nie—odpowiedział.

— Na pewno?

— Jak najpewniej.

— Skąd-że ciebie Pan Bóg prowadzi?

— Z Londynu.

Nastąpiły pytania: kiedy wyjechał, czy pogoda sprzyjała, którą się z Londynu jedzie.

Przy tem zapytaniu, jeden z chłopców krzyknął:

— Ja wiem, mamol!

— Co ty tam wiesz!—burknęła pani Anna.

— Wiem, którą się jedzie z Londynu.

— Którędyż?

— Przez morze... okrętem...

— Otóż nie!—rzekł chłopak drugi.

— Jak to nie?

— Bo przez cieśninę.

— E!... te!... to!... nie...—bąkać zaczął znawca drugi, a na obliczu zbierał się mu wyraz zaperzenia, grożącego wojną domową, któraby nastąpiła, gdyby siostra starsza nie objęła brata w pół ramieniem i nie przyciągnęła do siebie.

Pani Cerhowska rzuciła w tej chwili ciekawe pytanie, co Prosper w Londynie porabiał?

— Pracowałem—odrzekł.

— Ale on głodny być musi—odezwał się siedzący po drugiej stronie stołu pan Oktawiusz.

— Ach, prawda!—krzyknęła.—Marysiu! biegaj prędzej, niech kucharz dwoje kurcząt zarznie i duchem upieczel!

Marysia zerwała się z siedzenia.

— Masła mu wydaj sama!

Dziewczyna przed matką stanęła.

— Czegóż stoisz?

— Klucze.

Pani Anna po biodrach się rękoma kilkakrotnie uderzyła i wykrzyknęła:

— Ach! gdzieżem je podziła? Marysiu, moje dziecko, poszukaj! Możem je zostawiła w garderobie, może w moim pokoju, może na łóżku, może... czy ja wiem gdzie!? Głowę straciłam, jak usłyszałam, że Prosperek przyjechał.

— Prosperku, damy ci pokój Oktawiusza... On się przemiesie do chłopców, którzy przez wakacje stoją w oficynie.

— Właśnie jeden z tych pokoiów w oficynie mnie dajcie.

— Ale, gdzież tam! Jeszcze czego!

— Nie chcę Oktawiuszowi subiekcyi robić.

— Co za subiekcyą!—zaprotestował Cerhowski.—Ja się z chłopcami pomieszczę i będzie nam dobrze.

— I mnie byłoby dobrze. Stanałbym w mojej dawnej kwaterze.

— Sto batów daćbym sobie kazał, gdybym takiego jak ty gościa do oficyny odesłał. A, nie! Chodźmy.

— Idźcie... idźcie... ja tymczasem klucze znajduję—rzekła pani Anna.

Zbytecznem byłoby zdawać sprawę z tego, jak lokaj i służba stajenna znosili walizy i pakunki, jak dziewczki przyniosły balie i kilka wiader wody, jak siostrzeńcy przy wuju się kręcili i w usługiwaniu mu spółzawodniczyli jedni z drugimi, z jaką ciekawością gapili się na przybory toaletowe, na szczotki, flakony, ogromną gąbkę, włochaty ręcznik, na różne drobiazgi, wydobywane z waliz przez Prospera, który nareszcie wszystkich wyprosił z izby.

Pani Anna kluczów szukała wciąż i ogromnie się irytowała.

Przywołała cały fraucymer i, gdy się to wszystko ruszyło, z ust jednej z dziewczek rozległ się okrzyk radośny:

— Klucze!

— Gdzie były?

— Kot się na nich położył.

— Ach, ty, kociuro!—krzyknęła pani Anna i zaaplikowała kotce, pochwyconą na prędce szczotką od włosów, raz taki, że miauknęła i jak szalona z izby wybiegła.

Pani Anna sama do spiżarni poszła, zadysponowała kucharzowi sałatę ze śmietaną do kurcząt i pierogi leniwe.

Prosper zastał stół nakryty. Miał najprzód do zjedzenia kurczęta z sałatą i pierożki leniwe; następnie podano herbatę, a przy herbacie poziomki ze śmietaną, po pełnym, głębokim talerzu na osobę, z wyjątkiem gospodarza domu, na którego dołą

przypadła średniej miary salaterka. Pani Anna salaterkę i Prosperowi ofiarowała, ale wyprosił się. Na zakończenie dnia przyszła jeszcze wieszaczka. Prosper, mówiąc dobranoc, zapytał:

— Rano wstajecie?

— Po gospodarsku... rano.

— O której?

— Jak się zdarzy: raz trochę wcześniej, znów później... po wschodzie słońca. A ty?—zapytała pani Anna.

— O siódmej. Pytam was, bom nie przyjechał po to, ażeby z założonemi siedzieć rękami. Jutro rano, Oktawiuszu—do szwagra się zwrócił—pomówimy.

— Po kawie—podchwyciła pani Anna.—A co pijasz: kawę, czy herbatę?

— Wszystko mi jedno.

— Co wolisz? Do czegoś się przyzwyczaił?

— Wszystko mi jedno—powtórzył.—Jaja macie?

— A jakże!

— Zamawiam sobie dwa jaja na miękko. Dobranoc!

Nazajutrz przy kawie rozpatrzył się najprzód w ilości dzieci; było ich siedmioro: czterech synów, trzy córki. Dwaj starsi w szkołach się uczyli, młodszy w domu się przysposabiali; do pańienek państwo Cerhowscy trzymali guwernantkę, która je uczyła wszystkiego, głównie zaś języka francuskiego i muzyki. Pani Anna przy kawie oznajmiła bratu, że guwernantka, która właśnie na wakacje do rodziny odjechała, była przedtem u hrabstwa Trypolskich.

— Dziewczęta od niej okrutnie korzystają; przekonasz się: zagrają ci... Zagrajcie wujciowi!—zwróciła się do starszych córek, podnosząc palec z gestem rozkazującym.

Po kawie dziatwa płci męskiej udała się na otwarte powietrze; pańienki zajęły się w bawialnym pokoju robótkami; państwo Cerhowscy przeszli do pokoju, w którym Prosper noc przepędził i zasiedli z nim do pogadanki, do której za wstęp posłużyło bolesne wspomnienie o śmierci rodziców.

Państwo Walentostwo pomarli prawie niespodzianie, jedno po drugim; pierwsza na lepszy świat wyniosła się matka. Za przyczynę śmierci tej ostatniej podali państwo Cerhowscy stan jej chorobliwy; za przyczynę śmierci ojcowskiej—wiek. Nie dodali jednak, bo sami o tem nie wiedzieli, że przyczyny te nie podziały same przez się, lecz spotęgował je dodatek: odjazd Prospera. Matka pocieszyć się nie mogła: dobiła ją zgryzota. Ojciec



zmartwieniu się oparł, lecz oprzeć się nie zdołał radości, jakiej doznał, gdy otrzymał od Prospera list, zapowiadający jego powrót: dobiło go uradowanie. List ów starzec wszystkim do czytania dawał, odczytywać sobie kazał, niepiśmiennym opowiadał; wrzusał on go do głębi za każdym odczytaniem, a w okolicy rodzącej legendy o Prosperze tworzył. Przyczyna śmierci ojca, natury czysto psychicznej, obcą państwu Oktawiuszostwu była; opowiedzieli tylko, że matka i ojciec skonali z imieniem syna na ustach.

Prosper westchnął i oczy otarł, tym razem już nie mógł lez połknąć. Trapiło go przecucie, że to on był powodem przedwczesnej śmierci rodziców, lecz nie czuł jednak w sobie grzechu, bo pędził życie w ciężkiej pracy, długi czas w biedzie, nie dla celów samolubnych, tylko dlatego, aby rodzicom dać z siebie pociechę a krajowi swemu pożytek.

Pisywał do rodziców dość często, choć zwykle krótko, bo i czasu nigdy nie miał, i nie umiał długo rozprawiać o sobie, ani o swej tęsknocie do domu. Rodzice brali ten lakonizm synowski za obojętność, gryźli się nim i odpisywali także lakonicznie, żeby nie drażnić syna, nie przysparzać mu zmartwienia. Łzy i wymówki pozostawiali do osobistego spotkania się, a Prosper brał tę taktykę za dowód, że rodzice są spokojni o niego, że są zadowoleni. Nieszczęście chciało, iż list siostry o złym stanie ich zdrowia, który skończył się śmiercią obojga, nie doszedł Prospera; gdzieś zaginął w drodze.

Młody człowiek w milczeniu słuchał sprawy ze stanu interesów majątkowych.

Ojciec zostawił testament formalny, w sądzie zaoblatowany. Testamentem przekazywał majątek synowi, warując dla córki posag, który w połowie sam wypłacił, do wypłacenia zaś drugiej połowy zobowiązywał Prospera o tyle, o ile w czasie nieobecności jego Cerhowski nie wybierze jej z dochodów, jakie wypuszczone mu w dzierżawę Kółko przyniesie.

Kółko zadzierżawili Oktawiuszostwo w roku śmierci matczynej, musieli się bowiem przedtem jeszcze, nim się dzierżawa liczyć zaczęła, sprowadzić i zamieszkać przy osamotnionym starcu.

— Więc już wybraliśmy nasze—rzekła pani Anna do brata—i jeżeli nam się kalkulować każesz...

— At!—machnął Prosper ręką i zapytał:—A Zabrzezie?

— W Zabrzeziu trochę się rozszerzyliśmy—odpowiedział Oktawiusz.—Splaciłem Wołowiczów, gdy do podziału poszli,

a było ich tylu, żeby się każdemu dostało po półtora chłopca; kupiłem część Kociolkiewiczowej, która po śmierci męża w magnatkę się zabawiła i po uszy w długi wlaża; mam jeszcze na oku Borbulińskiego, który się na zabój rozpił; żonę, nie mając jej za co trumny sprawić, w kojcu pochował i ostatkami goni.

Prosper słuchał, lecz wciąż milczał.

— W Zabrzeziu gospodaruje Sedynowicz.

— Który się ożenił—podchwyciła pani Anna, usłyszawszy to nazwisko.

— Gospodaruje za dziesiąty grosz—ciągnął dalej Oktawiusz—jest niby rządcą, niby dzierżawcą.

— Ma troje dzieci, matkę i siostrę przy sobie.

— Chodził dzierżawami i stracił. Ale to gospodarz dobry, tylko mu się nieszczęściło: raz mu grad zboże wytłukł tak, że na nasienie kupować musiał, znów pomorek na bydło spadł, a trafił na jurisdatora bez czci i wiary, i w służbę pójść musiał. Dowiedziawszy się, że się za obowiązkiem kręci, zaproponowałem mu, i nie żałuję tego. Człek z głową: często-gęsto i mnie poradzi, jak naprzykład niedawno z temi burakami, na których ludzie się pozarzynali.

— Z burakami?—zapytał Prosper.

— Z racyi tej cukrowni...

— Jakiej cukrowni?—głośniejszym głosem wymówił, bo specyalność nagle go ożywiła.

— Eh! to cała historia. Przypominasz sobie marszałka?

— Ruczajskiego?

— Nie żyje już, ale za życia do spółki z synami i z zięciem postawił cukrownię, która, gdy iść zaczęła, wszystkim się zdawało, że się złote otworzyły upusty... Jezu, co się działo! Buraki wszystkim głowy pozawracały. Kociolkiewiczowa na burakach zwaryowała, karetę sobie kupiła i służbie jasną panią tytułować się kazała; Barbuliński rozpił się, też tylko to z powodu buraków. Czy uwierzysz, że niektórzy zamożni obywatele tak się burakami obsadzili, iż własnego żyta na chleb, własnej hreczki na kaszę, własnego owsa dla koni nie mieli. I mnie buraki skusiły.

— I—znów pani Anna podchwyciła—gdyby nie Sedynowicz...

— Byłbym wyszedł, jak wszyscy w okolicy—dokończył pan Oktawiusz. — Cukrownia stoi obleżona przez wierzycieli. W przeszłym roku jeszcze szła, nareszcie stanąć musiała.

Procesów ma bez liku, a do tego spółnicy się między sobą prawują i z pewnością z torbami pójdą. Bankructwo i tyle!

— Skądże do bankructwa przyszło?

— Nikt tego nie rozumie, jedni żydzi chyba. Oni przewidywali koniec taki.

— Gdzie ta cukrownia leży?

— W Orkach... niedaleko stąd. Pamiętać musisz Orki?

— Pamiętam. I marszałka pamiętam... to był człowiek wykształcony.

— A synowie jego: jacy to ludzie wykształcenil... phi phil Po francusku ci, jak rodowici Francuzi, mówią, a w preferansa jak z nut grają.

— Powiadasz więc, że żydzi przyczynę bankructwa wiedzą.

— Zdaje się, ale od nich prawdę wydobyć trudno. Na tem bankructwie majątki, huncwoty, porobili. Bernstein, na przykład...

— Z Orki?

— Musisz go pamiętać?

— Pamiętam... zbożem, zdaje się, handlował.

— Handlował on i handluje nie tylko zbożem. Otóż on na bankructwie cukrownianem ogromny zrobił majątek, a cała okoliczna szlachta beknęła.

— Czy i ty?

— Byłbym beknął i ja, gdyby mnie Piotr za połę nie przytrzymał... Piotr Sedynowicz.

— Któręgom ja nastęczyła—wtrąciła pani Anna.

— Więc on o bankructwie coś wiedzieć musi?

— Może... coś trochę... nie wiem... To pewna, że miał nos.

Wyszliśmy obronną ręką i w Kółku i w Zarzyńcach. Kiedy inni burakami ziemię wycieńczyli i nie wiedzą, co z nią robić, to my zawczasu, potrosze, daliśmy jej wypoczywać i dziś, jak za dobrych starych czasów, siejemy pszeniczkę, żytko, owies, jęczmień, hreczkę, proso... U mnie pszenica dojrzewa, wkrótce żniwa rozpoczne.

Rozmowa się wlokła, bo Prosper znowu westchnął i zamilkł. Nagle turkot na podwórzu zwiastował gościa.

Pani Anna przez okno wyjrzała.

— Błocki—rzekła.—Jeden ze spółki cukrownianej.

Oktawiusz na ganek pośpieszył.

Błocki, zięć marszałka Ruczajskiego, był jednym z najgorliwszych promotorów założenia cukrowni. Obecnie, jako

spólnik, procesował się, z jednej strony, z dostawcami buraków, z drugiej—ze szwagrami swoimi.

— Muszę i ja wyjść do niego—odezwała się pani Anna.— Wyjdiesz i ty?—zapytała brata.

— Później trochę.

— Zostanie na obiedzie.

Po odejściu siostry, Prosper czas jakiś chodził po izbie w zamyśleniu. Zastanawiał się nad tem, o czem się dowiedział. W rodzinne strony sprowadziła go nie sama jeno tęsknota. Z gruntu angielskiego przedstawiały się mu one pod postacią dziewiczej, przez przemysł i handel niewyzyskanej krainy, w której nadzwyczajności twerzyć można. Nadzwyczajności owe miał na widoku, dla nich przyjechał. Bankructwo fabryki nie trwożyło go bynajmniej, bankructw powody znał na palcach. W fabryce orkiskiej ujrzał przedmiot, nadający się do zaczepienia rąk.

„Rozpatrzę się, zobaczę” — mówił do siebie.

Państwo Cerhowsy dali mu jeno wyobrażenie ogólne. Błocki nadawał się do powzięcia wiadomości bardziej szczegółowych. Pochodziwszy więc z kwadrans po pokoju sypialnym, wyszedł do bawialnego.

Błocki, człek mocno już siwizną przyprószoney, małego wzrostu, chuderlawy, o wejrzeniu świdrującem, obejrzał Prospera od stóp do głowy i przystroił do niego oblicze w wyraz wielkiej uprzejmości. Bywalec w świecie, nabył niejakej wprawy w ocenianiu ludzi z pozoru. Ludzi bogatych cechuje coś, po czem znawcy ich przeczuwają. Błocki przeczuł Prospera i od razu okazywał mu atencye większe, aniżeli by okazywał, gdyby w nim nie widział nic innego, jak tylko syna pana Walentego, co się był gdzieś zawieruszył i obecnie przyjeżdża, celem objęcia spadku po rodzicu. Przeczuł w nim coś więcej, aniżeli prostego dziedzica Kółka.

— Pan dobrodziej do nas aż z Londynu?—zaczął.

— Prosto z Londynu.

— Jakże się mizernie wydawać musi panu dobrodziejowi po Londynie Kółko!

— Jak rodzinna wioska.

— Tak... hm... Rodzinna wioska ma swój urok, niemniej przeto cokolwiek razi różnica, jaka zachodzi pomiędzy naszymi rodzinnymi wioskami a Anglią pod względem kultury, komfortu i samego wyglądu.



— Jest i w Anglii rażących rzeczy dużo, więcej nawet, aniżeli u nas.

— Pan dobrodziej myślisz zapewne o kontraście wielkiego bogactwa wobec wielkiej nędzy.

— U nas tego niema.

— Tak... temu nie przeczę. Ale też niema u nas tego ruchu, tego życia, tych pojęć szerokich, jakie się w Anglii w oczy rzucają. Czy, pozwolę sobie zapytać, długo pan dobrodziej w Anglii bawił?

— Kilka lat.

— Więc pan ją znasz na wylot.

— Trochę.

— Jam dwoma nawrotami do Anglii zaglądał. Raz w czasie wystawy.

— Byłeś pan na wystawie? Mogliśmy się spotkać przy okazji jakim.

— I pan dobrodziej byłeś?

— Przez dwa miesiące.

— Że też się nie spotkaliśmy! Ale spotkać się w takim mieście, to to samo, co znaleźć się dwom ziarnkom w korcu maku... Olbrzymie miasto!... No, a wystawa... Tam dopiero człowiek widzi, co to przemysł... To nie to, co u nas... Z marszałkiem nieboszczykiem taki świetny zaczęliśmy interes przemysłowy i poszedł na marne. Pan dobrodziej—zapytał Prospera—wie o czem mówię?

— Domyślam się.

— Owóż... Ale co o tem gadać! Bebechy bolą! Interes stanął od razu znakomicie, poszedł z miejsca, niby chronometr angielski; urządziłem administrację, sam ją prowadziłem, lecz w końcu wszystko to psu na budę się nie zdało. Od roku cukrownia funkcyonować przestała, a za lat kilka stanie się ruiną, ozdobą pejzażu, jak zamki nadreńskie.

— Musi być jakaś przyczyna—odezwał się Prosper.

— Przyczyna? Przyczyna da się jednym określić wyrazem: spółka.

— Wadliwie zorganizowana—wtrącił Prosper.

— Nie to, panie. Była ona zorganizowana dobrze: organizowałem ją sam, ale pan Karol swoim dworem, pan August swoim. Com ja się nie naprosił! nie namolestował! Słuchać mnie nie chciano. Oto przyczyna główna, jądrowa. Z niej wywiązały się następstwa, które się wywiązać musiały: pan

Karol i pan August procesują się wzajemnie i mnie procesują, ja ich a nas wszystkich razem i każdego z osobna procesują do-  
stawcy, żydzi, urzędnicy. Z porządnego, ze świetnego interesu,  
w przeciągu lat piętnastu zrobiła się wieża Babel.

Rozgadał się i opowiadał, w końcu Prosper zapytał:

— Czy nie mógłbym zwiedzić fabryki?

— Ale i owszem. Pozostaje ona pod dozorem sądowym,  
to jednak nie przeszkadza. Jeżeli pan dobrodziej jutro ma czas  
i zechce się do Orek pofatygować, najchętniej mu za przewodni-  
ka służyć będę. Zajeżdżam do Bernsteina.!

Pani Anna oznajmiła, że barszcz na stole. Rozmowa się  
przerwała.

---

IX.

Błocki po herbacie z Kółka wyjechał.

— Wiesz, po co przyjeżdżał?—zapytał Prospera Oktawiusz.

— Żeby się wygadać.

— Dowiadywał się, czy Zarzyńce w dzierżawę zamierzam puścić.

— Jeszcze co!—zaprotestowała pani Anna.

— Powiadał, że taka krąży pogłoska.

— Któż szerzy podobne plotki?

— Z palca ją sobie wyssał, ażeby mi zamiar podsunąć. Gdyby nie obecność Prospera, byłyby mi uszy spuchły od słuchania dowodzeń Błockiego, żem powinien Zarzyńce jemu wdzierżawić.

— Złe trafił—odezwał się Prosper—bo ja was wyruguję z Kółka, ale nie zaraz.

— Gotowiśmy ustąpić ci, choćby natychmiast—odrzekła pani Anna.

— A cóżby pan Piotr z sobą zrobił?

Na zapytanie to, zamigotały pani Annie oczy. Prosper ciągnął dalej:

— Mieszkajcie sobie w Kółku do przyszłej wiosny. Pan Oktawiusz będzie łaskaw porobić dla mnie jesienne obsiewy, a ja tymczasem pokręcę się.

— Za czem?—zapytała pani Anna.

— Za rozmaitemi rzeczami, między innymi za żoną.

— Żenić się chcesz!—zawołała.

— Może nie pora?

— Ależ pora! pora! jaka pora! Myślałam nawet, żeś się w Anglii z jaką Angielką ożenił. O! żeń się, żeń się, Prosperku!

— Możebyś mi w tem pomódz zechciała.

— Pomódz tobie? — zamysliła się. — Przedewszystkiem wybrać.

— Naturalnie i to taką, któraby mnie chciała i którą-bym ja chciał.

— A jaką wolisz: brunetkę, blondynkę, szatynkę, żywą, powolną?

Prosperowi przypomniały się brunetki, cztery siostry z hotelu Paryskiego, przypomniła się szatynka, pani Adela, przypomniła się jasna, idealnie piękna blondynka, lady Gledis.

Pomyślał chwilę i odpowiedział:

— Trudny wybór. Zostawmy go losom. Trafi się taka, co się mnie spodoba i której się ja spodobam, wezmę, nie patrząc na kolor warkoczy, brwi i oczów. Wobec ułomnej możebym się wzdragał nieco i stanowczo nie chciałbym garbatej, kulawej i ślepej.

— Tobie potrzebaby dobrze wychowanej.

— Co przez to rozumiesz?

— No... dobrze wychowanej, takiej, coby grała, śpiewała, po francusku mówiła, słowem posiadała talenty i bogatej... żeby wniosła ci przynajmniej sto tysięcy złotych.

Uśmiechnął się i rzekł:

— To kwestya postronna, ale przedewszystkiem potrzebuje: koni, powozu, służącego.

— Nasze konie, nasze bryczki i nasi służący są na rozporządzenie twoje—podchwycił Oktawiusz.

— Dziękuję, ale nie przyjmuję. Chcę niezależności zupełnej. Gdy po wakacyach chłopcy wyjadą, ulokuję się w oficynie i będę miał swoje własne konie, swój własny powóz i swoich własnych służących, utrzymywanych moim własnym kosztem.

— Ah! Oh!—jednym głosem zawołali z wyrazem silnego protestu pan Oktawiusz i pani Anna.

Pani Anna dodała:

— Nas, jak obcych, traktujesz.

— Powiem wam krótko: jeżeli chcecie, żebym w Kółku, pod waszym dachem...

— Pod swoim dachem—wtrąciła.

— Jak długo w Kółku gospodarujecie na mój rachunek, póty dach jest waszym... a zatem: jeżeli chcecie, ażeby pod waszym dachem prezimował, zostawcie mi zupełną swobodę, w przeciwnym bowiem razie, pojedę do Zawłoki, w Zawłóce



najmę lub kupię sobie domek i tam główną swoją założę kwarterę. Oto moje *ultimatum*. Zgadzacie się... dobrze; nie?... drugie dobrze.

— Cóż z ciebie, mój Boże, ta Anglia zrobiła! Co się nieboszczka mama nagryzła!... Co się namartwił nieboszczyk ojciec!

Prosper nic na to nie odpowiedział. Słowa pani Anny wywołały widmo, wyrzucające synowi zgryzoty matczyne i zmartwienia ojcowskie. Na chwilę przykre zapanowało milczenie.

. . . . .  
. . . . .

— Jakże to zrobić—zapytał Oktawiusz nazajutrz Prospera—z temi końmi, powozem?...

— Potrzeba mi powozu lekkiego, bo mój za duży i za ciężki.

— Ale dobry, obejrzałem go gruntownie: co to za robotą! Szruby, szrubki, jak w zegarku, a sprzączki, rzemienie, rzemyki, guziki, co za robotą!... istny mebel. Takiego tu nie dostanie, chyba aż w Łabuniu, gdzie są dwa składy powozów wiedeńskich. Ale możebyś chciał najtyczanki?

— Wolałbym powóz z budą spuszczaną i z paru walizkami.

— A to do Łabunia trzeba jechać. Na S-go Jana z Dukli, za dwa tygodnie, tam jarmark doroczny, trzydniowy. Ja jechać muszę—pojedziesz?

— Cóż przez dwa tygodnie robić będę?

— Co? będziesz z nami. Gdybyś chciał wyjechać, jak naprzykład jutro do Orek, dam ci koni.

— Dwa tygodnie: tyle czasu zmarnowanego!

— Powiozę cię do panien—odezwała się pani Anna.

— Pierwej jednak obejrzę cukrownię. To także, jak wy-miarkowałem z gadania Błockiego, panna do wzięcia: źle wychowana, ale nie bez zalet.

Państwo Oktawiuszostwo słowa te za żart wzięli i żartem jedno z nich odpowiedziało:

— Teraz żydzi ją zabiorą.

— Na co?

— Na to, żeby rozebrać i sprzedawać cegły, kotły, kadzie, pompy, zamki, skoble. O! żydzi wszystko sprzedać potrafią.

— Zobaczmy—rzekł Prosper.

W dniu następnym, przy kawie, zapytał go szwagier, o której godzinie chciałby do Orek wyjechać.

— Któraż to?—popatrzył na zegarek.—Ósma, za godzinę.

— Na obiad wrócisz?

— Godzina do Orek, godzina z powrotem, dwie godziny na oględziny, więc, jeżeli Błockiego zastanę, o pierwszej stawię się do stołu. Jeżeli jednak Błockiego nie zastanę, w takim razie nie czekajcie na mnie.

— Poczekamy do drugiej, do trzeciej...

— Nie, w żadnym razie, nie czekajcie wcale. Cukrownia mnie zajmie i zabierze więcej niż trzy, cztery godziny. Znam się trochę na tem.

— Jakże? bez obiadu będziesz? Ależ to tak nie można!

— Nie troszcz się, Anusiu, o mnie. Bywałem bez obiadu nie raz i nic mi się nie stało złego. W Orkach mnie to nie spotka, boć przecie u Bernsteina coś się znajdzie.

— Żydowskie jedzenie.

— U Bernsteina pożywić się można—rzekł pan Oktawiusz.—Zawsze ma u siebie marynaty doskonałe, a przytem trafić można na szczupaka faszerowanego. Co to dziś?... piętek—ano, to szczupak faszerowany będzie.

— Nie troszczcie się o mnie: dam sobie radę—uspakajał Prosper siostrę.—Skoro marynata jest na pewno, a szczupak w perspektywie, do tego szklanka piwa, to głodu ani pragnienia nie zaznam.

— Każ sobie wiszniaku dać; wiszniaki Bernstein ma pyszne—wtrącił Oktawiusz—i miód, i wino węgierskie, ale wiszniak szczególnie.

Prosper znów na zegarek spojrział.

— Dziewiąta dochodzi.

— Konie gotowe. Niech zajeżdża!—rzekł rozkazującym tonem Oktawiusz do lokaja.

Wkrótce turkot i palnięcie z bata rozległy się.

Na ganku Prosper uśmiechnął się na widok najtyczanki, lekkiej i eleganckiej, ciągnionej przez cztery w lejc konie.

— Na cóż tyle koni?—odezwał się do wyprowadzających go, w otoczeniu całej rodziny, siostry i szwagra.

— Dla szyku—odpowiedział ten ostatni.

— Bernstein by sobie Bóg wie co pomyślał, gdybyśmy ciebie wyprawili parą koni—dodała pani Anna.

Prosper głową z lekka pokiwał, lecz nie protestował.

Wnet za wsią wjechał pomiędzy zbożem zasiane role—po jednej stronie drogi łąn żyta, po drugiej pszenicy. Czerwcowe słońce świeciło jasno i metaliczny odblask nadawało brunatnym pszenicznym i bladym żytnim kłosom, pochylającym się pod ciężarem dojrzewającego w nich ziarna. Układały się nieruchomie, niby woda na jeziorze, gdy jej wiatr nie muska; kiedy niekiedy jednak leciuchny ruch powietrza mącił je i wówczas wydawały cichy szelest, jakby pomiędzy sobą szeptały.

Dzielne konie szparko unosiły bryczkę, po kurzącej się mocno drodze. Nagle, zamiast łąnów zbożem okrytych, rzuciły się Prosperowi w oczy rozległe pola pokryte zielskiem, porastającym na brózdach.

— A toż co!—zawołał tak głośno, ażeby go furman na koźle usłyszał.

— A to, proszę wielmożnego pana, orkiskie pola—odpowiedział woźnica.

— Czemuż one nie uprawione?

— Wedle cukru. Ale tak być musiało, bo zboże idzie z Boga, a buraki...

— Także z Boga...

— Ono to niby tak, ale wszystko wedle swego przeznaczenia. I pokrzywa, i blekot też od Boga... bo je Pan Bóg przeznaczył na to, ażeby się ich ludzie strzegli. To tak samo, jak z grzechami.

— Przecież buraki—zaczął Prosper, którego rozmowa zainteresowała.

— Dobrze na barszcz, nie na cukier. A do czego będzie miód?

Tu woźnica ku koniom się zwrócił i przeciągle huknął:

— Wio! hi!

— Jak wam na imię?—zapytał Prosper.

— A Grzegorz...

Niebawem pokazały się Orki: dwór najprzód i wieże kościelne, dalej toki, gumna, wreszcie wieś w zieleni sadów tonąca, gorzelnia, młyn i w niejakiem za wsią oddaleniu mury dużej, pokrytej czerwoną dachówką budowli.

Najtyczanka przejechała, bez zatrzymywania się, przez niezamknięty kołowrot. Stała przed austeryą. Miszurys wybiegł, kółeczkie konie i furmana poznał, lecz się zastanowił wobec nieznanego mu przybysza. Prosper wysiadł; miszurys go bystro okiem zmierzył, uprzejmie się uklonił i przemówił do niego:

— Jaśnie panie...

— Czy pan Błocki przyjechał?

— Nie, jaśnie panie, nie, prosim uniżenie.

Żydka intrygował domysł, co to za figura, której pan z Kółka dał najlepsze swoje konie i najlepszą bryczkę.

— Czy mam zajechać?—zapytał Grzegorz z kozła.

— Zajedź!—odpowiedział Prosper—po co się z końmi na słońcu piec.

Miszurys wskazywał przybyszowi pokój gościnny.

— Tu... tędy, jaśnie panie. Tu jaśnie hrabina z Koliby nocowała. Tędy, jaśnie panie.

Prosper wszedł.

— Może samowar? może przekąska? może jaśnie pan czego się napije?

— Nie... dziękuję, pić nie chcę.

— Nie dla picia, ale dla skosztowania. Jest u nas kuniaka echt francuska.

— Poczekam na pana Błockiego.

— Jak sobie zechce jaśnie pan. Pana Błockiego tylko co nie widać. Wun zajężdża do nas. Czy jaśnie pan rozkaże drzwi zamknąć? — zapytał z progu, lecz na odpowiedź nie czekając, drzwi zamknął i pędem ruszył do furmana, którego zapytał:

— Ile wiązek siana?

— Dwie.

— Długo tu zabawicie, panie Grzegorzu?

— Spytaj pana.

— Cóż to za pan?

— Spytaj go, tylko pejsy schowaj, ażeby ci nie poobrywał.

— Niby wun taki straszny?

— Straszny nie straszny, ale pejsów żydowskich nie lubi.

— Dlaczegooby lubić nie miał?

— Bo z Londynii przyjeżdża, gdzie żydów na roznach pieką.

— Co wy, Grzegorzu, o Londynii wiecie!

— Wiem więcej, niż ty.

— Ja wiem, że tam Grzegorz nigdy nie był.

— A ja wiem, że tam był mój pan, mojej pani brat, który Kółko na siebie bierze.

— Pani? pani Cerhowskiej brat? A skądże się u niej brat wziął?



— Co mam z tobą język strzępić! Zrzuć mi dwie wiązki siana!

Poprowadził konie ku żłobom a miszurys, zamiast po siano, ruszył do izby mieszkalnej arendarstwa z zawiadomieniem, że goj, który Cehrowskiego bryczką przyjechał, jest pani Cerhowskiej bratem, przybywającym z Londynu i że zaczeka na Błockiego. Stary, bardzo poważny Bernstein, przyjął to zawiadomienie obojętnie, również jak jego wielce poważna małżonka. Czem był dla nich właściciel Kółka!... Żydówka, pomilczawszy chwilę, zrobiła mężowi uwagę, że goje, którzy z zagranicy przyjeżdżają, mają zwyczaj fortunki puszczać, a zatem, luboć Kółko, to interes niewielki, zawsze może stamtąd coś kapnąć. Stary Nuchim, nic na to żonie nie odpowiedziawszy, wstał, pas na sobie poprawił, brodę dłonią pogładził i do gościa wyszedł.

I na niego, jak na miszurysa, powierzchowność Prospera wrażenie wywarła, nie tak atoli silne.

— A—zaczął—wielmożny pan przypomniał sobie o nas nareszcie! Gdzież to wielmożny pan bywał? słyszę, w Londynie?

— Byłem i w Londynie.

— Tyle czasu! Kiedyż to wielmożny pan na ten tam jakiś fakultet pojechał? A, rychtyg, było to w tym samym roku, kiedy u nas cukrownia stanęła. Mamuńcia płakała, tatuńcio płakał. Ileż razy tatuńcio ze mną o wielmożnym panu gadał! Tożby się cieszył, gdyby żył. Pocięchy tej się nie doczekał... nu, ale cóż robić! Każdemu z nas śmierć sądzona. Wielmożny pan—zapytał w końcu—na pana Błockiego czeka?

— Tak... był wczoraj w Kółku, umówiliśmy się, że się w Orkach zjedziemy.

— To on jeno widać, jak przyjedzie. On tu często zagląda z przyczyny cukrowni.

— Mam z nim właśnie cukrownię obejrzeć.

— Co tam jest do oglądania? Wszystko poszło na *ferfał*.

— Możeby się naprawić dało.

— Ktoby tam naprawiał! Naprawiali, łatali—pan Błocki i panowie Ruczajscy, i dołatali się takich kłopotów, że od ich dziesiątej części człowiekowi by głowa pękła. Jeszcze i drugich za sobą pociągnęli. Z takim kapitałem, jaki oni mieli, nasz żydek zrobiłby na cukrowni złoty interes.

— Niech się więc żyd do cukrowni weźmie.

Którędy do szczęścia.

— My, żydzi—odparł Bernstein sentencyonalnie—do takich tylko bierzemy się interesów, które robić umiemy. Nu, ale co tam! Nawarzyli sobie piwa, niech zdrowi piją; wielmożny pan z nimi pić nie będzie. Wielmożny pan do Kółka?

— A do Kółka—odpowiedział Prosper.

— W Kółku w tym roku, Bogu dzięki, urodzaj *fajn*.

— Przejeżdżając, widziałem łany. Piękny urodzaj.

— Nu, chwalić Boga: to tak, wielmożnemu panu, na przywitanie. Ja zawsze kupuję kółeczkie zboże, to i do wielmożnego pana, da Bóg jesieni doczekać, wiernika posłę.

— Chyba do mego szwagra, którego zastąpię dopiero na wiosnę.

Żyd na to szerzej powieki roztworzył i spokojnie odpowiedział:

— To wszystko jedno.

W chwili tej przed austeryą zatrzymał się powóz i w parę chwil później do izby wszedł Błocki.

— Długo pan dobrodziej na mnie czekał?—zapytał po przywitaniu się.—Jedenasta dochodzi... Stokrotnie przepraszam... Byłbym wcześniej przyjechał, ale zaskoczono mnie... Ach! te interesa. Wyrzebię się jednak, nie prawdaż, panie kupiec?—zwrócił się do Bernsteina.

— Coby miała być nie prawda!—odparł żyd.—Tylko, że prawda siedzi daleko i dojść do niej trudno.

— Nie za morzami jednak... Jakoś dojedziemy. A cóż—zapytał—dobijemy targu?

— Pięćdziesiąt.

— Niech już będzie sto pięćdziesiąt.

— Pięćdziesiąt—powtórzył żyd.

— Sto dwadzieścia pięć.

— Pięćdziesiąt.

— A to twardy człowiek!

— Ja twardy dla miękkich, a miękki dla twardych.

— Będę więc twardym i ja: nie opuszczę niżej.

— Nie siłuję—odrzekł Bernstein.—Wielmożny pan wie o tem, że nie nalegam.

— Pan dobrodziej gotów?—zwrócił się Błocki do Prospera.

— Służę panu.

— Pójdziemy, czy pojedziemy?—zapytał.

— Chodźmy lepiej: jazda uwagę rozrywa.

Na podsieniu zabiegł im drogę miszurys, ze zwróconem do Prospera zapytaniem:

— Dla wielmożnego (już „wielmożnego”, nie „jasnego”) pana przygotować obiad?

— Dobrze, ale na dwie osoby. Zechce mi pan ten zaszczyt wyświadczyć?—zapytał Błockiego.

— Właściwie na obiad wrócić zamierzałem do siebie, ale w takim towarzystwie. Dla kompanii dał się cygan powiesić. Tak rzadko zdarza się nam sposobność obcowania z kimś ze świata ucywilizowanego.

Miszurys recytować począł:

— Rosół z łoszyną, mięso z chrzanem, kura pieczona, marchew duszona, szczupak faszerowany, ryba marynowana, kasza z grzybami...

— Cóż mam z tem robić?—odezwał się Prosper.

— Niech wielmożny pan wybiera.

— Kiedy nie potrafię. Może pan—przemówił do Błockiego—raczy mi przyjść z pomocą.

— Dacie więc nam—zaczął Błocki—przedewszystkiem marynatę, potem rosół, sztuka mięsa, szczupak, no, kura wreszcie i marchew.

— Wino jakie?

— Bordeaux, rozumie się, ale to... wiesz?—palcem pokiwał.

— Wiem—odparł miszurys.

— A Ruchla niech służy.

Miszurys wrócił, a panowie poszli.

— Huncwot żyd—odezwał się Błocki.—Stary trzyma przy sobie wnuczkę na przynętę. Pokazywała się panu dobrodziejowi?

— Nie.

— Pokaże się, jeżeli Bernstein parol na pana zagiął. Biedny Gucio Wrzącki puścił na nią mająteczek i w łeb sobie strzelił. O mało się tak samo nie urządził Babrowicz; skończyło się na tem, że się rozstał z żoną. Cukierek—nie żydówka, cukierek, powiadam panu dobrodziejowi; oczy szczególnie, czarne, aksamitne, jakieś szatańskie. Ostrzegam przed nią pana dobrodzieja.

— Dziękuję—odrzekł Prosper i chciał o cukrowni pomówić, lecz go Błocki zapytał o Angielki.

I tak go ta materya zajęła, że pół godziny stał przed bramą fabryki, opowiadając o jakiejś Jeni, za którą pogonił był do Londynu.

— Ha! było się młodym—tłumaczył się.

Wpadłszy na opowiadanie o kobietach, Błocki mówił o nich nawet wewnątrz fabryki; nie on Prospera, ale Prosper jego oprowadzał. Jeden miarkował, zastanawiał się, coś sobie notował; drugi opowiadał o jakiejś Żulienie.

— A było mi, panie dobrodziej, nieskładnie...

— Rozgniatalnia buraków stanowczo naprawy wymaga—odezwał się Prosper.—Wadliwie zbudowana.

— Co pan mówił

Prosper w niego się wpatrzył.

— Mówię o rozgniatalni buraków.

— A ja o Żulienie. Cha, cha!—zaśmiał się.—Małe nieporozumienie. Cha, cha!

Na zegarek spojrzął.

— Pierwsza dochodzi... obiad czeka.

— Chciałbym raz jeszcze system pieców obejrzyć.

— Co panu dobrodziejowi na tem zależy?

— Byłem przy cukrowniach za granicą, chciałbym więc porównać.

— Chodźmy na obiad!

Błocki się spostrzegł, że nie na gawędziarza trafił. Dla naprawienia błędu, jakiego się dopuścił, wszczął o cukrowni rozmowę.

— Widziałeś pan dobrodziej i przekonałeś się: jest to złote jabłko. Serce żal ściska na myśl, że to jabłko w proch się rozsypie. Ha! sami sobie winni. Ja bo, co się mnie tyczy, mam sumienie zupełnie spokojne. Co do mnie należało, zrobiłem i *au delà*; prosiłem, molestowałem—nie słuchali mnie.

Zoczywszy miszurysa, krzyknął na niego: Lejzor!

Miszurys z pośpiechem podszedł.

— Obiad!

— Tilki siadać i jeść... wszystko gotowe.

— Przed obiadem wódka, ale, słuchaj! jeżeli mi drugi raz, jak wtedy... pamiętasz? śmierdziuchy dasz, to sam wypijesz.

Miszurys zbliżył się i półgłosem zawiadomił:

— Przyjechali te dwa panicze.

— Jacy? skąd?...

— Ten z Wiatraków i ten z Baraniej Woli. To oni z wielmożnymi panami będą obiad jedli.

— Dobrze, podajcie jeno, bo mi z głodu w żołądku psy wyją. Jestem głodny i zmęczony.



W izbie gościnnej, w której na środku stał stół, na cztery osoby nakryty, dwaj gogowie prowincjonalni grali w ekartę przy bocznym stoliku.

Błocki szepnął Prosperowi do ucha:

— Obaj tną do Ruchli koperczaki i wypijają Bernstei-nowi wiszniak, na którym on czterysta na sto zarabia. O! to kliger żyd... umie interesy prowadzić.

Błocki podszedł do grających i wówczas dopiero jeden z nich, głowę podniósłszy, rękę mu lewą podał i powitał:

— A! pana dobrodzieja...

Drugi uczynił to samo ręką prawą, mówiąc:

— Panu dobrodziejowi memu szacunek!

— Któremuż z panów karta idzie?—zapytał Błocki.

— Ano... mnie—odpowiedział jeden.

— To źle... Kto w karty szczęśliwy, ten w miłości nie-szczęśliwy.

— Fortuna i w kartach i w miłości kołem się toczy.

W tej chwili wniesiono wódkę i marynatę. Z półmiskiem w rękę weszła młoda, bardzo ładna, gustownie przystrojona dziewczyna.

— Oczy w prawo!—zakomenderował Błocki, mrugnawszy na Prospera.

Ten obojętnie przy stole usiadł. Dwaj ekarciści z miejsc się zerwali i ku żydóweczce z gestami legawców poskoczyli.

Ona na nich spojrzeć nawet nie raczyła. Do Prospera się uśmiechnęła, półmisk z marynatą na stole postawiła, kilka słów miszuryśowi po żydowsku szepnęła i odeszła.

— W ręce pańskie—odezwał się Błocki, niosąc do ust pełny kieliszek gorzałki.

— Wyzwania nie przyjmuję—odparł Prosper.

— Jakto, wódki pan dobrodziej nie pijasz?

— Nie pijam.

Młodzi ludzie golnęli po kieliszku i do jadła się zabrali.

Rozmowa przy stole snuła się ustawicznie około kobiet.

Prosper słuchał, milcząc; zniecierpliwiał się jednak w końcu do tego stopnia, że, skorzystawszy z przerwy, głos zabrał:

— Panowie! czy nie macie nic innego do opowiadania?

— Na-przy-kład?—odrzekł z przekąsem jeden z mło-dzieńców.

— Czyście nic nigdy nie czytali? o niczem nie myśleli? żadnej idei nie umiłowali?

Młodzi obywatele zdziwieni spojrzeli na siebie i zwrócili oczy na Błockiego z takim wyrazem, jakby na to liczyli, że on za nich na te dziwaczne pytania odpowie.

Błocki zdziwił się również, czuł, że odpowiedzieć potrzeba, ale rozumiał, że odpowiedzi racjonalnej niema. Nie było sposobu innego, jak tylko rzecz w żart obrócić. Tego też sposobu się chwycił i, zwracając się do młodzieńców, przemówił:

— Ten pan wprost z krajów dzikich: z Anglii, Francji, Niemiec przyjeżdża i nie poznał się jeszcze z naszymi ucylizowanymi obyczajami.

— *Very well*—skinął Prosper z uśmiechem ku Błockiemu głową i tak ciągnął dalej:—W krajach tych niektórzy ludzie dzikość do tego posuwają stopnia, że nie pozwalają przy sobie lekceważąco o kobietach mówić; że uważają to za użyczenie własnym matkom, siostrom i żonom. Nie chcę panów zwodzić, twierdząc, że wszyscy tak czynią. Nie! są i tam cywilizowani, ale ja do nich nie należę. Moja wina, iż panów nie uprzedziłem, że jestem dziki. Przepraszam. Wybaczyc mi proszę.

— Ci panowie przepraszają pana dobrodzieja—odezwał się Błocki na zakończenie sprawy, która w awanturę zmienić się mogła.

Obiad w austeryi Bernsteina zakończył się zgodnie i spokojnie; po obiedzie Prosper, już bez przewodnika, raz jeszcze cukrownię obejrzał.

## X.

Cerhowscy mogli być wzorem obywatelstwa, które lat temu mniej więcej czterdzieści stało na przełomie między porządkiem dawniejszym, z pola schodzącym, a nowym, w perspektywie się ukazującym. Poczuli się do przewodniego stanowiska społecznego; przeczuwali, że stanowisko to jest tymczasowem—utrzymać się długo nie da; czynili więc ustępstwa. Dzierżyli Kólko i mieli za sobą regułę: *beatus qui tenet*, mieli przeto podstawę do dogodzenia tradycyjnej skłonności, do pieniactwa, nie przeszkadzającej zgoła ani uczuciom rodzinnym, ani gościnności. Ileż to rodzeństw, szczerze się kochających, zawzięcie się procesuje! Cerhowscy tej skłonności folgi nie dali; ściśle się do testamentu nieboszczyka ojca zastosowali i gotowi byli Prosperowi na wiosnę ustąpić; gotowi byli udzielać mu rad, pomocy nawet. Nie przypuszczali, ażeby przyjechał z fortuną. Było koło niego porządnie, posiadał własny powóz, porządeczki znamięnowały, że coś ma; wątpili jednak, ażeby to „coś” wielką być miało rzeczą.

— Kilka, kilkanaście tysięcy — rzekł pan Oktawiusz. — Gdy te wyjdą...

A żona mu na to:

— Czemuż on się od nas kalkulacyi nie domaga?

— Czy nie fanaberya to? W pana się bawi: wyekspensowawszy się, rachunków zażąda i o procenta się upomni.

— Trzeba być na to przygotowanym.

— A trzeba — potwierdził mąż, który z nawyknięcia po-dzielał zawsze zdanie żony.

— I wyperswadować mu, ażeby nie kupował koni, powozu, nie przyjmował służących. Do czego to?

— Fanaberya.

Uwagi te zamienili z sobą państwo Cerhowscy, wyczekawszy się z obiadem na powrót Prospera z Orek. Wprawiło ich to w humor fatalny, bo nie w porę zjedli i przysłała im na myśl Ruchla. Młodzi ludzie rujnowali się dla niej, była bowiem niby owa zaklęta księżniczka z bajki, piękna i nieprzystępna, posyłająca ubiegających się o nią rycerzy po kwiatki w przepaść. Przepaścią tą były wiszniaki i inne nalewki Bernsteina, które wywabiały prezenta i wspaniałomyślne datki, przyjmowane przez Ruchlę z uprzejmem podziękowaniem.

Pełniła ona funkcję świecy, do której ćmy lecą i w której się palą.

Państwo Cerhowscy przeto, zjadłszy późno obiad, niepokoić się poczęli. Po obiedzie upłynęło czasu sporo i już do herbaty nakrywano, kiedy Prosper się zjawił.

— Czegożeś tak długo bawił?

— Rozpatrywałem się w cukrowni i w Orkach.

— Musisz być głodny?

— Zjadłem obiad suty.

— Był szczupak nadziwany?—zapytał Oktawiusz.

— Był szczupak, była i Ruchla.

Państwo Cerhowscy zamienili z sobą znaczące spojrzenia.

— Prześliczna dziewczyna.

Spojrzenia ich skrzyżowały się znowu ze znaczeniem wyrazistszym.

— Muszę cię znów—do Oktawiusza się zwrócił—o konie prosić.

— Zapewne do Orek—pomyśleli mąż i żona.

— Muszę—powtórzył—i przykro mi to...

— Ależ—odpowiedział Oktawiusz.—Co ci ma być przykro. Konie, bryczki są na rozporządzenie twoje.

— Czasu nie tracąc, chciałbym do Zarzyniec pojechać.

— Do Zarzyniec?—zapytała pani Anna.

— Piotr ci rad będzie—rzekł Oktawiusz.—On jeden, kiedyś się zagranicami włóczył, utrzymywał, że się nie zaprzepaścisz.

— Dawno się ożenił?

— Będzie już lat z dziesięć, jeżeli nie więcej.

— Nie, nie więcej—rzekła pani Anna.—Najstarszy jego chłopak dziewięć lat kończy.

Odległość do Zarzyniec wynosiła półtrzeciej mili.

— Przenocujesz tam—rzekła pani Anna, żegnając brata.



— Może nawet, jeżeli wam konie nie bardzo potrzebne, zabawię dłużej.

— Możesz bawić, jak długo ci się podoba.

Zabawił trzy dni.

Nie łatwo było domyślić się, jaki Prosper powziął zamiar.

Nie otrąbił tego, że jest człowiekiem bogatym; żydzi to przeczuwali tylko, ale na pewno nic nie wiedzieli; siostra i brat powątpiewali, ażeby mu, gdy Kółko obejmie, starczyło na zagospodarowanie się porządne.

Tymczasem Prosper już sobie cukrownię w Orkach zakarbował i postanowił nabyć ją, jeżeli przedstawi interes korzystny. Szwagier, Błocki, Bernstein nie byli to informatorowie, którymby zaufać można: jedni na rzeczy się nie znali, inni mieli interes fałszywie ją oświecać. Sedynowicza znał dawniej i sympatyzował z nim bardziej, aniżeli z Cerhowskim, był to bowiem jeden z rzadkich w czasach owych obywateli, który szkoły skończył i nauk nie uważał za rzecz zbyteczną. Z nim Anusia z pewnością nie byłaby zapomniała o wielu wiadomościach, jakie w jej panieńskiej ulokował głowie, gdy z nią w ogrodzie pod kwitnącą siadywał jabłonią i deklamował sonety Mickiewicza, z których jeden „Dobry wieczór” do dziś zapamiętała.

Państwo Sedynowiczostwo zajmowali w Zarzyńcach dwór, z którego się, dla zamieszkania przy ojcu, wyprowadzili Cerhowscy. Był to dom obszerny i wygodny. Dawni mieszkańcy nie zabrali z sobą wszystkich sprzętów, skutkiem czego pokoje nie stały pustką i zachowały to przeznaczenie, jakie miały dawniej: bawialny pozostał bawialnym, jadalny jadalnym, kancelarya kancelaryą; w innych wygodnie mieściła się rodzina, której każdy członek w latach dojrzałych posiadał mieszkanie osobne.

Gdy Prosper przed ganek zajechał, na spotkanie jego, do sieni, wyszła tylko dziewczka służebna.

— Pan w domu?

— Niema w domu: w pole pojechali—odpowiedziała.

— Wróć niebawem?

— A jakże, wróć.

— Czy mogę na nich poczekać?

— A jakże!—powtórzyła.

— A gdzie?

— Gdzie wielmożny pan zechcą.

— W sieni?—zapytał Prosper tonem żartu.

— W sieni, czy gdzieniebądź.

— A może w ganku?

— Można i w ganku... a ja zaraz skoczę.

Prosper na ławce usiadł i rozglądał się po podwórzu, mającym typowy wygląd zagrody gospodarskiej. Obszerne oskrzydlały je zabudowania, po jednej stronie stajenne, po drugiej mieszkalne. Z po za stajni przeglądała obora i szopy; oficyny przylegały do ogrodu warzywnego, ciągnącego się w dół, ku stawowi. Od bramy, na lewo, wznosił się śpichlerz, którego podłoga nie dotykała ziemi. Pomiędzy śpichlerzem a bramą sterczał źóraw od studni ocembrowanej i w żłoby zaopatrzonej. Oficyny mieściły w sobie kurniki i karmnik, a od strony stajni było wejście do piwnicy, obok której stał słup z kołkami do suszenia kładuszczyków. Na płotach, po jednej i drugiej stronie bramy wjazdowej, wiły się liściaste łodygi tykwy (*cucurbita pepo*), poprzątykane żółtym kwiatem, a gdzie niedzie zielonemi, w części dojrzałymi owocami.

Zagroda ta przypomniała Prosperowi zakład rolniczy w Mannheim. Przypatrywał się wszystkiemu z zajęciem. Każdy szczegół budził w nim wspomnienia. Gdy zwrócił uwagę na chodzące po podwórzu, pod wodzą koguta kury, w oczach mu stanęła Gretchen. Przypomniały się mu jej śpiewy w kurniku, jej rozmowy, jej zaloty. Uśmiechnął się i pomyślał sobie:

„Miałem głowę zaćwiekowaną ekonomią i statystyką... Gdyby nie to, zostałbym może szczęśliwym małżonkiem pulchnej niemeczki.”

Zamyślił się. Wyraz: „małżonkiem”, nasunął mu do głowy coś nakształt zadania, którego nie umiałby rozwiązać.

„Zdam to chyba na Anusię”—rzekł do siebie.

Z zamyślenia wyrwał go głos niewieści, kontraltowy, który nie śpiewał, ale krzyczał:

— Olesiu! czego się tam gapisz! chodź prędzej!

Na wołanie to odpowiedział głos dziecinny:

— Ależ, ciociu, taki duży, szary, w centki konik polny! Takiego nigdy w życiu nie widziałem!

— Szarańcza może—odpowiedział głos kontraltowy.— Ale zostaw ją! Biegnij do tego gościa, co przyjechał, grzecznie się z nim przywitaj i powiedz, że mama zaraz przyjdzie a tatko przyjedzie!

Głos ten—rzecz dziwna—wywarł na Prosperze wrażenie, bardzo się mu spodobał.

Na ganek wpadł chłopak dziewięcioletni, który, ujrawszy gościa, stanął niby wryty.

— Jak się masz?—rzekł Prosper.

Chłopak ślinę przelknął, głowę przekrzywił, palcami przebierał począł i odrzekł:

— A ja myślałem, że pan... że pan w bawialnym pokoju.

— Czy to mi źle w ganku?

— Nie... ale... pan gość...

— I nieznajomy... co?

Chłopak oczy podniósł i odpowiedział:

— Nie-zna-jo-my.

— Nie wiesz, jak się nazywam, a ja wiem, jak ci na imię.

— Jak?

— Oleś. Szedłeś z ciocią.

— A... bo to... my z mamą i ciocią ogórki do kwaszenia wybierali. Ach!—zawołał, jakby nagle coś sobie przypomniał—mama zaraz przyjdzie, a tatko przyjdzie.

— Wiem i o tem—odrzekł Prosper.

Chłopak ze zdziwieniem na niego spojrział, zwrócił się i do sieni wpadł.

Po niejakiś czasie, z wnętrza domu wyszła kobieta, może trzydziestoletnia, przystojna, bez pretensyi odziana i zaczęła od przeproszań. Usprawiedliwiała nieobecność męża, a przeproszała za to, że gość w ganku czekał.

— Niechże się pani tem nie trapi—odparł Prosper.—W ganku mi było bardzo dobrze, tem bardziej, że rozbudził on we mnie różne wspomnienia.

Przedstawił się.

Imię i nazwisko jego usłyszawszy, pani Sedynowiczowa odezwała się przeciągle:

— Gość taki niespodziany.

— Niby z tamtego świata.

— Prawie. Proszę pana!

To mówiąc, drzwi wchodowe wskazała.

Prosper udał się do bawialnego pokoju, w którym pani Sedynowiczowa rozmowę od następujących rozpoczęła wyrazów:

— Jakaż to dla Piotra będzie niespodzianka!

— Równa tej, jaką Cerhowskim sprawilem.

— Może trochę mniejsza, bo państwo Cerhowsy nie wiedzieli, czy się pana spodziewać, czy nie, Piotr zaś ciągle na pana czekał. Przeczuwał pana.

Z tego tematu wywiązała się krótka dyskusya, którą przerwało wejście osoby trzeciej.

— Siostra mego męża—rzekła pani domu.

— Prosper wstał, skłonił się i nazwisko swoje powiedział.

Panna Karolina, usłyszawszy nazwisko, przeciągle na gościa zwróciła wejrzenie i obok bratowej miejsce zajęła.

— Dla Piotra niespodzianka—odezwała się pani Sedy-nowiczowa.

— A tak—odparła, na Prospera ciekawie spoglądając.

Ten patrzył na nią z zajęciem, chociaż nie było w niej nic nadzwyczajnego. Nieszpetna blondynka, bladawa, smukła, zgrabna, w osłoniętej fartuszkim szarym, perkalikowej sukience; przy pięknych—zgasłaby, przy brzydkich—wyróżniłaby się. Nie było w niej nic osobliwego, chyba pogoda w oczach, na czole, w uśmiechu.

Kontraltowy ton głosu stanowił rodzaj kontrastu z jej postacią.

Prosper wobec niej stracił pewność siebie.

— Czemu nie przyjeżdża?—odezwała się pani Piotrowa.

— Zabrał z sobą mapę. Klonowscy kopiec rozrzucili i karczmę na należących do części pana Czerhowskiego gruntach stawiają—odpowiedziała panna Karolina.

Gdy zamilkła, Prosperowi żal się zrobiło, że dłużej nie mówiła.

Zapanowało chwilowe milczenie, które przerwała gospodyni domu wykrzyknikiem:

— O, Piotruś!

Dosłyszała tętent konia.

— Niechże się pan nie odzywa! Czy on też pana pozna?

W sieni słyszeć się dał głos chłopaka:

— Gość, tatku!

— Kto?—odezwał się głos męski.

— Jakiś pan taki, co ja jego nie znam, a on mnie zna.

Do bawialnego pokoju wszedł mężczyzna krzepki, szpakowaty, mocno ogorzały, z obliczem świadczącym o otwartej głowie, śmiałym umyśle i prawej duszy. Wszedł, przed Prosperem stanął i gdy żona powiedziała: „poznaj, kto to”, w oczy się mu wpatrzył. Po chwilce odezwał się:

— Po oczach poznaję, ale... może się myłę.

— No?—zapytała żona.

— Czy nie Prosper?



Po wyściskaniu się potężnem, Piotr zapytał:

— I cóż? Nogi przyprowadziły cię do gniazda? Gdzieś się błąkał, gdzieś bywał po wyjeździe z Mannheimu?

— We Francyi, w Belgii, w Anglii.

— Toż się będę spowiadał z gospodarki rolnej! Tymczasem zaś—zwrócił się do pań z zapytaniem—czy obiad gotów?

— Do stołu nakryto—odpowiedziała pani.

— No, idźcie państwo. Ja zaraz przyjdę.

Panie poprowadziły Prospera do izby jadalnej; po chwili innemi drzwiami wszedł Piotr, niosąc w krzesle siwą kobietę, ubraną w biały czepek i do pasa szalem osłoniętą. Wniósł ją, krzesło z nią przy stole na pierwszym postawił miejscu, ręką gościa jej wskazał i rzekł:

— Pan Prosper Orzyński.

Prosper, który tę staruszkę zdrową i hożą znał, podszedł do niej i w rękę ją pocałował. Staruszka rękę jego w dłoni swojej przytrzymała i, patrząc na niego, rzekła:

— Nie poznałabym pana.

— A ja go poznałem po oczach—odparł Piotr.

— Po oczach, po zwierciadle duszy—ciągnęła staruszka.—Widać, że u pana Prospera dusza pozostała taka sama, jak dawniej, a była, o ile sobie przypominam, ognista.

— Palila się do cyfr i formuł. Może ostygła?—zapytał Piotr.

— Nie bardzo—odpowiedział Prosper.

Do stołu, obok starszych, zasiadło troje dzieci, usługiwała dziewczka ta sama, co pierwsza Piotra spotkała. Obiad ograniczył się na dwóch daniach: barszcz zabielały, słoniną zapalony, a burakami i kapustą słodką suto zaprawiony, i kasza jęczmienna, słoniną okraszona—oto wszystko. Matka zamiast barszczu miała rosół z kury, który ofiarowano Prosperowi, jako gościowi; lecz, gdy się wymówił, nie nalegano. Jadło, mało się różniące od włościańskiego, smakowało mu może dlatego, że przy obiedzie panował humor dobry, spółzawodniczący z apetytem, któremu dzięki, ani w ogromnej wazie, ani na olbrzymim półmisku, ani z dużego bochenka chleba żytniego—nic nie zostało. Po obiedzie biesiadnicy za kompanię sobie wzajemnie dziękowali; dzieci całowały starszych w ręce; Piotr matkę z krzesłem podniósł i zapytał:

— A dokąd? może pomiędzy nas, do salonu?

— Później trochę. Pójdźcie sobie na fajki i, jak się obkurzycie, przyjdźcie do mnie.

— Ano, to i dobrze. Więc ja mamę do salonu odniosę i ustawię przy oknie, które na ogród wychodzi.

Wyszedł, lecz wnet wrócił i zabrał gościa z sobą do kancelaryi; tam Prosper, usiadłszy na ławie z poręczami, tak zaczął:

— Przyjechałem i dla odwiedzenia ciebie, i w interesie. Interes polega na tem, że potrzeba mi dowiedzieć się szczegółów o cukrowni. Co ty o niej powiadasz i dlaczego zrujnowała ona i właścicieli, i dostawców?

— Bo i jedni, i drudzy nie wiedzieli, do czego się wzięli i nie umieli się w mierze trzymać. Przytem żydkowie rozstawili sieci pajęcze.

Ogólny ten pogląd poparł przykładami i odpowiadał na zapytania Prospera, dotyczące się stosunków handlowych, komunikacyj, ceny materiałów i robocizny, gatunku ziemi i rozmaitych innych szczegółów. Gdy materya wyczerpaną została, zamyślił się na chwilę i rzekł:

— Indagacya twoja na to wygląda, jak gdybyś zamierzał osmarować nas w druku.

— Może zamierzam jeszcze co innego. Nie daremnie się kręciłem w świecie przemysłowym.

— Kółko zabierasz na siebie?

— Zabieram, na przyszlą wiosnę.

— A do wiosny?

— Będę się zapoznawał z gruntem, na którym mi się przyjdzie. Na twoją pomoc liczę.

— Jestem na usługi, chociaż z pomocy mojej nie obiecuj sobie wiele. Nieokrzesany ze mnie ziemianin. Ale do naszych kobiet chodźmy.

W bawialnym pokoju nie zastali nikogo.

— Rozeszły się. Niema rady, poczekajmy. Zagadaliśmy się: moja żona piele grządkę, a może do masła poszła, Karolcia z dziećmi do lekcyi zasiadła.

— Panna Karolina... jakże się zmieniła.

— Miała lat dziesięć, kiedyś ją poznał. Wyrosła, dzieci mi uczy: jeżeli lekcyi muzyki nie mieli przed obiadem, będziemy musieli stąd się wynosić. Poczekaj, dowiem się.

Po chwili wrócił z matką i przeniósł ją na balkon.

— Muszę państwa na godzinkę opuścić, ale nie długo będziecie sami, Karolcia lekcję z bębnami kończy.

Na staruszkę, kiedy syn odszedł, spadło zadanie bawienia gościa.

— O, tak, panie—zaczęła—zastależ zmian dużo. Jedni ubyli, inni przybyli, dzieci powyrastały na ludzi dojrzałych, starzy poniedoleźnieli. Nie miałeś siostrzeńca ani jednego, znalazłeś ich siedmioro; mnie zostawiłeś silną i zdrową—zastajesz sparaliżowaną, zdziecinniałą, zniewoloną patrzeć, jak wszyscy moi wkoło mnie pracują, a ja w pracy ich udziału brać nie mogę.

— Ludziom wiekowym wypoczynek się należy—wtrącił Prosper.

— Tak, panie, zapewne—wypoczynek, ale nie bezwładny. Przydałabym się do dozorowania wnucząt: funkcję tę Karolcia pełnić musi, kiedyby mogła robić co innego.

— Panna Karolina uczy muzyki...

— Wykwalifikowała się na nauczycielkę, na guwernantkę. Guwernerowała w paru domach, ale—wyrazy następne wymówiła z zaprawnym goryczą akcentem—jaki to ciężki chleb dla panielki, póki młoda! Więc dzieci brata uczy, Olesia do szkół przysposabia i dla mnie się poświęca. Później będzie jej lepiej.

— Trzeba, żeby to później nie kazało na siebie czekać długo—wyrwało się Prosperowi, w którym słowa staruszki wzbudziły szczególne dla panny Karoliny spólcucie.

Staruszka coś odpowiedzieć chciała, lecz przeszkodziła jej córka. Panna Karolina miejsce obok matki zajęła.

— Cóż tam?—zapytała jej ta ostatnia.

— A cóż, mamó, zabawną odpowiedź dał Jurek Elżusi na zapytanie: „Jak ludzie rozmawiali, kiedy jeszcze mówić nie umieli?”

— No?

— Pisali do siebie.

— O, ten Jurek! Odpowiedź go nigdy nie zaambarasuje.

— Najmłodszy?—zapytał Prosper.

— Pięć lat niebawem kończy—odrzekła staruszka.—Nie uczy się jeszcze, ale ochoczo asystuje przy lekcyach starszego rodzeństwa.

— Gdy niema do czynienia czego lepszego — dodała panna Karolina.

Wywiązała się stąd pogawędka o wychowaniu dzieci.

Prosper pytał, uwagi czynił, rozmowę podtrzymywał do chwili, kiedy dziewczka z za progu oznajmiła:

— A proszę, podwieczorek gotów!



— Co tam na podwieczorek?—zapytała staruszka.

— Młoda pani dała sera świeżego i maślanki pół **hładu** szczyka.

— Dasz mi, Karolciu, maślanki szklanke.

— Ależ dla mamy...—zaczęła panna Karolina.

— Proszę cię tym razem o maślankę—przerwała.

W pokoju jadalnym, panna Karolina, wskazawszy Prosperowi miejsce przy stole, przy którym już dzieci siedziały, rzekła:

— Piotr zajęty, bratowa zajęta, poprzestać pan musi na towarzystwie dzieci.

— Ależ to dobre towarzystwo, w którego gronie znajduje się taki, jak Jurek, antropolog... Czy to Jurek?—zapytał, wskazując oczami na chłopca, któremu ciotka pod brodą serwetkę zawiązywała.

— A on — odpowiedziała.

— Więc ludzie pisali, nim mówić umieli? Toś ty zapomniał pisać.

— On nigdy nie umiał—odpowiedziała za niego siostra.

Przekomarzając się z dziećmi, Prosper ze smakiem spożył podwieczorek, po którym milusińscy do ogrodu ruszyli, on zaś z panną Karoliną na balkon wrócił.

W towarzystwie jej było mu nadzwyczaj miło, i coraz to milej, może dlatego, że nastęrczało mu się ono dorywczo: odwoływały ją lekcye z dziećmi i jakieś inne jeszcze zajęcia. Później dowiedział się, że ona nie tylko dzieci braterskie uczyła, ale je i obszywała, a przytem wyrezczała bratową. To ostatnie wpadło mu w oczy nazajutrz, o wschodzie słońca. W nocy sen go się nie czepiał; rozmyślał o udzielonych mu przez Piotra informacjach, wśród których ustawicznie mu się postać panny Karoliny przesuwała; zdrzemnął się około północy i obudził się nagle. Przyśniło mu się trąbienie i bębnienie; było to jednak tylko wołanie na kury: „ciurrr!” Zerwał się i przez okno ujrzał, zmierzającą przez podwórze ku oborze panną Karolinę w otoczeniu dwóch dziewczek, niosących szkopki do udoju. Wzrokiem wiódł za nią, aż znikła za stajnią; położył się, ale nie na długo, wstał i ubrał się pośpiesznie, chcąc powiedzieć jej „dzień dobry”, gdy będzie wracała.

Koniec końców, ta panna zajęła go bardziej, niż Gretchen; bardziej, niż panny Pippard; bardziej, niż pani Adela; bardziej nawet, niż lady Eledis. Wstał rano, na podwórzec wyszedł i spotkał się z Piotrem.



— To jużes na nogach! Jakże ci się spało?

— Ot, tak—odparł.

— Chcesz ze mną w pole? Każę dla ciebie konia osiodłać.

— Nie, dziękuję ci. Do Kółka wracać muszę.

— Cóż cię zmusza?

— Będą czekali. Ale—dodał pośpiesznie—będę do ciebie zaglądał po informacye.

Prosper do jarmarku łabuńskiego z Kółka nie wyjeżdżał; czas spędzał na czytaniu, pisaniu, rachowaniu; gości wyciągał na opowiadanie o stosunkach handlowych i przemysłowych; niekiedy samotne, niekiedy w towarzystwie siostrzenic i siostrzeńców przechadzki odbywał, stale odmawiając siostrze, gdy ta mu proponowała wizyty w sąsiedztwie.

Zwykle propozycyę ubierała w przynętę:

— Jest tam panna na wydaniu.

— Jest!—odpowiadał, ręką machnąwszy.

Raz jednak zapytał:

— A ładna?

— Szatynka, oczy duże, szafirowe; nosek zgrabny; figurka kształtna; lat dziewiętnaście; wcale nieszeptna.

— Nie ładniejsza od Ruchli?

— Cóż znowu!—odparła pani Anna—powściągnąjąc w sobie irytacyę.

— Jeżeli nie ładniejsza, to nie ciekawym.

— Nie żydówka przynajmniej—odburknęła.

Dziwiło ją jednak, dlaczego do Orek nie dojeżdża i wpadła na domysł, że czeka aż będzie miał własne konie, własny powóz i własnych służących. Skutkiem domysłu tego, w przeddzień wyjazdu do Łabunia, jęła się mu perswadować w sposób tak natarczywy, że go w końcu zniecierpliwiła.

— Czy chcesz, Anusiu, żebym się z Kółka do Zawłoki przeniósł?

— Ależ nie, Prosperku!—i w bek.

— Cóż to znaczy?—zawołał.

Płacząc, odpowiedziała:

— Żal mi ciebie, zatracisz się, a potem... a potem...

— Nie troszcz się o to, moja Anusiu, bądź spokojna. Ja nie z takich, którzy się zatracają.

— A—łkała dalej—a Ruchla?

— Dziecko z ciebie!—rzekł i zniecierpliwiony, wyszedł.

Z jarmarku, na którym informacye gromadził, powrócił własnym powozem i własnymi końmi, których kupił parę. Kupna dokonał uprzejmy Piotr; dla podziękowania mu Prosper, z Łabunia powróciwszy, do Zarzyniec pojechał. Następnie jeździł tam, co najmniej, raz na tydzień i bawił niekiedy po trzy dni; jeździł, gdy nastąpiła jesień dżdżysta i słotna; jeździł, gdy przyszła zima śnieżna i zawiejna. Państwo Cerhowscy dziwili się, a zdziwienie w osłupienie przeszło, gdy, razu pewnego, powróciwszy z Zarzyniec, oświadczył im:

— Żenię się... z panną Karoliną Sedynowiczówną.

---

## XI.

Ślub państwa Prosperowstwa odbył się w karnawale; młodzi zaraz wyjechali w podróż poślubną i powrócili do Orek, które wraz z cukrownią, z przyległościami, jako też z dwoma kluczami, synom przez marszałka Ruczajskiego za życia wydzielenem, kupił Prosper. Objęcie przez nowonabywcę majątków (t. zw. dawniej intromisya) nastąpiło w czasie podwójnych przenosin: państwa Cerhowskich do Zarzyniec i państwa Sedynowiczostwa do Kółka.

Łatwo się domyślić, jakie to w okolicy wrażenie sprawiło. Żydzi doznali rodzaju olśnienia; nie spotykali się inaczej, jak zapytując jedni drugich:

— *Herste di?*

Każdy rozumiał, do czego się to zapytanie odnosi.

Pojąć nie mogli, jak się Prosper przed ich delikatnym węchem z majątkiem swoim utaił.

Dla Bernsteina zaś to szczególnie było rzeczą niepojętą, że on wnuczkę jego widział i później do austeryi ani zajrzał.

Żydom się zdawało, że Prosper, jak to mówią: „krew sobie puścił ze wszystkich żył”, że w majątek ziemski wpakował wszystko, co miał i mieć mógł i może jeszcze, uzyskawszy gdzie kredyt, po uszy się zadłużył. Czekali więc, co to z tego wyniknie: jak się urządzi? co z cukrownią zrobi?

— *Grojse puryc*—powiadali.

Spodziewali się, że wzorem wielkich panów, będzie jednym z tych bogatych *gojów*, którzy na to są stworzeni, ażeby pieniądze trwonili. Mącił o im w głowie pytanie: jak on do takich wielkich pieniędzy, czy do takiego ogromnego kredytu przyszedł? Może znalazł? Może na loteryi wygrał? Może wyszachrował? Może

ukradł? Żydzi nie domyślali się, że majątek dała mu nauka. Jaka nauka? Przecież on ani słyszał zapewne o talmudzie, który przecież niewielkie zyski niesie najuczciwszym melamedom, rabinom nawet?

Czekały dzieci Izraela, co się z tego wszystkiego wyświeci.

Rok upłynął bez żadnych na pozór następstw, z wyjątkiem chyba tego jednego, że państwa Orzyńskich uszczęśliwił syn.

Józio przyszedł na świat w Orkach, we dworze, w którym rodzice jego gniazdo założyli. W domu był komfort, czyniący zadość wymaganiom wygody i higieny; nad to—nic, a raczej niewiele. Pani, która wykształciła sobie gust głównie na literaturze swojskiej, przystroiła mieszkanie, kierując się wzorami, jakie znalazła u poczytnych w owym czasie autorów: więc na ścianach, na kominkach, na konsolach, w oknach, na okryciach mebli nie było nic obcego. Prosper nie znał się na tem; w pracy, jakiej się oddawał, strona estetyczna odgrywała rolę podrzędną, wszystko więc, co się tej strony tyczyło, pozostawił żonie do woli; domagał się jeno, ażeby było wygodnie—*comfortable*. Pani wedle gustu własnego umeblowała dom, urządziła ogród i zaprowadziła porządek życia domowego—stała się ogniska domowego geniuszem.

Prosper był przez rok cały dla sąsiadów zagadką. Coś robił, coś przysposabiał, ale nie wiedziano co. Piotra osadził w Kółku i uczynił go generalnym lustratorem gospodarki rolnej, którą kierował rządca, wykwalifikowany w szkole rolniczej. Wydawać się mogło, że na tem poprzestanie, tem bardziej, że o rolnictwie rad mówił. Obok tego jednak wzbudzał podejrzenie, że zamyśla jeszcze o czemś; podejrzenie komunikowali obywatelstwu żydzi.

Powód do tego dawały wyjazdy Prospera i przyjazdy cudzoziemców jakichś, zwiedzających cukrownię.

Nie przypuszczano, ażeby po doświadczeniu, które Ruczajscy zrobili, chciał Prosper próbować przedsiębiorstwa, potępionego przez głos opinii publicznej.

Pod jesień, około cukrowni rozpoczęły się roboty: poprawiano mury nazewnątrz, przestawiano maszyny wewnątrz, sprowadzano nowe.

Żydzi domyślali się, że to będzie albo gorzelnia, albo młyn parowy, albo „coś inszego”.

Na następną wiosnę zagadka się rozwiązała.

— Cukrownia!—niby w bęben uderzono.



Zagadkę rozwiązało obsadzenie pól klucza orkiskiego i dwóch innych burakami.

— Ano!— rozległo się po okolicy.

„Kto się na gorącym sparzy, ten na zimne dmucha.” Obywatelstwo, sparzywszy się raz, ani myślało do uprawy buraków powracać; zaklinało się, jak ongi pan Walenty, że „prędzej włosy na dłoni porosną” i t. d., i drwiło z Prospera.

W jesieni buraki dojrzały—cukrownia ile miała materyału, tyle wyrobiła i do następnej kampanii się sposobiała.

W roku następnym powtórzyło się to samo.

Przytem w Zalesiu, stolicy klucza, należącego dawniej do pana Karola Ruczajskiego, odległym o mil sześć od Orek, rozpoczęła się budowa jakiejś nowej fabryki.

— Co to, druga cukrownia?

Zdumienie opowiadało opinię publiczną i dało ten rezultat, że ci, co się uroczyście zaklinali, że buraków siać nie będą, pierwsi poczęli się do Prospera zgłaszać.

Prosper oferty przyjmował, nakłady czynił, kontrakty zawierał, usuwając jeno wszelkie pośrednictwa, z jakimi się żydki nastęrczali. Traktował z producentami bezpośrednio, nasiona dawał i dozоровanie przy uprawie sobie zastrzegał, udzielając przytem rad i wskazówek odpowiednich.

W Zalesiu nie cukrownia, ale fabryka makaronów włoskich obok młyna parowego stanęła, a w pobliżu, nad traktem handlowym, garbarnia się pojawiła.

Stanęło dominium przemysłowe, zaopatrzone w administrację, funkcjonującą jak zegarek. Działalność cała koncentrowała się w Orkach; z tego powodu przybrały one w przeciągu lat kilku pozór dzielnicy miejskiej. Stanęło kilka domów muryowanych, mieszkalnych i biurowych, mieszczących w sobie rozmaite dekasterye administracyjne, rachunkowe, techniczne, płatnicze, kasowe.

Z kasy właśnie wysnuło się całe opowiadanie niniejsze, rozpoczynające się od gawędki dwóch urzędników, świadczącej tak o powodzeniu Prospera, jak o tem, że tajemnica powodzenia, wyjaśniona dla czytelników naszych, była tajemnicą dla ogółu: nie tylko dla żydów, nie tylko dla inteligencji, ale i dla niższych warstw społeczeństwa, szukających w nadzwyczajnościach klucza do rozwiązania zagadki.

Prosper był duszą ruchu, jaki wytworzył w okolicy; kierował, dozоровował, nauczał, wskazywał i okiem pańskim konia

tuczył. Majątek w rękach jego rósł, niby na drożdżach. Sam się bogacił, ale dbał troskliwie o kanały, któremi do jego skrzyni ogniotrwałej złoto spływało; za jego sprawą pozakładały się szkółki, biblioteczki, towarzystwa wstrzemięźliwości, kasy oszczędności, kasy pożyczkowe; założył szpital, opłacał lekarza; wglądał w rozkład robocizny i akuratność wypłat, a jeżeli zdarzała się jaka krzywda, wynagradzał ją pośpiesznie i sprawiedliwie. Czynił to, bo wiedział, że jest sternikiem, prowadzącym nawę i obowiązany czuwać nad rudlem.

— Jesteśmy bogaci, bardzo bogaci...—mówił do swej Karolci.—Bogactwo nasze potrzebnem jest społeczeństwu: od niego je mamy, ono bowiem nastęrczyło mi pracę i opłaciło ją sownie. Kto majątek marnuje, jest sternikiem albo ciemnym, albo niedbałym, albo występny. Ja rudel dzierzę, ty czuwaj nad tem, ażeby nie osłabł, nie zagapił się lub nie zasnął.

Prosper nie należał do szczęśliwców, którzy wyrastają nie z soli, ani z roli, ani z tego—co boli. Przeszedł szkołę wyrobniczą, przyswoił sobie naukę, myślał dużo i, luboć był synem człowieka, który wyszedł „z podstarościch na dziedzica”, miał w żyłach swoich krew kmiecia, tę samą, co płynie w żyłach potomków senatorskich. Cóż przeto ta krew mówiła? Zasilając mózg, szeptała przemysłowcowi, ażeby nie był rabusiem.

Pani Karolina była z tego rodzaju kobiet, które historia literatury zaznaczyła pod nazwami romantyczek, idealistek, entuzyastek. Przedstawicielką ich jest Gabryela. W dobie romantyzmu, kilka z nich zajęło zaszczytne w piśmiennictwie stanowisko, ale po za nimi był legion. Entuzyastki owe w jednej rekrutowały się warstwie społecznej, w jednym szły kierunku i wyprzedzały „entuzyastów” płci męskiej, co było rzeczą naturalną, ze względu na większą zapalność uczucia. Charakteryzowała je głęboka, gorąca wiara—wiara w niezawodną poświęcenia skuteczność.

Karolina Sedynowiczówna wiarę ich podzielała. Droge zaszedł jej Prosper Orzyński, dziedzic Kółka, przyjaciel brata. Nie była mu obojętną od pierwszego spotkania. Zbliżył się do niej, poznała go, podobał jej się, wyszła więc za niego.

Wyszła i dowiedziała się, że ów „dziedzic Kółka” jest milionowym panem i że ów milionowy pan ją, skromną wyznawczynię przekonań Gabryeli, przypuszcza do udziału w rozporządzaniu olbrzymiemi środkami.

Pani Karolina, otumaniona z razu ogromem fortuny, jaka jej niby z nieba spadła, rychło się zorientowała. Z jej to natchnienia powstawały prawie wszystkie instytucje, których inicjatorem był Prosper, wszystko też, co się obyczajów tyczyło, jej było dziełem, dokonanem w sposób taki, że nie wiedziała ręka lewa, co prawa robiła. Pomoc potężną znajdowała w bracie, lustratorze majątków, człowieku wykształconym, pracowitym i gruntownie uczciwym.

W chwili przyjścia na świat Józia, cały ruch przemysłowy znajdował się w fazie przygotowawczej; cukrownia zajmowała całą Prospera uwagę, mimo to, syn ucieszył go bardzo. Józiek wyglądał zdrowo i tęgo: czerwony, jak burak, tłusty i jędrny, obdarzony był apetytem świetnym. Prosper dziękował Bogu za niego i z zajęciem przypatrywał się chłopcu, który z dniem każdym stawał się większym, cięższym i rozumniejszym. Kiedy się po raz pierwszy do ojca uśmiechnął, ten z radością zawołał: Smarkaczu ty jakiś!

Póki syn był niemowlęciem, odwiedzał go po kilka razy na dzień; następnie niańka przynosiła dzieciaka do niego, a on go huśtał, bawił, rozmowy z nim toczył, odrywając się niekiedy od pilnej roboty.

Raz, gdy w kancelaryi zajęty był układaniem budżetu, o słuch jego obily się, od strony sypialni żony, okrzyki. Chciał nie zważać na nie, wolę natężył, gdy nagle drzwi się rozwarły i wpadła zaperzona niańka, wołając:

- Pani! proszę!
- Co?—zapytał, grywając się.
- Proszę! prędezej!
- Cóż tam?
- Józio!
- Cóż Józio?
- Chodzi!

Na wiadomość tę zapomniał o budżecie i pośpieszył do żony. Pani Karolina przysiadła na podłodze, a naprzeciwko niej o kroków kilka stała panna służąca; jedna i druga trzymały ręce wyciągnięte; chłopaś od kolan jednej przechodził do kolan drugiej, wzywany wołaniem:

- Rącińki, Józieczku, rącińki... rąci... rąci... rąci...

Józieczek stawiał z razu nóżki ostrożnie i powoli, próbował równowagi, następnie kroku przyśpieszał, chwiał się i wpadał na ręce wabiącej go matki, z okrzykiem: Aaa!

Gdy ojciec wszedł, malec znajdujący się właśnie na środku pokoju, oczęta podniósł, zachwiał się i—bęć! na podłogę.

Uderzył w płacz.

Niańka go na ręce pochwyciła.

— To ty taki majster do chodzenia!—przemówił do niego ojciec szczęśliwy.

Odpowiedział na to beczeniem.

— Nie udało mu się—rzekła pani Karolina, wstając.— A tak doskonale chodził!

— Nie będzie dobrze, póki nie będzie źle—odrzekł Prosper.—Ach! ilem ja się natrudził...

To rzekłszy, zamiast do kancelaryi, udał się z żoną na balkon, postął chwilę, patrząc na okolony wyłogami kwietnymi trawnik, przeszedł się następnie parę razy wzdłuż, przed żoną stanął i zapytał:

— Ale my nie będziemy go wychowywali na paniątko?

Pani Karolina oczy na niego podniosła.

— Nie? prawda?

— Mój mężu—odparła—czyż mnie o coś podobnego podejrzać możesz?

— Podejrzać mogę bez pretensyi ubliżania tobie, wchodzi tu bowiem w rachubę troskliwość macierzyńska, nie znająca granicy.

— To kwestya ważna—rzekła pani Karolina, wydobywając igłę z oczka kanwy.—Nie życzyłbyś sobie, ażeby twój syn wykierował się na paniątko?

— Nie.

— I ja nie życzę sobie. Mam szczerze postanowienie nie szczepić próżności w sercu Józia.

— To dobrze, to dobrze—dwukrotnie powtórzył Prosper.—Trzeba w niego zawczasu wpajać ambicyę pracy.

— I piękno obowiązku—dorzuciła pani.

— O, tak! Jam się do steru dobił, to i nie dziw, że się z nim obchodzić umiem; jemu ster sam w ręce wpadnie. Chodzić chłopiec już zaczyna, dalej zacznie mówić, dalej myśleć, dalej działać... Z tego maleństwa przecie wyrośnie człowiek, Karolciu.

— Pamiętam o tem, mój drogi mężu!

Lata mijały, Józio podrastał, bociany w jesieni odlatywały, na wiosnę przylatywały, ale nie przyleciał żaden z siostrzyczką lub braciszkiem dla niego. Chłopiec wyrastał wśród niebezpieczeństwa jedynaczego, które matka od syna odwracać usiłowała,



powściągał w sobie miłość bezgraniczną. Chowala go i prowadziła, biorąc w rachubę nie samolubną swoją miłość, lecz te zadania, jakie jej jedynaka w przyszłości czekają. Nie otaczała go zbytkiem, nie sprowadzała dla niego bon i guvernantek z zagranicy, wpajała tylko miłość bliźniego, wyprowadzając ją z nauki Chrystusowej, że wszyscy ludzie, wielcy i mali, najbogatsi i najubożsi, będąc dziećmi jednego Ojca, stanowią rodzeństwo, obowiązane sobie wzajemnie pomagać. Wpajała to w chłopca swego nie tylko teoretycznie, ale stosowała prawo Chrystusowe w praktyce, gdy chłopiec już miał towarzystwo rówieśników. Wśród sąsiadów, Prosper, dzięki milionom swoim, nie tylko prawo obywatelstwa uzyskał, ale, gdyby był zechciał, mógłby uzyskać nawet uznanie genealogii, która ozdobiłaby drzewo jego genealogiczne praszczurostwem rzymskiem; mógłby sobie pozwolić na wyprowadzenie rodu swego od Numy Pompiliusza. I dlatego na małego Józia, spadkobiercę fortuny wielkiej, zwrócona była uwaga sąsiadów i urzędników, mających dzieci. Te dzieci wychowywały się inaczej, aniżeli Józio: matki broniły im stykania się z dziećmi chłopskimi, dla złych przykładów, a głównie dla złych „manier”. Mali sąsiedzi przyjeżdżali do Orek wymanierowani, wystrojeni, wypomadowani i wzbudzali ciekawość w Józiu, którego matka odziewała, ale nie stroiła i, o, zgrozo! (*kneippizm* nie był wówczas jeszcze znanym), bosu mu biegać pozwalała. Zaciekawiało to chłopczykę, otwierał szeroko oczy, patrząc na swych małych gości, wystrojonych wedle żurnalów.

— Mamo—zapytał razu pewnego—dlaczego ja nie mam takiej kurteczki, takich spodeniek i takich trzewiczków, jak tamte dzieci?

— Dlatego, że ci mama nie sprawiła.

— Czemuż mi mama nie sprawiła?

— Lubisz się bawić z Bartkiem, z Maćkiem, z Kaśką?—  
odparła matka.

— A lubię—odpowiedział po namyśle.

— Gdybym ci sprawiła taką kurteczkę, taki kapeluszek i takie trzewiczki, jak u tamtych dzieci, to dzieci wiejskie z tobą bawiłyby się nie śmiały.

Tłumaczenie to wystarczyło na razie; chłopiec za dobrą przyjął je monetę i popędził brykać z rówieśnikami, z batożką trzaskać, na kiju jeździć i kopce z piasku sypać. Dozwolonem

mu było nawet do chałup zaglądać i od wieśniaczek poczęstunek przyjmować.

Raz wpadł do domu z płaczem, bo pszczoły go pokąsały.

— I gdzież to?—zapytała matka.

— W pasiece, u starego Aleksego.

— Po cóż tam chodziłeś?

— Chcieliśmy zobaczyć, jak pszczoły miód robią.

Chłopcy w towarzystwie Józia do pasieki się wkradli i ul jeden wywrócili.

Takie i tym podobne wypadki zdarzały się dość często. Wielomilionowy panicz spadał z drzew, obdrapywał się po płotach, obtłukał sobie kolana i łokcie, rozkrwawiał nos, spadał z koni, na których oklep jeździł, i ze dworu wynosił, dla pokazywania swoim towarzyszom, książeczki z obrazkami. Książeczki te, rzecz prosta, szły na przepadłe. Znajdowano je w Orkach pod płotami, po burzanach, na wygonie. Dziewczęta wiejskie obrazki wydierały i na ścianach po chałupach przyklejały, a gdy którąkolwiek z nich rodzice zapytali, skąd je wzięła, odpowiadała: Znalazłam, pewnie Józiek zgubił.

Zwano go nie „paniczem”, ale „Józkiem”.

Pani Karolina zamykała oczy na marnotrawstwo syna, wiedząc, że tego rodzaju zguby są to ziarenka takie, które bez uprawy plon wydają.

W ten sposób chłopczyna dosięgnął do siódmego roku życia; hartował się fizycznie, żył się z bliźnimi swoimi, a gdy mu siedm lat wybiło, matka uroczyście do szkoły go zaprowadziła i obok towarzyszy swawoli na ławce posadziła. Zdobyła się na ten krok za poradą brata, gdy mu wspomniała o potrzebie przyjęcia do Józia nauczyciela.

— Czy chcesz go uczyć od razu filozofii?—zapytał Piotr.

— Co znaczy zapytanie twoje?—odparła.

— Znaczy to, że założyliście szkołkę do uczenia dzieci czytania, pisania, rachunków, i że szkołce tej wyrządziłabyś wielką krzywdę, gdyby się w niej czytania, pisania twój chłopiec nie uczył. Później, co innego, ale na początek, do lat dziesięciu, nie widzę potrzeby zakładania dla niego specjalnego ogniska naukowego.

Pani Karolina odwołała się w kwestyi tej do decyzji męża.

— Niech tak będzie, jak mąż mój postanowi—rzekła.

Prosper uznał się z razu niekompetentnym; gdy mu atoli Piotr rzecz wyłożył i przedstawił, że przyszedłemu ogromnej

fortuny panu, bardziej niż komu innemu, potrzebną jest znajomość dokładna gruntu, na którym go stanowisko społeczne do działalności powołuje, do jego przychylił się zdania.

— Zaprowadź go, matko, do szkółki—zadecydował.—Ale niech nauczyciel nie pisze dla niego *Extrabratem*.

— To się rozumi—potwierdził Piotr—w tem grunt rzeczy. Trzeba, żebyście się w tej kwestyi rozmówili.

Wezwany do dworu nauczyciel otrzymał instrukcję stosowną i, po nabożeństwie, jakie się corocznie przy otwarciu roku szkolnego odbywało, pani Karolina, która się tym razem goręcej niż zwykle na intencję syna modliła, zainstalowała go w szkole. W ławce posadziła, w głowę pocałowała, nad głową mu krzyżyk w powietrzu nakreśliła i pośpiesznie wyszła, rzuciwszy chłopcu do ucha: Ucz się!

Powodem śpiesznego jej wyjścia było doznane przez nią nagłe ściśnienie w piersiach; lękała się w szkole, wobec gromady, płaczem buchnąć. Na ulicy oczy chustką zakryła i pozwoliła sobie, we dworze zaś jeszcze bardziej. Wyplakała się należycie, pomimo że sama siebie zapytywała: „Czego ja płaczę?” Płakała i powtarzała sobie: „Mój chłopuś, mój Józio, Józiczek, mój Beppino”.

Dobrała włoskiego zwrotu pieszczotliwego imienia, ażeby jak najdobitniej wyrazić rozsadzające jej serce uczucie.

O! macierzyńskie uczucie...

«O, dziecię! ileż to biedy  
Matczyną znieść musi głowa,  
Nim się pociechy swej kiedy  
Z ciebie dochował»

Słowa te Książnin wkłada w usta matce, kołyszącej swe dziecię.

Pani Karolina czekała na powrót syna—wyglądała go jakby z podróży naokoło świata.

Prosper zastał ją we łzach.

— Co to?—zapytał.

— Ach, mój mężu—odrzekła, podchodząc do niego i na piersi mu oblicze swoje ukrywając.—Nasz Józio!...

— Cóż z nim?

— Dziecko nasze!

— Odprowadziłaś go?

— O!... odprowadziłam...

— Nie uciekł z klasy?

— Dziecko moje drogie, zostało tam, zostało...

Prosper chciał żonę uspokajać i pocieszać, gdy słyszeć się dał tupot kroków dziecinnych i nagle do pokoju wpadł Józiek z promieniejącym obliczem i zuchowato przed rodzicami stanął.

— No?—zapytał ojciec.

— Zapisali mnie.

— A dalej?

— Przeczytali mnie.

— A potem?

— Powiedziałem: jest!

— Na tem koniec?

— Potem krzychałem: a, e, i!... a, e, i!

Stojąc przed rodzicami, z przyciskiem samogłoski wyciągał. Matka na niego z zachwytem patrzyła.

«Ach! tylko jedna matka  
tak patrzy i kocha!»

---



## XII.

Chłopak, który dotychczas próżnował, na wietrze się wędził, na wrony i sroki gapił, konie chłopskie objeżdżał, na kiju harcował, uczyć się zaczął.

Krok to ważny w życiu człowieka. Szczęśliwy, kto do szkoły wchodząc, dobrze od razu trafi.

Ponieważ wybór nauczyciela do szkółki w Orkach zależnym był w znacznej części od Prospera, a Prosper radził się żony, żona zaś radziła się brata, wybór przeto wypadł zadawalniająco. Do nauczania dzieci stanął pedagog z powołania. Wychodził z tego punktu, że nauczyciel stosować się winien do uczniów, nie zaś zmuszać dzieci, ażeby się stosowały do niego. Takie zapatrywanie się na zadanie nauczycielskie miało przede wszystkim tę korzyść, że ze szkółki usunęło plagi, a natomiast połączyło naukę z zabawą. Pierwsza lekcya, z której sprawę zdał Józio rodzicom, rozpoczęła się od tego, że nauczyciel dzieciaki uporządkował.

— Każdy i każda niech na miejscu siedzi, nie kręci się i słucha... Przedewszystkiem, musimy się uporządkować... Będę czytał wasze imiona i nazwiska... Kto jest, sam za siebie odpowie: „jest!” Słuchajcie dobrze!

Czytał, a dzieci odpowiadały, chłopcy ostro, dziewczęta cienkim głosem. Niekiedy nauczyciel musiał po dwa, po trzy razy powtarzać; zdarzało się to częściej z dziewczętami, niż z chłopcami.

— Hrynka Czopek—przeczytał nauczyciel.

Milczenie.

— Hrynka Czopek—powtórzył.

Znów milczenie.

Przeczytał po raz trzeci i zapytał:

— Hrynki niema?

— Ależ jest—odezwał się jeden z chłopaków i, pokazując na dziewczynkę palcem, dodał:—Ona Hrynka, a jej tatuńcio Czopek.

— Odczep ty się ode mnie!—wybuchnęła dziewczynka.—Tatuńcio Czopek, ale ja nie Czopek.

Do płaczu się skrzywiła, lecz nauczyciel w porę zapobiegł tej ostateczności: podszedł do uczennicy, po głowinie i pod brodę ją pogłaskał i rzekł:

— Masz rację, moje dziecko, masz rację: twój ojciec Czopek a tyś Czopkówna. No, a teraz: Hrynka Czopkówna jest? — Jest—cieniutko odpowiedziała.

Mały Orzyński czekał na swoją kolej, gotując się do odpowiedzi i ze sześć razy słyszał imię: „Józiek”, ale nazwisko było nie jego. Wreszcie nauczyciel skończył i zapytał:

— Czy jest które z was nie zapisane?—a gdy odpowiedzi nie było, dodał, na Józia wskazując:—ty?

Zapisał i przeczytał:

— Józiek Orzyński jest?

— Jest — odpowiedział tonem zadowolenia.

— A teraz—zaczął nauczyciel—spróbujemy się na głosy.

Patrzcie na mnie i słuchajcie!

Usta otworzył i wytchnął przeciągle: „aaa”.

— No, a teraz wy ze mną wspólnie.

Za pierwszym razem poszło jakoś nieskładnie; za drugim odezwali się chłopcy prawie wszyscy; za trzecim dopiero razem dziewczęta się przyłączyły. Kiedy cała klasa „a” wyciągała, nauczyciel takt palcem znaczył i ton zmieniał; nagle do tablicy się zwrócił i kredą wielkie „A” na czarnem tle nakreślił, poczem wskazując na nie, ciągnął dalej: „aaa”.

Powtórzył to ze cztery razy, wytrzymał dzieci z pół godziny, wreszcie zawołał:

— Teraz na podwórze! żeby mi ani jedno w klasie nie zostało.

Przez dziesięć minut klasa się wywietrzyła, i znów na tablicy obok A pojawiło się „E” wielkie.

Przyszło następnie „i”, a na zakończenie zabrzmiał chór, w którym nauczyciel, prym wiodąc, złączył trzy samogłoski i, nadawszy „a” nutę najniższą, podnosił ją stopniowo przy dwóch następnych.

— Na teraz dosyć!—odezwał się w końcu i, zaleciwszy uczniom, ażeby się zeszli na odgłos dzwonka, lekcję zakończył.

Dziatwa uradowana, do drzwi hurmem pobiegła, za wrotami podwórza rozpierzchła się i pędem do domu pośpieszyła, ażeby rodzicom zdać sprawę z wykładu.

Józiek opowiadał o wrażeniach, jakich doznał, a opowiadanie to świadczyło, że się umysł dzieciaka rozwija, niby kwiat z pączka. Pani Karolina uspokoiła się, a raczej zrezygnowała.

Po samogłoskach nastąpiły spółgłoski, dalej sylaby, składanie wyrazów, które nauczyciel dobierał tak, ażeby posłużyły do dania dzieciom wiadomości, tyczących się rolnictwa, ogrodnictwa, sadownictwa, garncarstwa, tkactwa lub też odnoszących się do geografii, historii, do zasad i pojęć religijnych, społecznych i moralnych. Przy *b*, *a*—*ba*—mówił im o babuni, o należnym jej szacunku, o rodzinie; przy *be*—o bednarzu, beczcze, o bednarstwie; przy *bi*—o bidzie (biedzie) i o zapobieganiu jej za pomocą pracy; przy *bo*—o Bogu, stwórcy świata, wszechmocnym i wszechwiedzącym, znającym najskrytsze myśli i uczynki ludzkie, sądzącym, karzącym i wynagradzającym sprawiedliwie; przy *bu*—o burzy, o zjawiskach meteorologicznych. Wiadomości te dzieci po swojemu przerabiały, naprzykład, mały Orzyński opowiedział matce o burzy.

— A wie mama, co to burza?... bo ja wiem.

— Powiedzże i mnie.

— To się robi tak: zimno za ciepłem pędzi i jak dopędzi, to... to—bąkać począł.

— To co?

— To się pobija—odpowiedział rezolutnie.

Burza mu się bardzo podobała. Próbował urządzać ją, gonił się i bijał z kolegami, póki jeden z nich, Tymko Kaprawy, silniejszy od niego, nie zbił go na winne jabłko. Sprawa wytoczyła się przed nauczyciela i, gdy dowiedzionem zostało, że od Józia, przedstawiciela zimna, wyszła zaczepka, w ten rozstrzygnęła się sposób, że przedstawiciel zimna i przedstawiciel ciepła wzajemnie się przeprosili, dostawszy przytem admonicę następującą:

— Biją się zwierzęta: koguty się dziobią, psy się gryzą, ale ludzie naśladować ich nie powinni, nawet w zabawie.

Gdy się chłopak z sińcami i guzami matce przedstawił, pani Karolina zapytała:

— Nie będziesz się więcej bił?

— A jeżeli mnie kto zaczepi?

— Nie zaczepiaj tylko ty—rzekła matka i nie dodała, co by inna matka zrobiła, że zaczepka z jego strony ma większe znaczenie, aniżeli czyja inna.

Nie dodała tego, ażeby nie wbijać chłopca w pychę, ażeby się nie czuł wyższym od kolegów swoich, zajmującym stanowisko uprzywilejowane.

W tym duchu i w tym kierunku pobierał edukację elementarną, okazując większą niż inni chłopcy pojętność, co było następstwem tak pomocy matczynej, jako też tego, że wyrastał wśród pism czasowych i książek. Jedną z księgarń dostarczała wszystkich, jakie w kraju wychodziły, nowości literackich; prócz tego Prosper wypisywał z zagranicy pism kilka, przemysłowi poświęconych, w językach: niemieckim, francuskim i angielskim. Te ostatnie były nieprzystępne dla chłopca; do krajowych jednak pogarnął się, gdy posiadał sztukę czytania.

Pojętność Józka jednała mu kolegów; niejednemu pomagał w rozwikłaniu zadań trudniejszych. Częściej niż inni zwracał się do niego ów Tymko Kaprawy, co go wytlukł z racyi burzy, silniejszy od niego i o lat parę starszy, ale w pojęciu dosyć tępy. Ten z arytmetyką poradzić sobie nie mógł. Numeracya, dodawanie, odciąganie poszły mu jako tako; na mnożeniu zahaczył się i często się do Józka o pomoc zgłaszał. Raz, siedząc obok niego pod płotem z tabliczką łupkową i męcząc się nad dojściem rezultatu, jaki wyniknąć powinien z pomnożenia 475 przez 724, w zniecierpliwieniu, w rozpaczy prawie, odezwał się:

— Licho go bierz! Nie dojdę.

— Dojdiesz, uważaj tylko: cztery razy pięć—dwadzieścia, piszę zero, dwa na stronę.

— Skądże się to zero wzięło i to dwa?

— Stąd, o, patrz...

Napisał Józiek z boku 20 i zaczął tłumaczyć.

— A, gdybym miał tę szpilkę, tobym się o wszystkim sam dowiedział—przerwał mu Tymek.

— Jaką szpilkę?—zapytał Józiek.

— A tę, którą mysz tatuńciowi twemu dała.

— Mysz? memu tatuńciowi?—ździwił się chłopak.

— Nie wiesz?

— Nigdy nie słyszał.



— Ludzie gadają o tem. Tylko szpilkę do ust włoży i trochę potrzyma, zaraz się dowiaduje o wszystkim, co mu potrzeba.

— I tatko do ust ją wkłada?

— Skądżeby o wszystkim wiedział?

Zaciekawilo to Jóźka ogromnie. Nasłuchał się bajek o pierścionkach cudownych, o czapkach niewidziankach, o świecach z łoju człowieczego, o czarodziejach, o charakternikach, o koronowanych węzach; szpilka do tej wchodziła kategorii. Reguły mnożenia z głowy mu wypadły, wstał i w zamyśleniu udał się do dworu.

Pani Karolina na kanwie szyła.

Usiadł nieopodal od niej i łokcie oparł na kolanach.

Matka, patrząc nań, zapytała:

— Czegoś się zamyślił?

— O szpilce.

— Co?

— To mama nic nie wie?

— Nie wiem.

— O tej, którą tatko w ustach trzyma.

— A to co! Tatko nigdy do ust szpilki nie wkłada.

— Wkłada, mamó, wkłada. Ludzie opowiadają.

— Jacy ludzie?

— Ludzie... wszyscy.

— Któż ci o tem powiedział?

— Tymko Kaprawy. Tatko tę szpilkę, którą mu mysz dała, do ust tylko włoży, a o wszystkim się dowiaduje i wszystko wie.

Pani Karolina zamiast Jóźka rozpytywać, ofuknęła go:

— I nie wstydzisz się, ty, podobne powtarzać niedorzeczności! Nie spodziewałam się tego po tobie!...

— Tymko mówił.

— Powinieneś był wytłumaczyć Tymkowi, że żadna mysz nauki nie daje. Czy o tem nie wiesz? Wiesz przecie, do czego szpilki służą. Nie pleć głupstw!—oburknęła i po chwili spokojnie dodała:—Twój ojciec uczył się długo, gorliwie, wielkie zwyciężając trudności. Tylko nauce, niczemu innemu, tylko nauce zawdzięcza on wiedzę, jaką posiada. Tymkowi wytłumacz, że szpilka wiadomości nie daje.

Z legend i baśni powytwarzały się przesady, które przeniknęły nawskróś niższe, a nawet i wyższe warstwy społeczeństwa

w krajach najbardziej ucywilizowanych. Nie wolne są od nich Niemcy, gdzie do *Wunderfrau*'ów procesy ludzi z najwyższych warstw ciągnęły; nie wolne Anglia i Francya, gdzie chiromanci i chiromantki majątki robią; nie wolna Szwajcarya, gdzie ludzie wykształceni w urok i w złe oczy wierzą. I Józia tłumaczenie na wiatr poszło.

Akt zamknięcia roku szkolnego odbył się uroczyście. Po nabożeństwie, po rozdaniu nagród i ogłoszeniu promocyj, uczniowie i uczennice obsiedli długie na podwórzu szkolnem stoły i zjedli ofiarowany im przez dziedzica obiad, złożony z dań wybornych: barszczyk zwykle drobnemi zasypyany krupkami, pieczeń z buraczkami, hreczane pierogi z serem i słoniną; w końcu każde dziecko dostało po kilka fig suchych, po kilkanaście orzechów włoskich i po jednej pomarańczy. Za taki obiad warto było uczyć się przez rok cały. Dzieci rozeszły się uszczęśliwione.

Odszedł od stołu i Józiek, również zadowolony, mimo, że uczta osobliwością dla niego nie była. Barszczyk i polewkę leż jadał razy! Pieczeń we dworze często się pojawiała na stole, równie jak i pierogi hreczane. Nie z tego też płynęło jego zadowolenie, co jadł, ale z tego, z kim przy stole siedział: byli to jego towarzysze i towarzyszki lat dziecinnych, z którymi trzy lata na ławce szkolnej przesiedział. Rozstawał się z nimi, bez mów i bez oznak rozrzewnienia; smutkiem żadne nie zasępiło się oblicze. Czyż smucić się mogli ludzie, pomiędzy którymi najstarszy lat trzynastu nie przekraczał, mający żołądki pełne i w garściach figi, orzechy i pomarańcze? Chłopcy figi i orzechy w kieszenie, dziewczęta za pazuchy pakowały, z pomarańczami zaś nie wiedziano, co począć. Paliło ich o smaku tych owoców się dowiedzieć; ten i ów zębami skórkę pomarańczową ugryzł i splunął:

— Gorzkie.

Jedna z dziewcząt skórkę palcami ścisnęła—sok jej w oczy bryzgnął.

— Piecze!

To dzieci zajmowało. Wymykały się jedno za drugim z podwórza, śpiesząc do rodziców, ażeby się specyałami pochwalić. Wkrótce na podwórzu, obok okrytych miskami, talerzami, łyżkami, nożami, widelcami i niedogryzkami stołów, pozostała rodzina nauczyciela i opodal od niej Józiek.

Józiek na równi z innymi dostał swoją porcję przysmaków, pomarańczę w rękę trzymał i wyglądał jakoś osowiały. Nauczyciel podszedł do niego.

— Cóż ty, Józku?—zapytał.— Co tobie?

Chłopczyna oczy podniósł i ramionami ruszył.

— Tobie coś jest?

— Nic mi nie jest—odparł, i po chwili dodał:—Pójdę i ja.

Nie umiał wytłumaczyć uczucia, jakiego doznał, pozostawszy sam na placu. Działo się z nim coś podobnego, co dzieć się musi z żórawiem skaleczonym, którego na noclegu towarzysze opuszczają: w powietrze się wzbili, on pozostał sam. Żal przejmował chłopca za przyjaciółmi, czuł, że w życiu jego nastąpić ma zmiana; instynktownie, jak żórawiowi, żał mu było czegoś, rzekł więc:—„Pójdę i ja”.

— Nie pożegnasz się z nami?—odezwała się żona nauczyciela, która zbliżyła się, jedno dziecko na rękę niosąc, gdy drugie za spódnicę się jej trzymało.

Józiek w rękę ją pocałował i dziecku przy spódnicy matczynej pomarańczę dał.

— Nie zobaczymy się prędko—mówiła kobieta—aż przyjedziesz na Boże Narodzenie. Bądź zdrow, oby ci się w gimnazjum dobrze wiodło!... a nie zapominaj o nas.

Pocałowała go w czoło i po głowie pogłaskała.

— Będzie z niego tęgi chłopak—rzekła.

— Będziesz się dzielnie uczył?—dodał nauczyciel.

Józiek nic na to nie odpowiedział, pożegnał się z nimi i, westchnąwszy, do domu poszedł.

Wakacje zazwyczaj spędzał w Orkach. Rodzice, gdy wizyty w sąsiedztwie oddawali, nie brali go z sobą. Jedyńm dla niego domem nierodzicielskim było Kółko, gdzie miał babunię, którą uszczęśliwiał, i swoich braci ciotecznych, którzy gimnazystami już byli i za wzór mu służyli.

Pani Karolina, czas jakiś po ukończeniu edukacji Józia w szkółce, zapowiedziała mu z wieczora, ażeby nazajutrz ubrał się odświętnie.

— Na co, mamó?

— Pojedziemy do Zarzyniec.

— Do cioci Anusi!—wykrzyknął.

Ciocia Anusia częstym bywała w Orkach gościem i zawsze go zapraszała. Znał jej dzieci, z których córka najstarsza

zamezną już była, druga na wydaniu, a trzecia w dobie podlotka się znajdowała. Znał je wszystkie i braci ich w Orkach, dokąd przyjeżdżali w odwiedziny. Wszyscy Józia zapytywali:

— Kiedyż ty do nas, do Zarzyniec?

W Zarzyniecach, we dworze, po wprowadzeniu się państwa Cerhowskich, inny nastąpił porządek. Zawitała pańskość, która służyć miała za tło dla pańien na wydaniu i kawalerów na ożenieniu, ściągając dla pierwszych mężów bogatych, ułatwiając drugim pogoń za pannami posażnemi. Państwo Cerhowscy byli to ludzie zamożni; własność ta jednak, zapewniająca im byt niezależny i dostatni, podzielona pomiędzy dzieci, na siedm drobnych rozpadłaby się części: trzeba więc było o sztukowaniu tych części myśleć zawczasu. Trzymano się w Zarzyniecach reguły, którą wyraża przysłowie: „Jak cię widzą, tak cię piszą”, dobitniej jeszcze wypowiadające się po francusku: „*Pour être il faut paraître*”. Wystawność przeto przyjęto za podkład przyszłości czterech synów i trzech córek i na tym podkładzie budowano widoki, trzymając dom otwarty, praktykując gościnność i na los licząc. Dzięki rachubie tej, żaden z synów szkół nie kończył, córki zaś przy pomocy guwernantek nabywały „talentów”, któremi rozbrzmiewał salon, z szykiem półpańskim umeblowany. Z tym porządkiem, pod dachem dworu zarzynieckiego czuło się, jak w raju. Miło tam było, rozkosznie; goście zmieniali jedni drugich; pielęgnowano ich, karmiono—potrawy przyrządzał dobry kucharz; raz zaś do roku, w lipcu, w dzień Świętej Anny, sąsiedztwo zjeżdżało się licznie, kapela żydowska przybywała z Łabunia i biały mazur trzykrotnie, dzień po dniu, zaznaczał wschód słońca.

Właśnie na imieniny pani Cerhowskiej pojechała pani Orzyńska do Zarzyniec i zabrała ze sobą Józia, celem pokazania mu towarzystwa i świata, odmiennego, aniżeli w Orkach.

W Orkach oficjaliści należeli do ludzi lepszego tonu, chłopak się z nimi i z ich rodzinami wdawał.

Pani Anna miała za złe bratu takie prowadzenie syna i dziwiła się powolności bratowej dla męża.

Bardziej za złe miała bratu jej, panu Piotrowi, któremu, jak się wyrażała „coś do głowy strzelilo”.

— Dostała się Prosperowi na żonę dobra kobieta, gospodarna, ale gęś, prawdziwa gęś... Nie umiała się mężowi postawić w takiej rzeczy, jak wychowanie dzieci... Co to do męża należy...—powiadała pani Anna otwarcie wszystkim, gdy była



mowa o Józiu, który się według niej nawet porządnie uklonić nie potrafił.

Litowała się nad Prosperem, że mu się taka dostała żona, i odpowiedzialność za Józia, nie umiejącego się porządnie kłaniać, spadła całkowicie na jego żonę.

Chłopiec był do kłaniania się uprawiany, ale nie lubił się kłaniać—uważał to za rzecz zgoła niepotrzebną.

— Tam będzie, mamó, bal?...—zapytał, wymawiając z naciskiem wyraz ostatni.

— Będzie bal, będzie ludzi dużo, będą tańczyli.

— A ja?

— Ty się będziesz przypatrywał, ażebyś, gdy wyrośniesz, wiedział, jak się znaleźć w towarzystwie przyzwoitem.

— A będą tam dzieci?

— Może, wątpię jednak.

Nie mogła pani Karolina udzielić synowi instrukcyj wyczerpujących, wprosił się bowiem na kozioł i na koźle przed ganek dworu w Zarzyńcach zajechał.

W Zarzyńcach, wśród gości, którzy się dopiero zjeżdżać zaczęli, chłopak się znalazł, niby w lesie. Powinien był z ciotką, z wujem, z ciotecznymi braćmi i siostrami przywitać się, ale ich w tłumie mężczyzn we frakach, pań i panien postrojonych rozpoznać nie mógł.

— A, Józiu!—zawołała ciotka, gdy go spostrzegła.— Przyjechałeś przecie do Zarzyniec!

Ucałowała go i oddała mężowi, z którego rąk dostał się do rąk dzieci, witających w nim blizkiego krewnego i spadkobiercę ogromnej fortuny.

Ostatni ten przymiot czynił smarkacza figurą interesującą. Witali go nieznajomi i słyszał dokoła siebie szepty:

— Mały Orzyński... pan!...

Kiedy się powitania zakończyły, opanował go niepokój—stracił matkę z oczu.

„Gdzie mama?...”—odezwało się mu w duszy.

Począł szukać i natrafił na zgromadzenie istot płci niewieściej, z których jedne siedziały, drugie po komnacie krążyły. Nie przypuszczał, żeby tyle pań na świecie istniało; widok ten stropił go. Był przekonany, że matka po za niemi znajdować się musi, ale jak tu się przebić przez te różnobarwne zastępy? W zakłopotaniu na progu stał, a w głowinie różne mu się snuły przedsięwzięcia: albo pod ścianą przemknąć się, albo iść wprost

przebojem, albo też pochylić się i głową, jak taranem, rozbijać ruchomy mur błękitnych, białych, różowych, liliowych, żółtych, zielonych, lub czerwonych sukien. Wahał się, nie mógł się zdecydować; zebrało mu się na żal do matki, że go opuściła i, gdyby się nie wstydził, wołałby:

— Mamol!... mamol!... mamol!...

Nagle przypomniał sobie furmana i powziął postanowienie: do stajni się dostać i w niej ratunku szukać. Zatrzymało go wołanie:

— Józiu!

Oczy podniósł i wydał okrzyk:

— Ciociu!

Była to pani Piotrowa.

— Z kimżeś przyjechał?

— Z mamą—zaczął tonem rozżalenia—mama... ta mama mama...

— Co mama?

— Gdzieś się podziała... sam nie wiem...

— Odszukamy ją—rzekła pani Sedynowiczowa; Józiu ją za rękę chwycił i niebawem matkę odnalazł.

Trzymał się już jej nieodstępnie. Za matki krzesłem stojąc, niekiedy zaś obok niej, albo tak, żeby jej z oka nie spuszczać, siedząc, był z razu widzem, następnie stał się obserwatorem. Pierwszy taniec w kłopot go wprowadził, był to bowiem polonez, w którym do pierwszej pary poproszono panią Orzyńską.

— Mamol a cóż ja?—odezwał się z płaczem prawie, gdy się z miejsca ruszyła.

Ona, wręczając mu wachlarz, rzekła:

— Usiądź na mojem miejscu i pilnuj, żeby nikt na niem nie usiadł.

Widowisko podobało mu się. Tańce porównywał z tańcami wiejskimi i znajdował je piękniejszymi; wyróżniał tancerzów i tancerki—te ostatnie szczególnie. Zajmowało go to bardzo.

### XIII.

To samo gimnazyum, w którym lat temu blisko trzydzieści Prosper założył fundamenta wiedzy, która go na wyżyny pomysłowości wyprowadziła, przyjęło w mury swoje jego syna. Józefa odwiózł ojciec i udzielił mu przestróg, w których unikał przesady.

— Ucz się pilnie, prowadź się dobrze.

Było to wszystko.

Matka trochę obszerniej wyłożyła mu znaczenie nauki i konduity. Żegnając go, nie płakała, za to on się rozplakał. Przy okazjach podobnych nie myśli się: uczucie samo działa.

W szkołach, w tłumie, jak onego czasu ojciec, nie utonął.

Nad tłum wydobywają się i szacunek zyskują ludzie pięciu rodzajów: uczeni, pomysłowi, utalentowani, zasłużeni i bogaci. Uczoność wymaga czasu sporo, zanim zasłynie; pomysłowość, wyrażająca się w wynalazkach, utworach literackich, sztukach pięknych, nie przejawia się w dobie pierwszej młodości; na talenty, ażeby zajaśniały, potrzebną jest dojrzałość narządów, które im służą; na uznanie zasług długo nieraz, bardzo długo czekać potrzeba; bogactwo zaś pozyskuje szacunek bez względu na wiek i płeć, bez uwagi na to, co wyrośnie z istoty ludzkiej, przychodzącej na świat wśród milionów. Miliony starczą za wszystko, w imię ich zyskują z góry przebaczenie wszelakie ułomności, wady i najgorsze skłonności.

To też chociaż Prosper zrobił wszystko, ażeby syn jego stanął zupełnie z kolegami na równi, otoczyła go cześć osobliwa. Rówieśnicy ubiegali się o jego względy i przyjaźń, starsi mu się zalecali; nauczyciele nawet traktowali go inaczej, niż innych. Młody Cerhowski, brat cioteczny Józia, stał na stancyi u Francuza, dla francuskiej konwersacyi, brał lekcyę muzyki i tańców,

jako też przedmiotów paru od nauczycieli decydujących o promocyi; Józia ulokował ojciec razem z Jurkiem Sedynowiczem, u pani Tartakowskiej, wdowie po oficjaliście, dlatego, że dobrze swoich „studentów” karmiła, czysto ich trzymała i przestrzegwała surowo przyzwoitości. Korepetycyę miał u niej uczeń szóstej klasy; Prosper, syna mu powierzając, wymagań nadzwyczajnych nie stawiał.

— Niech sam pracuje; niech się do pełnienia obowiązku wciąga.

Trwało to pół roku, do świąt Bożego Narodzenia, na które przywiózł Józiek rodzicom świadectwo konduity „wzorowej”. Świadectwo to zadowolniło matkę, ucieszyło ojca:

— To dobrze—rzekł Prosper—to bardzo dobrze. Ucz się pilnie i staraj się zawsze prowadzić „wzorowo”: zastąpisz ojca przy rudlu. Pamiętaj to sobie.

— Co to, tатku?—zapytał chłopak, nie zrozumiawszy przenośni.

— Wytlumaczę ci później.

Gdy Józio powrócił ze świąt do szkół, śnieg pokrył grubą warstwą ziemię. Śnieg chłopcom po szkołach do rozmaitych służy rzeczy: do budowania, bronienia i zdobywania twierdz, do stawiania posągów i figur, do ciskania. Józio za cel swoich śnieżków wziął żydów, którzy mimo domu pani Tartakowskiej przechodzili. Sztuka polegała na trafianiu przechodnia śnieżką w sposób taki, ażeby się nie domyślił, skąd na niego cios spadał. Józio udzielił pomysłu kolegom; koledzy pomysł przyjęli z uniesieniem. Jurkowi ojciec polecił, ażeby na Józia uważał i jako starszy przestrzegał, gdyby mu jaki niewczesny koncept do głowy strzelił; jednak Jurkowi koncept ten tak się podobał, że gorliwie się przykładał do budowania w śniegu drogi krytej, z ogrodu pani Tartakowskiej do ogrodu sąsiedniego, celem zamaskowania całej sprawy. Gdy droga została ukończoną, rozpoczęły się próby, trzy razy dziennie: rano—przed pierwszym dzwonkiem, w południe—w porze obiadowej i nad wieczorem. Próby przeszły w ataki formalne, dokonywane bądź pojedynczo, bądź zbiorowo. Najważniejsze były południowe, kiedy chłopcy, wróciwszy ze szkoły, oczekiwali na obiad. Nagle drogą krytą pędzili na miejsce zasadzki i na ofiarę czyhali, mając przygotowanych po kilka kul śniegowych. Skoro ofiara się pokazała:

— Pall—rozlegała się komenda.



Burza śnieżek wylaływała z ukrycia, obsypując żyda, który wpadał z tego powodu w gniew srogi i albo go wylewał w obelgach i kłątwach, albo też wpadał z laską podniesioną na miejscu, skąd pociski rzucono i—nie zastawał nikogo.

Powtarzało się to codziennie. Nie zawsze jednak ofiary się nastęrczały. Raz na chodniku ukazała się jakaś postać.

— Stój!—zawołał Józio.

Było to ostrzeżenie, ażeby się mieć w pogotowiu.

Postać się zbliżyła; nie był to żyd, lecz nauczyciel łaciny. Chłopcy przysiedli i byliby łacinnika przepuścili, gdyby nie Orzyński, który szepnął:

— Pal!

Chłopcy, za jego przykładem, sypnęli śnieżkami i w nogi.

Umykających ścigało wołanie:

— Smarkacz! smarkacz!

Od tej chwili nie znali hamulca. Żyd nie żyd, człek poważny, czy pospolity, mężczyzna, czy kobieta—wszystko im było jedno. Kto na placu, ten nieprzyjaciel. Zarządzone dochodzenie przez władzę szkolną, nie wykryło winowajców—przeciwnie: rozzuchwaliło ich. Domyślano się, że sprawcami są bezwarunkowo uczniowie; lecz w końcu jedna tylko w całym mieście znalazła się osobistość, która sprawców istotnych odkryła. Stara Ryfka, żydówka, która stancje studenckie z koszykiem obchodziła i bakalie sprzedawała, gdy ją śnieżkami zbombardowano, poszła wprost do pani Tartakowskiej.

Weszła, kiedy uczniowie przy stole siedzieli, spożywając krupnik jaglany. Pani Tartakowska wpuścić jej nie chciała.

— Ja nie z handlem, tilki ze słówkiem... z jednym małym słówkiem. Niech ichmostunia posłucha, jakie to będzie to jedno słówko.

— Nie przeszkadzaj chłopcom jeść—upomniwała ją pani Tartakowska.

— Na co jabym im przeszkadzać miała!—odparła.

Weszła i zaczęła:

— Nu, panicze... nu, panicze... co wam stara Ryfka zawi niła, żeście ją całkiem śniegiem obsypali! Gdyby to był nie śnieg, ale takie, broń Boże, kamienie, toby ona była ukamienowana. To za co? Czy za to, że wam figi, rodzynki, migdały, orzechy włoskie, rożki, pierniki, maka gigi tanio sprzedaje i na borg daje? To za to chcecie ją ukamienować? Chwała Bogu,

że to były nie kamienie, tylko śnieżki, ale, gdyby były kamienie?...

Chłopcy zęby zaciskali, powstrzymując wybuch śmiechu.

— Gdyby to były kamienie, co by się stało z Ikiem, małamedem, który do szkoły szedł i Panu Bogu się modlił, i do Pana Boga gębę otworzył, a jemu cała jedna wielka śnieżka do gęby wpadła? To on poszedł na policję i skarżył się, a ja się skarżyć nie pójdę, ale was pokornie proszę, panicze, nie kamienujcie wy mnie. Co ja wam winna! Mełamed się skarżył i nie wiedział na kogo. Ja wiem, ale nie pójdę.

Z tem słowem wyszła. Chłopcy dali śmiechowi folgę tak huczną, że korepetytor krzyknąć musiał:

— Cicho! Przy stole śmiechy takie! Jeżeli mi natychmiast nie przestaniecie—pani Tartakowska wniosła w tej chwili półmisek ze zrazami zawijanemi, a za nią dziewczka półmisek kaszy hreczanej suto skwarkami osypanej—jeżeli nie przestaniecie, będziecie zrazy bez kaszy, z suchym chlebem jedli!

Pogróżka ta skutek swój odniosła: śmiech ustał. Korepetytor uważał sobie za obowiązek sprawę o śnieżki wytoczyć.

— Więc te śnieżki... to wasza sprawka?

Milczenie na to pytanie było odpowiedzią.

— Milczycie, a zatem przyznajecie się. *Quid tacet consentit.* Któż myśl podał? Kto jest głównym sprawcą?

Znów milczenie.

— Ty?—zapytał Jurka.

— Nie, nie ja, proszę pana...

Zwracał się następnie z zapytaniem do każdego i kiedy żaden się nie przyznawał, a przyszła kolej na Józia, rzekł:

— Toć chyba nie Orzyński?

— Ja—odrzekł ten ostatni cichym głosem.

— Ty? ty?

— Ja—jeszcze ciszej odpowiedział.

— Tegom się po tobie nie spodziewałem. Jakże mogły do głowy przyjść zbytki takie tobie właśnie, który w świadectwie półrocznem masz konduite wzorową? Piękny przykład dajesz z siebie kolegom. A! dziwię się jednak Sedynowiczowi. Nie powiedziałeś młodszemu od siebie bratu, że koncept jego jest głupim konceptem. Pfe! wstydz się!

— To żartem—bąknął Jurek.

— Żarty, które ból sprawiają, nie uchodzą.

— Te nie bolały—odezwał się Józio.

— No, cicho! nie rezonować!—upomniął korepetytor.—  
Na ten raz wybaczam, ale proszę mi śnieżek zaniechać!

Zabawy w śnieżki same przez się ustać musiały, bo  
nastąpiła odwilż, nadeszła wiosna, śniegi stopniały, wody uniosły  
materyał nadający się na kule.

Nie uniosły jednak zgryzoty, jaka opanowała sumienie  
Józia. Zaznaczono mu konduiteę wzorową, a nuż taką samą  
znajdzie w świadectwie rocznem? Myśl ta niepokoiła go srodze.  
Wzorową konduiteę swoją uznawał za rzecz niesłuszną i postano-  
wił naprawić omyłkę nauczycieli. Zaczął się w klasie, w czasie  
lekcji, kręcić i rozmawiać.

— Orzyński! cicho-no tam!—wołali nauczyciele.

Konduita z szóstki spadła na trójkę, dwójkę; raz dostał  
jedynekę, dlatego, że wpadł do klasy, wrzeszcząc na całe gardło,  
przez co i całą klasę, chłopców około pięćdziesięciu, pobudził  
do wyprawienia dzikiego wrzasku.

Dyrektor wezwał go do siebie.

— Co ci się stało, Orzyński?—zapytał.—Prowadziłeś się  
dawniej wzorowo... Od niejakiego czasu konduita twoja zepsuła  
się... Co to znaczy? Syn takiego ojca dawać powinien z siebie  
przykład jak najlepszy. A ty, co? W klasie kręcisz się i wy-  
prawiasz wrzaski. Przez wzgląd na ojca, wybaczam ci, ale  
niech się to więcej nie powtarza.

W milczeniu chłopak słów powyższych wysłuchał, lecz do  
serca ich wziąć nie mógł. Stał na pochyłości, z której pchali  
go koledzy; historia ze śnieżkami zrobiła mu sławę zucha. Milio-  
ny stawiały go na piedestale, ściągającym dokoła niego pochleb-  
ców. Józio za mało miał doświadczenia, ażeby mógł niebezpie-  
czeństwo od siebie odwrócić. Opinia, że jest zuchem, podobała  
mu się; starał się ją podtrzymać.

Do końca roku nie nastęczyła się okazya do splątania ja-  
kiegokolwiek znaczniejszego figla. Egzamina zdał świetnie. Do-  
stał do klasy drugiej promocyę i byłby przeszedł pierwszym,  
gdyby nie niski stopień z konduity. W naukach celujący, w kon-  
duicie bardziej niż dobry. Kiedy na wakacye przyjechał,  
matka zapytała:

— Czemuż znów nie wzorowy?

— Tak być musiało.

— Mogło być jednak lepiej.

— Nie, mamó—odparł tonem pewności—lepiej być nie  
mogło, bo człowiek wszystkim dogodzić nie może.

W czasie wakacyj mało się Józio z kolegami ze szkółki orkiskiej schodził, chyba w niedzielę, rano, w kościele, po południu w szkole, na zaprowadzonych świeżo wykładach dodatkowych, których się podjął jeden z ofycjalistów cukrowni. W ciągu tygodnia musiałby towarzyszków dawniejszych wyszukiwać: jedni bydło paśli, drudzy przy zbiorze rodzicom pomagali, inni siano gromadzili, za poganiaczów służyli, w ogrodach pelli, powróśla kręcili. Pozostawał jeden Jurek, który przyjeżdżał do Orek, albo Józio jechał do Kółka. Dotrzymywali sobie wzajemnie towarzystwa, błądząc konno po okolicy, pędząc żywot kozaczy, polując na kaczki, na przepiórki, na dzikie gołębie. Leśniczy zeszedł ich raz w ostępie; konie u drzewa uwiązane, oni ognisko rozpalili, na trawie leżeli i fajki kurzyli.

— A!—zawołał—to panicze? Niech będzie pochwalony.

Józio fajeczkę prędko za siebie schował, Jurek odpowiedział:

— Na wieki.

— Jam dym spostrzegł, konie zobaczył i nie wiedziałem, co to u licha? kto tu zajechał?

— A to my, tak sobie.

— Czy paniczom zimno?

— Albo co?

— Żeście ogień rozpalili?

— Kartofle pieczemy.

— A trzeba ogień dobrze zgasić, żeby się, broń Boże, suchego łomacza nie chwycił i lasem nie poszedł.

— Zgasimy... zgasimy...

Mimo zaręczenia, leśniczy ognisko, wesołym gorejące płomieniem, dokoła obszedł, odciągając suche gałęzie i przydeptując liście zeschnięte.

— Czy się las zapalić może?—zapytał Józio.

— Las nie tylko się pali, ale drzewa się skarżą, piszczą, kiedy je ogień zabiera... bo drzewo, póki na pniu, to żyje, niby człowiek. I żyje, i ma swoją mowę.

— Czyż kto je słyszał mówiące?

— Słyszeć to może każdy, ale są tacy, którzy słyszą, rozumieją i rozmówić się mogą. To zależy, jak do człowieka... Są tacy—tylko, że oni nie od Pana Boga...

Leśniczy odosobnił ognisko i, zaleciwszy ostrożność, odszedł.

To, co mówił, obudziło w chłopcu ciekawość.



— Gdyby tak z drzewami rozmówić się można—odezwał się do Jurka, pykającego powoli z cybuszka.

Do umysłu Józia nasuwały się rozliczne pojęcia, które później dopiero pewny kierunek przyjąć miały. Dzieje się to ze wszystkimi wyrostkami. Chłopiec, wychowany w życiu salonowym, pod tym wpływem wyobraźnię swoją kształtuje; synowie pieniędzy, bogatych, czy uboższych, w grosz się zawczasu wpatrują; dzieci żołnierskie idealizują sobie rycerskie rzemiosło: w ten sposób, z powodu otoczenia, wśród którego wyobraźnia ludzka kielkuje, wytwarza się sama przez się kastowość. Jedną z jej odmian Anglicy nazwali mobizmem; grasuje on zwłaszcza w tych warstwach społeczeństwa, które się do wyższości poczuwają, szerzy zanik energii, sprowadza umysłowe i fizyczne zwyrodnienie.

Józiowi zagroziło co innego: wybujałość wyobraźni. Nie zaznał ciepłarni, nie oddychał sztuczną atmosferą, wśród bon i guwernantek; fizycznie i umysłowo rozwijał się w warunkach normalnych, posiadał przeto zapas energii. Posiedzenie z Jurkiem w lesie przy ognisku, było wynikiem rojeń, snujących się w głowie, napełnionej zielenią wiosnianą.

Ognisko gorzało, konie trzema podzwaniały, oni lulki kurzyli.

Józiowi fajka nie w smak szła. Tytuń mu nudności sprawiał, ale dowiedział się z pieśni, więc ze źródła autentycznego, że był taki zuch, który „żonę wymieniał na tytuń i lulkę dlatego, że żona w podróży zawadza, a tytuń i lulka, w domu, czy w podróży, zawsze się przydadzą”. Dla tej racji do palenia się zabrał.

Całe wakacje spędził częścią na koniu, częścią ze strzelbą w rękę, na otwartem powietrzu.

Za powrotem do szkół czuł się już człowiekiem doświadczonym, bo miał za sobą przygód kilka: kilka razy z konia spadł; raz o mało się nie utopił, przepływając się wpław przez rzekę; przytem fajkę palił.

— Paliłem... zaciągałem się—mówił.

Na dowód czego chuchał kolegom w nosy, a oni go podziwiali:

— Toś ty chwat, Józiu!

Na stanowisku też chwata starał się utrzymać. Uczył się dobrze, nauka mu bowiem z łatwością przychodziła, a przytem ciekawość w nim rozbudzała. Konduita jednak szwankowała.

Władza szkolna, która z kim innym rozprawiłaby się sama, o niego odniosła się ze skargą do rodziców. Państwa Prosperostwa to zaniepokoiło; pani Karolina pożałowała się bratu, ale pan Piotr nie wziął tego zbyt do serca.

— Każde nowe pokolenie staje w opozycji przeciwko pokoleniu poprzedniemu—tłumaczył.—Nie martwcie się tem.

Mimo to matka, gdy Józio na Boże Narodzenie przyjechał, starała się go moralizować. Argumenta matczyne odpierał dwunastoletni mąż argumentami, które mu się niezwalczonemi wydawały; przytem czasu na dyskusye nie miał, przyjechał bowiem w usposobieniu bojowniczym, zwróconem przeciwko wilkom. Słyszał, że są kraje, w których tych szkodników wytępiono. Postanowił więc i on wytępić je w dobrach ojcowskich. W tym celu do spółki z Jurkiem urządzał na wilki wyprawy, kopał po lasach doły, budował grodzone samotrzaski; pracowali chłopcy własnoręcznie. Z wyprawami, urządzeniami z prosięciem i z uwiązaniem na sznurku pękiem słomy grochowej, nie wiodło się jakoś: w doły nie złapał się wilk żaden. Jedynej zdobyczy dostarczył im samotrzask: znaleźli wilka, krążącego pomiędzy dwoma płotami, dokoła ulokowanej w środku owcy. Wilk biegał z ozorem wywieszonym, nie mogąc się z cieśni wydobyć; owca zwracała się ku niemu i nogami tupała. Było to widowisko ciekawe—rozpacz drapieżnika.

Trudno opisać radość, jaka Józia i Jurka przejęła, gdy wroga bydła wszelkiego rodzaju w samotrzasku ujrzeli. Narobili krzyku:

— Wilk! wilk!

Podskakiwali, rękami wymachiwali, przypatrując się drapieżnikowi, który szalonym biegiem w kółko gonił, nie mogąc się ani zwrócić, ani wyskoczyć.

— Ach, ty zbrodniarzu!—przemówił do niego Józio.

— Co z nim zrobimy?—zapytał Jurek.

— No, co?

— Zastrzelić!

— Chyba lepiej żywcem wziąć i do wsi zaprowadzić.

Okazał się na wstępie brak powrozów, po które Jurek pędem do wsi ruszył. Gdy na koń wsiadał, Józio go ostrzegł:

— O niczem nie powiadaj nikomu!

Pozostawszy przy wilku na warcie, medytował nad sposobem ujęcia go i wyprowadzenia. Wymyślił sposób następujący: zarzuci mu się pętlę na szyję i, ażeby się z niej nie wysunął,

przymocuje się ją do opaski, która otoczy korpus wilczy po za przednimi nogami; do pętli uwiążą się dwa długie powrózki: za koniec jednego ujmie Jurek, za koniec drugiego on, weźmie się wilka pomiędzy dwa konie i zaprowadzi się go do wsi.

Jurek powrócił dostatecznie w sznury zaopatrzony. Wykonanie jednak planu Józia przedstawiło trudności, pomiędzy którymi największą było zarzucenie pętli; umocowanie jej za to poszło łatwiej. Najtrudniej było, po wyprowadzeniu wilka z zagrody, wziąć go pomiędzy konie, które, gdy tego zwierza blisko poczuły, najeżyły się, furkać zaczęły; koń pod Jurkiem w bok się rzucił i zrzucił z siebie jeźdźca; koń pod Józiem począł wierzgać i rzeć. Jurek powrózek z rąk wypuścił; to samo byłby zrobił Józio, gdyby się był nie zdecydował dobrowolnie spaść z konia. Mało brakowało, a byłby wilk z powrozami w las uciekł. Józio go przytrzymał, mimo, że był przezeń wleczony kilkadziesiąt kroków. Nadbiegł z pomocą Jurek. Konie, furkając i parszcząc, z rozdętymi nozdrzami, kity ogonów do góry podniósłszy, popędziły galopem; oni zaś piechotę, brnąc w śniegu po kolana, poprowadzili opierającego się wilka do wsi.

Zamiarem Józia było przeprowadzić jeńca przez Orki tryumfalnie; nie obliczył się jednak z czasem i nie przewidział wypadku z końmi. Tryumfatorowie do wsi dotarli wieczorem; przechodzenie przez wieś po ciemku sensu nie miało. Pozostało jedno: wilka zaprowadzić do dworu i, powierzwszy go pewnym rękom, posilić się i na spoczynek udać.

Skoro kołowrót przekroczyli, we wsi zerwała się nagle straszliwa psów wrzawa.

— Co to?—zapytał Józio.

— Wilka poczuły—odpowiedział Jurek.

Wilka trzeba było ciągnąć. Dotarli tak do austeryi, której szereg okien z jednej strony jaśniał światłami szabasowemi, drugą zaś stronę cienie osłaniały; wilk rzucił się ku niej, jakby w budowlę schronienia szukał.

— Ha, ha!—zaśmiał się w głos Józio.—Wpuśćmy go do żydów na szabas.

— Ucieknie!—zaoponował Jurek.

— Będziemy go na powrozach trzymali.

Sfolgowali wilkowi, ten na podsień wpadł, tam jednak przytrzymany, wrzuconym został do izby, w której cała rodzina,

zgrupowana przy stole, spożywała ucztę szabasową. Wilk, znalazłszy się w izbie oświetlonej, ruszył wprost pod stół.

Pióro nie opisze, ani język nie opowie przerażenia, jakie pojawienie się takiego gościa sprawiło. W jednej chwili, wśród wrzasków i lamentu, biesiadnicy z siedzeń się zerwali, a z izby uchodząc, stół z zastawą, z jadłem, ze świecznikami wywrócili i drzwi do przyległej izby sobą zatarasowali. Piękna Ruchla, od lat kilku już zamężna, uciekając, potknęła się, upadła i ciałem swoim na powrozach legła. Chłopcy, wilka napowrót wyciągając, z wilkiem i ją wyciągnęli. Zaimprovizowany figiel powiódł się świetnie.

Wróg owiec dostał się wreszcie w ręce stajennych i ci go żywota pozbawili, rodzina zaś Bernsteina długo nie wiedziała, czemu przypisać miała odwiedzin w szabas takiego niepożądanego gościa.

Ciekawemi są losy Józia.

W szkołach nauki szły mu zawsze dobrze, konduita wciąż nie dopisywała. W swawolach wysunął się na czoło, uznany przez rówieśników za prowodyra. Na czas jakiś trochę się ustakował, gdyż zajęły go bardzo książki. Cały czas wolny od nauk obracał na czytanie; zamiast w piłkę lub w chowanego na podwórzu gimnazyalnem się bawić, coś kolegom opowiadał, wykładał, niekiedy mapę rozwijał i wraz z nimi jakieś studia czynił. Do państwa Prosperowstwa nadeszło zawiadomienie o poprawie syna; wkrótce jednak przyszła wiadomość inna, że: „siedmiu chłopców ze szkoły uciekło, a w tej liczbie Józef Orzyński.”

Zawiadomienie to przeraziło panią Karolinę i Prospera. Dochodzenie w szkole, oparte na oświadczeniach Jurka i innych, którzy bliżej ze zbiegami żyli, do tego doprowadziły rezultat, że Józiowi w głowę wlażło Zaporozce: o Zaporozu mówił. Domyślano się przeto, że ucieczka z jego dokonała się namowy.

Dzieciństwo to mogło się na złe obrócić, chociażby pod względem zdrowia chłopców. Pogoda jesienna wytrzymała; dzień po dniu mijał—poszukiwania, rozpytywania, rozjeżdżania umyślnych na wszystkie strony, nie doprowadziły do odkrycia śladu zbiegów. Wreszcie nadeszły słoty. Państwu Prosperowstwu chłopiec z myśli nie schodził; pani Karolina pewnego wieczoru, kiedy deszcz w szyby bił, a wiatr w kominach huczał, w ciemne okna się wpatrywała i w pobożnym ducha nastroju powtarzała:

— Chłopczyzna... mój chłopczyzna... mój chłopczyzna...



Nagle chłopczyna u nóg jej się zjawił.

Uradowanie w osłupienie ją wprawiło.

— Mamol... przebaczenia!...

Nie była w stanie zdobyć się na jeden wyraz odpowiedzi, na okrzyk, na westchnienie.

Z osłupienia wyprowadził ją mąż, który nadszedł i łzami nabrzmiąłym głosem zawołał:

— Józiu! czy to się godzi?

— Tatku! przebaczenia!

Wówczas matka, widząc syna wodą ociekającego, obdar- tego, zmizerowanego, rzekła:

— Wstań, przebież się i posil!

— Ale ja nie sam—odparł.

— Gdzież inni?

Cała wataha zaporoska z Józiem przybyła. Słota jesienna odjęła jej ochotę ciągnięcia dalej na ostrowy, na limany. Ochotnicy zapędzili się w lasy orkiskie i urządzili sobie szałas na tem miejscu, gdzie zimą Józio wilka złapał. Przy ognisku toczyli rozhowory o czajkach i o wyprawie na Synopę, i Trebizondę. Deszcz plany pomieszał; gdy przytem zapasy żywności i pieniądze wyszły, a paru z chłopców, delikatniejszych, na silny, połączony z majaczeniem gorączkowym, zapadło katar, zrobiło się im straszno, smutno i łzawo. Oczajduże zmiękli, chorzy majaczyli, zdrowi sarkać poczęli i, gdy zziębnięci, zgłodniali i zmoczeni nie mieli czem ognia rozpałić, bo im zapalki zamokły, wówczas zwrócili się do Józia:

— Namówiłeś!—odezwał się jeden.

— Cóż teraz poczniemy?—dodał drugi.

Od rana dnia tego, a był to dzień trzeci słotny, „mama” w myśli i w oczach Józiowi stała. Z razu zamierzał pójść sam i dla towarzyszy swoich przyjęcie wyjednać; wahał się jednak w obawie, ażeby towarzysze odejścia jego za dezercyę nie wzięli, a rodzice przyjęcia nie odmówili. Zdecydował się nad wieczorem, gdy o uszy jego obił się wyraz: „namówiłeś”. Na zapytanie: „Cóż poczniemy?”, odpowiedział:

— Chodźmy!

Poszli, na rękach lub na barkach dźwigając kolegów chorych.

W chwil kilka po przyjsciu do dworu w Orkach, zaporozcy w łózkach leżeli i herbatę z koniakiem pili.

Wezwany lekarz chorych opatrzył. Na drugi dzień katar zdeklarował się u wszystkich, z wyjątkiem Józia.

Awantura w ten rozstrzygnęła się sposób, że uczestnicy jej do szkoły powrócili i, po odbyciu stosownej pokuty, uczyli się dalej; Józio zaś, dla przykładu, z gimnazyum wykluczony, musiał być oddanym gdzieindziej.

---

#### XIV.

Doświadczenie, irytujące młodzież i lekceważone przez nią, nie tylko prowadzi do wkładania bawełny w uszy i wystrzegania się przeciągów, lecz niezliczone ludziom oddaje przysługi. Doznał tego na sobie nasz bohater. Dzięki doświadczeniu ustatkował się i przechodząc z klasy do klasy, prowadził się dosyć przykładowie. Niepoprawność na tem polegała, że myślą i pragnieniami po za program szkolny wybiegał. Ciekawość nurtowała w nim i pobudzała go do czytania, zastanawiania się. Czytał dużo, mianowicie powieści, odkrywające tajniki życia; analizował je, posługując się pracami naukowemi, wpadającemi mu w ręce dorywczo. Działalność tę umysłową uzupełniały dyskusye z kolegami dotyczące wszystkich przedmiotów, jakie powieść porusza: filozofii i socjologii, nauk przyrodniczych, sztuk pięknych, poezyi, historii i polityki—jednem słowem wszystkich.

Józef nie poszedł w ślady ojca: nie przywiązał się do jednej jakiejś idei—nie wytknął sobie z góry drogi. Wszystkie przedmioty, wszystkie gałęzie naukowe znajdowały w umyśle jego równouprawnienie, ozłoczone blaskiem poezyi, nadziane aspiracyami do pewnego stopnia przesadnemi. Uznawał, że bryła świata powinna być z posad wyrzuconą i nowemi pchniętą tory, ale nie wiedział—jakimi. Na podziw zasługiwało, że wyznawał je młodzieniec, będący ogromnej fortuny spadkobiercą. Kierunek taki biorą zwykle młodzi ludzie, ubodzy; on wszystko miał z góry dane; mógł myśleć o używaniu—myślał jednak o czemś innem.

Szkoły skończył; świadectwo dojrzałości uzyskał i do domu powrócił.

— Cóż dalej? możebyś dał uniwersytetowi za wygraną?—  
zapytał go raz u pewnego ojciec.

— Dlaczego mnie tatko o to pyta?—odparł.

— Dlatego, że uniwersytety dzielą się na wydziały.

— Więc?

— Dotychczas nie wiem, do jakich nauk masz skłonność?

— Ja też sam nie wiem. Pragnąłbym wszystkie ogarnąć.

— To trudno, chyba że zapiszesz się na wieki tego studenta i, skończywszy wydział jeden, zaczniesz drugi.

— Możeby mi tatko poradził.

— Możeby poradził, gdybyś był jednym z tych, którzy się uczą dla chleba; wskazałbym ci wydział najchlebobajniejszy... Że jednak chleba ci, wedle wszelkiego podobieństwa doprawdy, nie zabraknie, radź więc sobie sam. Zamawiam sobie tylko, że się z tobą rozmówię, gdy będziesz odjeżdżał.

Józef używał wakacyi inaczej, niż dawniej. Miał się za kawalera, liczył lat ośmnaście skończonych, zatem, lubo do romansowania pociągu w sobie nie czuł, nie był jednak obojętnym na wdzięki niewieście. Wzrostu dobrego, blondyn, silnie zbudowany, o rysach oblicza rasowych, był młodzieńcem wpadającym paniąkom w oczy. Na balach, u ciotki, z paniąkami się ostrzelał i rad z niemi przestawał, trzymając się jednak od nich w przyzwoitem oddaleniu. Panny, wdowy, młode mężatki, spotykane tu i owdzie, widywane w domu rodziców i w sąsiedztwie, przedstawiały się mu nakształt okazów z zakresu sztuk pięknych. Nie dawał się żadnej pociągnąć, ani do gry w zielone, ani do patrzenia na obskubywanie stokrotki, ani do dyskusowania o filozofii uczuć. W zabawach tanecznych miał udział bez szczególnego zapału i bez dawania tanecznicom pierwszeństwa; każda piękna była dla niego równa, „czy szlachcianka, czy królewna, czy żona wojewody”. Zwracał się do pierwszej lepszej i brał ją w płąsy; gdy zaś trafił na zaangażowaną, szedł do innej ze steoretypowem wezwaniem:

— Służę pani.

Niekiedy nie wiedział, z kim tańczył.

Raz zdarzyło się, że po szeregu zamówionych tancerek, z którymi tańczyć nie mógł, natrafił na dziewczę-podlotka, lat trzynastu, może czternastu, paniąkę świeżą, ładniutką, płowowłosą, modrooką, zapowiadającą się obiecująco na przyszłość nie nader daleką.

— Służę pani.



Dziewczyna oczy na niego podniosła, pensem się jej oblicze oblało, wstała, lecz zamiast ręce ku niemu wyciągnąć, napowrót usiadła.

— Służę pani—powtórzył.

— Ja z panem nie tańczę—rzekła z przyciskiem, w którym gniewne zabrzmiało rozdrażnienie, jakby się obrażoną uczuła.

Józef ze zdziwieniem na nią spojrział: zbladła, w oczy mu patrzyła—w oczętach jej świecił blask wyzywający.

„Cóż to?”—zapytał siebie w duchu.

Skłonił się, odszedł, we drzwiach w głębi stanął i przypatrywał się jej z daleka.

W chwilę po jego oddaleniu się, jakiś młody człowiek do dziewczęcia się zbliżył i ona z nim w taniec poszła.

Znów zapytał siebie, co by to znaczyć miało. Nic podobnego mu się jeszcze nie przytrafiło. Kobiety starsze i młodsze, panny na wydaniu dziś i za lat parę, garnęły się, Ignęły do niego. Każda z tych, które na jego: „służę pani”, odpowiadała: „przepraszam, jestem zaangażowana”—wyrazy te z takim wymawiała akcentem, że czuć się w nich dawało uzupełnienie odpowiedzi: „Przyjdź później trochę... proszę cię o to”...

Ta jedna, ta mała, odprawiła go prawie z gniewem.

Śledził ją oczyma, gdy tańczyła: ani spojrzała na niego. Dostała się w ręce tancerzowi dobremu, który nią wywijał, okręcając się, w powietrze unosił; zarumieniła się, w oczętach jej jaśniało uradowanie.

„Co to za jedna?”

Zapytanie to zaciekawiło Józefa. Przyszło mu na myśl, że za wyrządzoną obelgę powinien żądać zadośćuczynienia. Nie wydało mu się jednak rzeczą godziwą wytaczanie sprawy honorowej z powodu dziecka. Nie pytał o nią nikogo, ale rozdrażniony wymknął się, kazał konie zaprządź i bez pożegnania odjechał. Jadąc, ciągle miał przed oczyma modrooką, płowowłosą dziewczynkę, która mu impertynencyę wyrządziła. Na oczach mu stała, to w muślinowej, białej sukience, z zaiskrzonymi gniewem oczętami, to znów w ramionach tancerza opromieniona uciechą. Nad ranem do domu przyjechał, położył się, zasnął i we śnie znowu ją widział.

Była to wśród mieszkanek okolicy orkiskiej jedyna, która na nim wrażenie zrobiła.

Wrażenie to zatarło się wkrótce. Z dziewczynką Józef nie spotkał się więcej. Wkrótce nastąpił wyjazd do uniwersytetu.

— Więc jutro?—odezwał się Prosper w wigilię wyjazdu, wezwawszy młodzieńca do kancelaryi.

— Jutro—odparł.

— Wiesz, co to jest sternik?—zapytał ojciec.

— Zdaje się, że wiem—odpowiedział syn po namyśle.—Sternikiem nazywa się żeglarz, który biegiem okrętu kieruje.

— Widzisz, że nie wiesz. Na okręcie kierownikiem jest kapitan, a sternik jest jednym z podwładnych jego: on statek prowadzi, źle albo dobrze. Czy mam rację?

— Najzupełniejszą—odpowiedział Józef.

— Gdy staniesz na czele majątku, jaką funkcję na siebie weźmiesz: kapitana czy sternika?

Józef się namyślił i po chwili odrzekł:

— Trochę jedną, trochę drugą.

— To od ciebie zależy w zupełności. Najmniej dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu bogaczy ma siebie za kapitanów, kierowników, obowiązanych przedewszystkiem do względów dla samych siebie, powiększających lub trwoniących fortunę ze szkoda i krzywdą ogółu. Poznałem ich we Francyi, Anglii, Belgii, w Niemczech. Fortuna jest dla nich okrętem, którym oni wedle upodobań własnych, czysto osobistych, kierują. Ci panowie są w błędzie: fortuna nie jest okrętem, ale rudlem, oni nie są kapitanami, ale sternikami. Tak tę rzecz zrozumiałem dlatego może, że jadł czarny i twardy chleb, zanim sobie drogę uotrowałem. Gdy się fortuny dobił, przy rudlu stanąłem i, jak ci się zdaje, sterownictwo idzie mi nie najgorzej, co?

— Oóż ja na to tatkowi odpowiem?

— Prawda. Będziesz mnie później sądził. Zostawię ci majątek duży, czysty, dobrze zagospodarowany, na szeroką drogę przemysłową wprowadzony; zostawię ci obok tego kapitały w gotówce; będziesz miał o co ręce zaczepić. Rad jestem temu, że do uniwersytetu idziesz: poznajomisz się z nowemi prądami, w których może co pożytecznego znajdziesz, jeżeli je zbadasz bez uprzedzania się z góry. Będzie to rodzaj próby: czy i w jakiej mierze człowiek bogaty społeczeństwu przydatnym być może. Ja może się przydałem na co, ale się bogatym jak ty nie urodziłem. No... zobaczmy.

Nadjechał Piotr, którego syn politechnikę w Zurychu studiował. Podano herbatę. Dalszy ciąg rozmowy pomiędzy ojcem a synem przeniósł się do sali jadalnej i zmienił w rodzaj konferencji, snującej się około zadania, jakie ma do spełnienia człowiek bogaty.

— „Z kim przestajesz, takim się sam stajesz” — mówił pan Piotr. — W krótkim życiu swoim zgromadziłeś w duszy dobry materyał skazówkowy, który piękne wydać może owoce, jeżeli go zużytkować odpowiednio potrafisz: w szkole początkowej obracałeś się w sferze chłopskiej, w której masz kolegów i przyjaciół, wiesz, czem ona jest i co znaczy; w gimnazjum miałeś do czynienia ze sferą, sposobiącą się do działalności obywatelskiej; z domu ciotki Cerhowskiej, w domach sąsiedzkich, w których na imieninach, na wieczorkach i na kuligach bywałeś, zająłeś do tej, która ma używanie życia na widoku; z domu rodzicielskiego wreszcie patrzyłeś na działanie maszyny, dającej pracę i zadowolenie. Wszystko to materyał dla młodego, myślącego człowieka... Nic łatwiejszego, jak powiedzieć sobie, że nic nie ma do czynienia, bo wszystko się na złe obrócić może i albo zamknąć się w upodobaniach własnych, albo w łeb sobie strzelić. To każdy, z przeproszeniem, dureń bogaty czy ubogi potrafi.

Kiedy wuj wspomniał o imieninach, wieczorkach i kuligach w domach sąsiedzkich, Józefowi przyszła na myśl panienka, która mu impertynencyę wyrządziła. Przyszła na myśl i z myśli wnet zniknęła wobec dalszego ciągu rozmowy, która przybrała charakter gawędki o obyczajach i zwyczajach uniwersyteckich w kraju i zagranicą. ☉ pierwszych miał sporo do powiedzenia pan Piotr, o drugich pan Prosper. Były to stare dzieje, nie mniej przeto ciekawe, jak ciekawymi są dzieje uniwersyteckie, a jeszcze ciekawsze z czasu wieków średnich, znane z pamiętników, akt sądowych, podań i pieśni, z których nad jedną „*Gaudeamus igitur*” — wieki przeminęły. Z ciekawością słuchał Józef relacyj wuja i ojca, zwłaszcza tego ostatniego, gdy opowiadał o wędrówkach swoich, o trudnościach, jakich doznał, o przymieraniu głodem, o burszenszaftach. Gdy Prosper skończył, on się odezwał:

— Radbym to poznać.

— Nic ci nie przeszkadza — odrzekł ojciec.

— Rozpoznaj pierwaj grunt swój — dodał wuj.

Przyjęcie, którego na wstępie do uniwersytetu doznał, różniło się od tego, jakie przed laty rodzica jego spotkało. Dla niego od razu otworzyły się ramiona starej gwardyi, a to tem

szerzej, że nie zajął stanowiska paniczykowskiego, nie wyosobił się i nie obstawił wartą etykiety. Najął sobie mieszkanie obszerne, ale nie zbyt kosztowne: trzy pokoje, umeblowane w sposób taki, że było gdzie siedzieć i na czym się przespać, jeżeli któremu z kolegów zabrakło własnego kąta. Jadał w domu i rad był kolegom, którzy z nim do stołu zasiadali. Knajpy nie unikał, luboć spust jego do piwa okazał się, jak zdecydował jeden z trzeciokursistów, „absolutnie podłym”; ale unikał, i to nie od razu, gry w karty.

W miesiąc, po jego przybyciu zaczęły się u niego herbatki. Z razu przyszło kolegów dwóch i, na usilną prośbę, zostali, gdy samowar wniesiono. Po herbacie nie odchodzili—kurzyli papierosy i dyskutowali. Dyskusya przeciągnęła się do wieczery.

Nazajutrz przyszło kilku innych, między nimi Pasternacki i Kopytowski. Zebrała się przeto gromadka młodzieży, kurząca, pijąca herbatę i piwo, przegryzająca butersznytę, szynkę, kiełbasy i dyskutująca zawzięcie na podstawie frazesów, podchwyconych częścią w dziełach poważnych, częścią w pismach ulotnych i gazetach. Dyskusya przeciągnęłaby się bardzo długo, gdyby jeden z obecnych nie przerwał jej śpiewaną strofą:

Koledzy, koledzy!  
Spornym stronom dajmy brawo,  
Podtrzymały nasze prawo,  
Zasłużyły się więc strony,  
Plotąc głupstwa i androny.  
Koledzy, koledzy!  
Zasłużonym dajmy brawo.

— Brawo! brawo!—rozległ się okrzyk.

Okrzyk ten zakończył zaimprovizowane posiedzenie.

Posiedzenia podobne powtarzały się co trzeci, co drugi dzień i bywały niekiedy tak liczne, że zajmowały dwa pokoje. Rozprawy dotyczyły materij naukowych, literackich, bądź też wykładów profesorskich, a przeplatały się dykteryjkami, żartami i śpiewami. Raz, jeden z młodych ludzi, siedzący przy rogu stołu, wyjął z kieszeni karty, mrugnął na swego sąsiada i zabrali się we dwóch do ekarte. Przegrali partyj parę, gdy kolega ze środka zawołał na nich:

— Co macie się tam różnąć pod sekretem! Załóż, Janku, bancek... będziemy poniterowali.



— Popieram propozycję rozumną!—odezwał się któryś.

— Popieram!—powtórzyło głosów kilka.

Zaimprovizował się sztosik, w którym udział przyjęli wszyscy prawie, z wyjątkiem Józefa i paru jeszcze.

Gdyby się byli Józefa spytali, byłby zapewne zaoponował. Ale gościnność nie pozwoliła mu sprzeciwić się czynowi dokonanemu. Pobłażliwość doprowadziła do tego, że i sam poniterował, wygrywał, przegrywał, płacił gotówką; poniterzy się zmieniali, wreszcie i on dał się do trzymania banku namówić. Przy namowie jednym z głównych argumentów był ten:

— Dowiesz się, czyś w miłości szczęśliwy, czy nieszczęśliwy...

Pokazało się, że jest bardzo szczęśliwy, zgrał się bowiem i to do owego Janka, który grę zapoczątkował. Janek poniterował śmiało, stawiał stawki wysokie, niekiedy przegrywał, częściej wygrywał, postawił nareszcie: *va banque!*—i zabrał wszystko, co Józef posiadał.

— Miłość Józefowi dopisze... dopisze—ktoś zaintonował.

Markotno mu się zrobiło. Żegnając kolegów, miną nadrabiał, lecz nie mógł się obronić uczuciu przykrości, że kwotę dość znaczną, tysiąc franków z górą, tak głupio stracił. Stało się jednak i byłby może dalej szczęścia próbował, celem odegrania się, gdyby nazajutrz pocztą miejską nie otrzymał listu i nie wyczytał w nim wyrazów następujących:

„Wzięto cię, kolego, na znaczone karty. Jeżeli chcesz się o tem przekonać, służę ci za pomocnika i, w potrzebie, za świadka. Jestem do rozporządzenia twojego.”

Autor listu podpisał imię i nazwisko swoje. Józef zeszedł się z nim na korytarzu w gmachu uniwersyteckim, rozmówił się i dał za wygraną, powziąwszy postanowienie samemu nie grać i gry u siebie nie tolerować. Tego ostatniego nie mógłby dokonać, gdyby nie odwaga cywilna, na którą zdobyć się musiał. Była to dla niego próba, z której wyszedł z honorem. Gdy w parę dni później koledzy na herbatę do niego się zeszli i karty znowu się na stole ukazały, on wstał, o stół rękami się oparł i, rzekłszy: „proszę o głos”, tak powiedział: „Bardzo mi miło gościć was, koledzy, u siebie, ale bardzo mi nie miłą jest gra w karty... Nie chcę się drugi raz na przykrość narażać. Złe uczyniłem, że grę w mieszkaniu mojem tolerowałem, gorzej jeszcze, że w niej udział brałem: obwiniam się i proszę was, koledzy, ażebyście do mnie z kartami nie przychodzili...”

Głos mu drżał, gdy słowa te wymawiał; wypowiedział je przecież dobitnie. Odpowiedzi na nie doraźnej nie było. Po chwili dopiero jeden z młodych ludzi wstał, fizyognomię ironicznie wykrzywił, skłonił mu się i rzekł:

— Żegnam jaśnie wielmożnego pana.

Rzekłszy to, raz jeszcze z akcentem się skłonił i wyszedł. Za nim poszło kilku innych. We drzwiach słyszeć się dały wyrazy:

— Lęka się gagatek, ażeby się tatuńcio nie dowiedział, że kilka groszy przegrał.

— A mamuńci nie? co?—ktoś drugi się odezwał.

Józef zbladł. Siedział przy stoliku i milczał.

— Pluń na to!—odezwał się jeden z tych, którzy zostali.

— Rudy się domyślił i nie przyszedł—rzekł ten, który list pisał.—Toż będą wygadywali.

Rudym, od czerwonych włosów i białej piegowatej twarzy, przezwanym był Janek, inaczej Rudy Janek, który, z domu ubogi, nie dając lekcyj, ani też zarabiając bądź to u adwokata, bądź też w redakcyi jakiej, miał w kartach jedyne źródła utrzymania się podczas studyów. Kierował się na adwokata; nauki szły mu tępo; powszechnie go podejrzewano o pomaganie szczęściu, jakie mu w kartach służyło, i dlatego właśnie, że go podejrzewano, znajdowali się ochotnicy, którzy mu się skubać dawali. To samo działo się ze sławnymi na cały kraj szulerami: z E. Cz., z F. E. Wszyscy o nich wiedzieli, mimo to oblegano ich przy stoliku zielonym w Dubnie, w Kijowie, na jarmarkach, na wyborach. Rudego Janka sława nie wychodziła po za obręb sfery studenckiej. Wśród młodzieży miał wielu zwolenników, których kilku znalazło się u Józefa, kiedy on siebie za grę w karty skarcił; gdy mu zdano sprawę z tego, co zaszło, zapytał:

— Kto pierwszy wstał?

— Cyprys.

— Głupi Cyprys, powiedźcie koledze to odemnie. Chłopczyzna się na razie rozżalił, ale żalby mu przeminał i spróbowałby się odegrać... Nigdzie sztosika przyjemniej ciągnąć nie można, jak u niego. Szkoda, ale—pomyślał chwilę—to się samo naprawi. Trzeba tylko z tego hałasu nie robić. Pogadam z Cyceronem.

Janek zażegnał burzę, która się zbierała nad głową Józefa; miano go ogłosić za wstecznika, idyotę, kretyna, za burżoaza, szerzącego zwyrodnienie, za pomocą rozdawania pieniędzy na

koleżeńskie stypendya, na wpisowe, na tanią kuchnię, na książki i na tym podobne „tak zwane” dobre uczynki. Od tej burzy zasłonił go Rudy, licząc na to, że kto się pośliznął, ten na nos upadnie.

Omylił się jednak. Józef, po przegranej, napisał do ojca. Ojciec mu pieniądze przysłał i do posyłki te dołączył wyrazy:

„Matka, wuj i ja zanosimy do ciebie prośbę: Nie odegrzaj się! Wielką nam sprawisz uciechę, jeżeli prośbę naszą wysłuchasz.”

Józef prośbie tej uczynił zadość—na fisa się wziąć więcej nie dał i pędził dalej żywot, oddany w części nauce, w części rozrywkom takim, jak knajpa, teatr, koncerty, bale, wieczorki prywatne, wycieczki zamiejskie, gawędki koleżeńskie, zwiedzanie muzeów, galerij i bywanie na towarzyskich wystawach płci pięknej. Jednakowo cenił: piękny okaz malarstwa lub rzeźby i piękny okaz słabej rodzaju człowieczego połowy. Bożek miłości, luboć napinał na niego łuk i co najostrzejsze do serca słał mu strzały, celu chybiał. Czy dlatego, że był z natury nieczułym, czy też dlatego, że go co innego zajmowało, miłość serca jego ogniem nie przejmowała. W „towarzystwie”, w którym chętnie był widywany, posądzano go albo o rachunkowość, albo o próżność. Kapitan „Taraban”, protektor i generalny wujaszek młodzieży, wysoko cenił Herberta (zwał go Herburtem) Spencera, gdy się dowiedział, że on o ewolucji traktuje:

— Zobaczycie, dla Józefa dziś—jutro Libermanówna się wychrzci.

— Piegowata, zyzooka—czyniono mu uwagę.

— Ale jej papa trzyma dla niej w kasie ogniotrwalej milionik *gotiu*.

— Czyż on na grosz patrzy?

— Gładaj zdrów! Grosz na grosz wsiada i groszem pogania.

— Żydówka.

— Póki się nie wychrzciła.

— Taka ewolucya?

— Co ty mi o ewolucyi będziesz plótl! Herburt Spencer...

— Nie Herburt, ale Herbert.

— Herbert po angielsku, Herburt po naszymu.

— A Spencer po angielsku i Spencer po naszymu?...

— Co z wami gadać! a ja wam powiadam, że ta bankierówna złapie Orzyńskiego na swój milionik. Podglądałam go z daleka i widziałem, że często do banku wchodzi.

W rzeczy samej wchodził, dla realizowania czeków, które mu ojciec przysyłał. Liberman, bankier, wielkie mu okazywał atencye. Przedstawił go żonie, córce, synów swoich z nim zaznajomił, prosił go, ażeby dom jego uważał za swój; ale panna Klara Liberman, nie nader powabna, mniej go bez porównania zajmowała, niż małe rozmiarami malowidło, przedstawiające dziewczynę wiejską przy studni, a będące ilustracją piosenki: „Kozak konia napawał, Dziuba wodę brała; kozak Dziubie zaśpiewał, Dziuba zapłakała”.

Pani Bulbulkiewiczowa zaś, generalna ciocia studencka, która kolejno raz siostrzenicę, znów synowicę za studenta wydawała, mówiła:

— Wiem ja, czego się Józefowi zachciewa. Orzyńscy ze szlachetek się wywodzą, chcieliby się w księżniczkę albo w hrabiankę ubrać i przez nią do arystokracji się wkręcić.

Ciocia miała właśnie na wydaniu synowicę, czy siostrzenicę, urodziwą dziewczynę, na którą Józef z gustem spoglądał, nie z większym atoli, jak na ową dziewczynę wiejską przy studni, która zapłakała, gdy jej kozak zaśpiewał.

Pomiędzy bankierem Libermanem a cicią znajdowało się sporo na Orzyńskiego amatorów i amatorerek. Ubożsi od niego, nosili się wysoko, mieszkali w apartamentach drogich, trzymali lokajów, pojazdy, kucharzy, tworzyli kółko zamknięte, do którego wstępu nie miał gmin studencki. Dla Józefa wstęp do kółka tego byłby na ścieżaj otwarty, ze względu na to, że w drugiej połowie XIX wieku korony książęce i miliony na jednej stanęły linii, ale on wolał ów gmin, odpowiadający bardziej jego usposobieniu i gustom, trącącym szkółką wiejską. „Czem się skorupka za młodu napoi, tem na starość trąci”; zatrącał więc chłopem orkiskim, robotnikiem cukrownianym, chłopcem, któremu się roily sicze zaporoskie—i może dlatego nie dał się usidlić ani zyzowi bankierówny milionowej, ani jasnym żrenicom siostrzenicy, czy synowicy pani cici. Rozrywek używał dla rozrywek, słuchał wykładów w uniwersytecie, studyował i uczył się obcych języków w zamiarze zwiedzenia uczelni zagranicznych.



## XV.

Co uniwersytety dają? Dają wykształcenie umysłowe, czyli środki, które można zmarnować, można na złe obrócić, lecz można też za ich pomocą dojść do rezultatów świetnych na drodze bądź to naukowej, bądź obywatelskiej. Umiłowanie nauki przychodzi samo, drogą tajemniczą, na której wystają talenty i geniusze. Każdy może śpiewać, grać, malować, rzeźbić, pisać wiersze, rozprawy i dzieła naukowe, ale nie każdemu danem jest wzniesienie się na szczyty orfeuszowe, homeryczne, platońskie. Dla wzniesienia się tak wysoko, potrzeba, obok umiłowania, posiadać iskrę Bożą; na obdarzonych nią, na Koperników, ludzkość wiekami czekać musi. Geniusze nie zdarzają się często: samo umiłowanie nie urabia ich, sprowadza jednak rezultaty pożyteczne, jeśli jednostka uzdolniona ma dobro powszechne na celu, nie zaś tylko dobro osobiste.

Uniwersytety są polem, na którym się te cele przejawiają, ale mąci je wzgląd na chleb, mącą doktryny, ambicje, próżność. Doktryny bałamucące duże sprawiają szkody; młodzieniec, który nim uległ do tego stopnia, że wyznawanym przez siebie zasadom gotów na stosie dać świadectwo, cofa się, skoro owe bałamuctwa poznał, i wpada w ostateczność przeciwną: w kult własnego—ja. Był budzącym wielkie nadzieje, pełnym zapału pracownikiem dla ludzkości, dla kraju własnego, dla społeczeństwa, którego jest członkiem, był młodzieńcem obiecującym, a stał się w wieku dojrzałym najpospolitszym „zjadaczem chleba”. Gdyby młodzież od chwytania się doktryn bałamutnych powstrzymać można, uniwersytety wydawałyby więcej ludzi pożytecznych.

Chwycił się tego i nasz Józef. Przeciwno doktrynom najprzewrotniejszym nie zabezpieczało go pierwotne wychowanie,

które młodych ludzi, mających w perspektywie miliony, osłania frankami, otacza parawanami i buduje dla nich troniki, wyróżniające ich z pośród „motłochu”. On się z motłochu nie wydzielał—przeciwnie, garnął się do niego i, jak najzwyczajniejszy filister, przyjmował za prawdę pięknie brzmiące frazesy. Cóż mu się nie roilo w głowie!

Skończywszy uniwersytet i zaopatrzywszy się we wszelkie możliwe dyplomy i świadectwa, odwiózł matkę do wód, w Schinznach, które jej lekarze wskazali; pojechali następnie razem do wybrzeży Bałtyku. Z Schinznach, kiedy pani Orzyńska kuracyę odbywała, czynił wycieczki po kraju, podziwiając cuda przyrody, w jakie Szwajcaryja obfituje, i wglądając w równie, jak cuda owe, ciekawe stosunki wewnętrzne, które dla krainy tej służą za klapę bezpieczeństwa przeciwko prądom wywrotowym, wprowadzanym przez amatorów niepokoju. Żywo go one zaciekawiały, nie mniej jak kongresy pedagogiczne i naukowe, zwoływane w letnich miesiącach do miast znaczniejszych. Jeden mocno go zainteresował: kongres nauk przyrodniczych, nauki te bowiem, jako też filozofia, były to gałęzie, których studyowanie najbardziej go nęciło. Czuł do nich pociąg, umiłował je nad inne. Skreślił sobie program podróży; postanowił zacząć od Szwajcaryi, Zurychu i Genewy, następnie czas jakiś poświęcić Paryżowi, zwiedzić Anglię, zatrzymać się w Berlinie, Wiedniu i powrócić do Orek.

Nad morzem wypoczywał fizycznie i umysłowo; miesiąc cały z matką spędził, wreszcie wyprawił ją, sam zaś, jadąc rzemiennym dyszlem, zwiedzając po drodze galerie, muzea i osobliwości w Berlinie, Dreźnie, Norymberdze, Monachium, udał się do Zurychu, poniekąd uchodzącego słusznie za Ateny szwajcarskie.

W tem mieście wszedł pomiędzy słuchaczki, które sobie wyidealizował z daleka. Niestety, na bliższem poznaniu ideał stracił dużo, pod tym mianowicie względem, że wiele studentek myślało przedewszystkiem o chlebie we dwójkę, skojarzoną węzłem małżeńskim. Studentki z razu się do niego garnęły.

— Idyota—osądziła go dość prędko jedna.

— Kretyn—poprawiła druga—skretynowany *burżoa*.

Tak osądzony, opuścił Józef Zurych i przeniósł się do miasta, obdarowanego milionami przez księcia Brunszwickiego, które posiada kategorię obywateli, odsuniętych od udziału we władzy kantonalnej. Kategoria ta składa się z dawnej arystokracji,

która do r. 1847 rządziła państwem; zmiana konstytucyi na jej dokonała się niekorzyść i od tego czasu arystokracja nie figuruje ani w radzie stanu, ani w radzie wielkiej, ani na urządach, ale nie pozostaje bezczynną i pracuje na drodze naukowej: jedni zajmują katedry w uniwersytecie bezpłatnie, drudzy łożą na muzea, na zakłady, na doświadczenia, inni studia naukowe, wymagające nakładu pieniężnego, prowadzą; młodzież z tej sfery audytorya wykładowe zapełnia; zgorzkniałych, zniechęconych, takich którzy wyrazu „obowiązek” nie rozumieją, pomiędzy nimi niema. Są to ludzie bogaci; obrażona duma, miłość własna nie pozwala im narzucać się z usługami publicznymi; nie mniej przeto społeczeństwu swemu służą bardzo pożytecznie.

Józefa to uderzyło. Przedstawiła się mu pożyteczność bogactwa, zakres działalności przystępniejszej dla ludzi zamożnych, aniżeli dla ubogich, w której środki pieniężne pełnią funkcję klucza, rozwiązującego zagadnienia. Przypomniało się mu ojcowskie: „U rudla” i w duszy jego poczęła dojrzewać myśl użytkowania majątku swego dla dobra służby publicznej. Nie nakreślił sobie żadnego planu, nie wytknął celu, powziął tylko postanowienie, dzięki któremu uwaga jego zwróciła się całkowicie na rzetelną pożyteczność bogactw.

Szczególnie zajęła go postać jednego z profesorów, który przez lat z górą trzydzieści wykładał chemię i ustąpił z katedry dlatego, że późny wiek na przeszkodzie mu stawał. Staruszek Marignac, skromny, cichy, licho odziany, pełnił funkcję swoją z kapłańskim iście namaszczeniem, bez reklamy i blagi, w jakie się przystajają niektórzy profesorowie. Widok tego uczonego sprawiał takie wrażenie, jakby to był człowiek ubogi, rad temu, że katedra uwalnia go od myślenia o środkach do życia, a człowiek ten posiadał fortunę, wynoszącą trzynaście milionów franków, chemię wykładał bezpłatnie i na laboratorium z własnej łożył szkatuły. Inny profesor, który embriologię wykładał, H. Foll, to samo czynił, luboć się staranniej odziewał; inny znów, astronom, obserwatorium własnym kosztem postawił i w narzędzia zaopatrzył. „To przecie, ci ludzie—myślał Józef—wynaleźli sobie ambicję, która ich od pesymizmu broni i użytecznymi czyni.”

---

Nadszedł czas wakacyjny. Józef pojechał do Orek.

Rodzicom i wujowi zdawał sprawę z odkryć, jakie w Zurychu i w Genewie poczynił.

— Nie zahaczyłeś się o jaką słuchaczkę?—zapytał pan Piotr.

— O! anim o tem pomyślał...

— Zobaczymy, co powiesz, gdy za rok do nas przyjedziesz...

W Orkach studyował Józef na gruncie doktryny socyalne i to mu przeszkadzało używać na wakacyach życia, uśmiechającego się do niego wszystkimi ponętami.

Cóż bo się nie uśmiecha do spadkobiercy ogromnej fortuny?

W całej okolicy, bliższej i dalszej, wszystkie matki, mające córki na wydaniu, pragnęły—oh! jak pragnęły—mieć go za zięcia. Z niektórymi z aspirantek do oddania mu ręki spotykał się niekiedy; patrzył na nie, ale ich nie widział, słuchał, ale nie słyszał. Młoda sąsiadka, która, zgłębiwszy tajemnice flirtu, z przyjemnością go praktykowała, z Józefem do ładu nie doszła i zdecydowała, że jest:

— Niebezpiecznie chory...

Mówiąc to, na czoło sobie pokazywała.

Kokietowała go bowiem i pod dachem, i na otwartem powietrzu, piechotą i konno, ale zawsze napróżno.

— Czemu on ode mnie stroni?... To się wytłumaczyć nie da inaczej, jak tylko za pomocą jakiejś dezorganizacyi mózgowej.

Czyniono jej uwagę, że go nauka zajmuje.

— Żarty!—odpowiadała na to.—Lat dwadzieścia sześć, milionów nie wiem ile i... nauka?... To tak się zgadza z sobą, jak mazurek Chopina, walc Strausa i „Modlitwa dziewicy” panny Bondarzewskiej, grane w salonie na trzech fortepianach razem...

Przed wyjazdem z Orek, Józef się z nią spotkał.

— Pojadę za panem—rzekła do niego tonem żartobliwie wyzywającym.

— Czemu nie ze mną?—odparł, do tonu jej się dostrajając.

— Z panem?—pochyliła głowę i, z pod oka na niego patrząc, mówiła powoli:—pojechałabym może... do Wenecyi... do Neapolu... do Palermo...

— Pani Włochy lubi...

— Tak. Przekładam je nad Szwajcaryę, za którą w porze zimowej dziękuję.



— A Paryż?—zapytał.

— Ach! Paryż!

— Niechże pani za trzy dni do drogi będzie gotową...

— Jedziesz pan do Paryża?

— Do Paryża.

— *A la bonheur!*—zawołała.—To rozumiem. Postaram się męża namówić. Jeżeli mi się to uda, spotkamy się nad Sekwaną. Mam tę słodką nadzieję.

Józef skinieniem głowy słowa jej ostatnie podkreślił.

— Czy i dla pana—zapytała półgłosem znaczącym—nadzieja ta jest słodką?

— Mogłaby być inną!—odparł.

Zapomniał o tej nadziei, odjeżdżając i nie przypomniał jej sobie, gdy na miejscu stanął.

Do Paryża Józef przyjechał na parę tygodni przed rozpoczęciem kursów. Stanął w jednym z hoteli w pobliżu bulwarów włoskich i zaczął od tego, od czego zazwyczaj nie zaczynają ci, którzy do Paryża po raz pierwszy przybywają: od przestudowania planu miasta. Według planu trafił najprzód do bankiera, u którego mu ojciec kredyt otworzył i który, powitawszy go z uprzejmością przyjacielską i przedstawivszy żonie i córkom, z niejakim zdziwieniem dowiedział się, że ten bogaty klient nie ma zamiaru kupić sobie, albo przynajmniej wynająć pałacyku w jednej z dochodzących do Łuku tryumfalnego alei, lecz zamierza ulokować się w dzielnicy Łacińskiej i uczyć się, zamiast życia na szeroką używać skalę. Nie okazał jednak tego po sobie, że to go zdziwiło; przeciwnie, z jak największym wiado-  
mość tę przyjął uznaniem. Wymienił kilku uczonych przyjaciół swoich, między innymi duc'a d'Aumale i oświadczył, że najmilej mu będzie, jeżeli się Józefowi na co przyda.

Józef, w dni kilka po przybyciu do Paryża, przeniósł się na mieszkanie do dzielnicy Łacińskiej i oddał się zwiedzaniu osobliwości, których liczbą i wyborem zaleca się stolica nadsekańska. Czynił to powoli i systematycznie, wieczory spędzał w jednym z teatrów, rozpatrywał się, obznajamiał i, gdy się w Sorbonie kursa rozpoczęły, wybrał sobie kilka wykładów i na nie się zapisał.

Na wykłady uczęszczał regularnie i pilnie; było to w jego zwyczaju. Po kilka godzin dziennie przebywał w audytoryach Sorbony, otwartych dla publiczności, jako też Szkoły wyższej, przystępnych tylko dla posiadających kwalifikacye odpowiednie.

Stosownie do godzin, w których na wykłady chodził, życie mu się niby zegarek uregulowało. O jednej i tej samej godzinie wstawał, wypijał filiżankę herbaty, szedł na kursa, na śniadanie, znów na kursa, zjadał obiad i wieczorem, otoczony książkami, notował, robił wypisy, rachował, czynił doświadczenia chemiczne w podręcznym laboratoryum, które sobie sporządził. Życie zewnętrzne, publiczne młodzieży francuskiej, obrady, posiedzenia kawiarniane, manifestacye, monomy, bale nie interesowały go zgola. Widywał je niekiedy, udziału w nich nie miał.

W Sorbonie słuchacze i słuchaczki, zgromadzający się na niektórych wykładach w liczbie pokaźnej i w doborze ciekawym, zwłaszcza w niewieściej połowie, roztargnienia mu nie sprawiali. Profesora słuchał, od czasu do czasu wyraz jaki lub frazes sobie zanotował w kajecie, od czasu do czasu uśmiechnął się, gdy mu w oko wpadł jaki poważny mąż, pochylający senną głowę, lub sędziwa matrona w najlepsze śpiąca przy akompaniamencie pochrapywania i poświstów; ale były to wrażenia przelotne, uwagi nazbyt nie odrywające. Tak z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc czas mu mijał w ustawicznym zajęciu, przeplataniem towarzyskimi stosunkami, ponawiającymi niezbyt licznie częścią z profesorami, częścią z kolegami, oddającymi się tym samym, co i on studjom.

Ponieważ „chłop strzela, Pan Bóg kule nosi”—roztargnienie spadło nań samo: przyszło pod postacią płowowłosej, modrookiej, kształtnie zbudowanej, niebrzydkiej, nie nadzwyczajnie pięknej, skromnie ubranej dziewczyny; w Sorbonie, w audytorjum przed oczyma mu stanęła. Widywał ją, lecz nie zwracał na nią uwagi: nie obchodziła go, jak nie obchodziły inne piękniejsze i pokaźniejsze. Schodził się z nią na lekcjach profesora, który psychologię wykładał. Na wykłady te schodziły się tłumy—ściągały one świat elegancki Paryża. Józef za wrażeniem nie gonił, napadło ono na niego samo, do oczu mu skoczyło.

Młoda kobieta zajęła miejsce w amfiteatralnie ustawionych ławkach, nieopodal od Józefa; zwróconą była do niego bokiem i on się jej w tej pozie przedstawiał. Spojrzał z razu na nią, jak na wszystkie inne płci pięknej przedstawicielki, przelotnie i nic... Spojrzał po raz drugi i z jej wejrzeniem się spotkał, z wejrzeniem, od którego mu nagle i niespodzianie zrobiło się tak, jakby go dziwny jakiś lęk przejął. W ciele,

za skórą, po wszystkich fibrach i włóknach, przeszły mu ciarki. Zląkł się, gdyż słowami inaczej wrażenia, jakiego doznał, nazwać nie sposób; zląkł się, ogłuchł na to, co profesor mówił, i dopiero po chwili mógł zapytać sam siebie:

„Co to się stało?... Co to jest?...”

Wejrzenie młodej kobiety było wejrzeniem wspomnieniowym, odnoszającym się do jakiegoś znaczącego zdarzenia w niedługim i nieobfitem w wypadki życiu Józefa. Cóż bo mu się za zdarzenia przytrafiały? Najpamiętniejszem była wyprawa na Zaporozże, zresztą rzadkie zajścia, w których ani w jednym oczy kobiecie najmniejszej nie odegrały roli.

„Oczy kobiece?”

Józef profesora nie słuchał wcale, a całkowicie w myśleniu o oczach kobiecych, albo raczej o oczach tych, które o jakieś wspomnienie potrafiły, pogrążył się. Szukał, nie znajdował. Spoglądał na młodą kobietę z ukosa; zwróconą miała uwagę na wykład; niekiedy w kajecie ołówkiem notowała; przed nią leżała teczka; profil jej nic mu nie mówił, z wyjątkiem tego chyba, że w rysach nosił cechy, świadczące o narodowości. Nie była to ani Francuzka, ani Włoszka, ani Skandynawka, ani Niemka, ani Angielka nawet, luboć Angielkę cokolwiek przypominała. Nie widać było, ażeby obok lub wśród znajomych siedziała. Obcą w sali się wydawała i zaintrygowała Józefa tem jednym wejrzeniem, które z jej strony musiało być przypadkowym, w ciągu wykładu bowiem nie powtórzyło się. On na nią spoglądał, przypatrywał się jej—ona się ku niemu nie zwracała, nie zważała wcale na niego.

Im więcej się jej przypatrywał, tem mocniej utwierdzał się w przypuszczeniu, że się z nią nie po raz pierwszy spotyka.

„Ale... te oczy!...”

Przekonanym był, iżby ją sobie przypomniał, gdyby raz jeszcze na niego spojrziała.

I spojrziała.

Profesor lekcję skończył. Ona wstała—wstał i Józef. Dzieliło ich osób kilka, zabierających się do wyjścia. Wstała i spojrziała—zatrzymała na Józefie wejrzenie dłużej nieco, sekund kilka—i tym razem w wejrzeniu jej zaświeciło coś nakształt intencji, jakby niem rzuciła zgłoski: „A co?...”

W tej chwili, w tem oka mgnienu, Józef przypomniał ją sobie.

Stanął mu w oczach ten podłotek, ta czternastoletnia panienka, która, kilka lat temu, tonem wyzywającym przemówiła do niego: „Ja z panem nie tańczę!”

„Ona!... ta sama!...”

Gorąco mu się zrobiło, gorąco takie, jakie przenika ludzi, gdy ich nagle wstyd przejmuje.

„Ona”—powtarzał w myśli, idąc do domu przez bulwary Ś-go Michała, dalej przez ogród Luksemburski, na który okna mieszkania jego wychodziły. W ogrodzie się zatrzymał i, po alejach powoli krążąc, stawał od czasu do czasu przed uszeregowanymi pod drzewami posągami królowych francuskich: na posągi patrzył a o niej myślał.

Nigdy w życiu jeszcze mu się nie zdarzyło, tak dalece głowę sobie zaprzatnąć myślą o kobiecie.

„Ona—powtarzał—wyrządziła mi obelgę. Może mi wytłumaczy, co ją do tego spowodowało. Wytłumaczyłby powinna.”

Do myśli tej przyczepił się i przerabiał ją na sposoby rozmaite, doprowadzić go mogące do zabrania z młodą kobietą znajomości, do zbliżenia się do niej.

Możeby tak o to nie chodziło, gdyby mu się ona przedstawiła inaczej; gdyby nie dostrzegł w niej tego czegoś tajemniczego, co młodego człowieka do młodej kobiety pociąga, co stanowi wstęp, preludium koncertu, granego przez ludzi dwoje w tajemnicy przed publicznością. Owe „coś” spokoju mu nie dawało ani wśród ogołoconych z liści w miesiącu lutym drzew ogrodu, ani w domu.

W domu nadaremnie brał się do roboty. Rozkładał książki, czytał i wśród wierszy dzieła, traktującego o rasach, takie wyczytywał okresy: „Wyrządziła mi obelgę”. „Zejść się z nią i poznać muszę.” „To tak pozostać nie może”. „Kto ona?”

Zapalił lampkę spirytusową pod retortą, napełnioną cieczą, z którą doświadczenia czynił—i w płomieniu postać jej widział.

Widocznie się zahaczył.

„To tak pozostać nie może”—stało się zwrotką stale powtarzaną.

W dni parę później, na wykładzie tego samego profesora znów się z nią zeszedł. Stwierdził, że to ta sama, która go onego czasu odpaliła i powziął postanowienie, dowiedziawszy się najprzód gdzie mieszka, poszukać drogi, któraby mu do



niej przystęp otworzyła. W tym celu, po lekcji, poszedł za nią, lecz zaraz mu zniknęła, albowiem udała się nie do domu, lecz do Szkoły nauk wyższych, na kurs, na który on nie uczęszczał. W przedsienu słuchacze, przed wnijsciem do audytoryum, zapisywali nazwiska swoje. Józef czatował na nią i skoro po zapisaniu się w księdze, za drzwiami audytoryum zniknęła, do księgi zajrzał. W księdze wyczytał imię i nazwisko, z którym się spotkać nie spodziewał:

„Ewa Ruczajska”.

Dawniej, w latach dziecińczych, nazwisko to często mu się o uszy obijało. Następnie słyszał je wymawiane coraz rzadziej, aż je całkiem wspominać zaprzestano. Wiedział jednak, że jego ojca majątek do Ruczajskich niegdyś należał. Zastanowiło go to i żywo zajęło.

„Ruczajska... no?... Któżby się był spodziewał?”

Różne przypuszczenia zaczęły mu się snuć po głowie.

„Może to nie z tych Ruczajskich?”

Ostatnie to przypuszczenie stało się dla niego rodzajem klucza, za którego pomocą zagadnienia się rozwiązują.

„Zapytam ją”.

Wyczekał więc na wyjście po godzinnej lekcji, przystąpił do panny Ewy, gdy się we drzwiach ukazała i, uchylając przed nią kapelusz, zwrócił się z przemówieniem następującem:

— Przepraszam panią... Pozwoli mi pani zadać jej jedno zapytanie?

— Proszę—odrzękła, rumieniąc się.

— Czy pani z tych Ruczajskich, do których niegdyś Orki należały?

— Nim odpowiem, chciałabym wiedzieć, kto mnie zapytuje...

— Wybacz mi pani zapomnienie... Nazywam się Józef Orzyński.

Młoda kobieta zwróciła się po zawieszony na kołku paletocik, który Józef zdjął i włożył jej pomógł. Przysługę tę przyjęła ze wzruszeniem, które się Józefowi pod palcami czuć dało; paletocik wkładając, z lekkim odpowiedziała jękaniem:

— Tak, panie, z tych—jestem... Ruczajskich...

— Nie raczyłyby mi pani—podchwycił Józef—udzielić chwili na rozmowę, jeżeli to pani przykrości nie uczyni?...

Mocniej aniżeli poprzednio zarumieniła się i nie od razu odpowiedziała:

— Mieszkam przy rodzinie państwa Krobickich, na Bagnolach, n-r 15, ulica Nollet.

— Dziękuję—rzekł i skłonił się.

Ona w swoją poszła stronę; on z uczuciem uradowania, którego racyi wytłumaczyćby sobie nie zdołał, udał się do siebie.

Następnie zastanawiał się nad pytaniem: Czemu drżała, kiedy on na nią paletocik wkładał?

„Zapytam i o to... nie teraz jednak, ale później trochę”.

Znaczyło to, że zamierzał znajomość, zawiązaną dorywczo w Sorbonie, posuwać dalej, dalej.

Z temi w głowie myślami do domu wszedł i odzwierna, wraz z kluczem od jego numeru, wręczyła mu list i telegram. Na liście poznał pismo ojcowskie; telegram rozerwał i następujące wyczytał wyrazy:

„Ojciec twój nie żyje. Pogrzeb 19 lutego. Przyjeżdżaj (podpisano) Piotr.”

## XVI.

Ruczajskim, z ogromnej niegdyś fortuny, pozostała wioszcyna mniejsza aniżeli Kółko. Wioska ta zwała się Ruczaj; dlaczego nazwę taką nosiła, różne o tem krążyły powieści. Wedle jednych, z niej wyszła i od niej otrzymała nazwisko rodzina, szlachta chodaczkowa, która z czasem, dzięki częścią zasługom, częścią koligacyom, w zamożność się wzbila i zajęła poważne w obywatelstwie stanowisko. Inni utrzymywali, że jeden z przodków marszałka, fundatora cukrowni, założył wioskę i nazwę jej od nazwiska swego nadał. Osada ta nie wchodziła do kompleksu kluczów, stanowiących przed laty fortunę Ruczajskich, w innym nawet leżała powiecie, w oddaleniu o mil kilka od Orek.

Gdy majątek przepadł, Ruczaj stał się państwem oddzielnem, szczuplutkiem w sobie, ale za to powołanem do wielkich przeznaczeń: do żywienia licznej rodziny pańskiej. Na szczęście dla Ruczaja, piorun, który w rodzinę uderzył, rozproszył ją, jak wichher rozprasza deski z rozbitego okrętu. Z członków jej niektórzy poginęli, inni zmarnieli, inni się zaprzepaścili tak, że pozostały tylko szczątki, wyglądające pokaźniej nieco w osobach Olgierda, wnuka marszałka a syna Karola i pani Ludwiki Krobickiej, wnuczki marszałka a córki Augusta.

Olgierd Ruczajski ożenił się i dostał za żonę posażek, który mu pozwolił Ruczaj z długów oczyścić i pospłacać niektóre schedy; że zaś nie był w stanie pospłacać wszystkich, mających do sched pretensyę i prawo, tulił więc przy sobie tych, którzy za procent pod jego osiedli dachem: starszego brata, Edwarda, i stryjeczną siostrę, Magdalenę. Oprócz tego mieszkała przy nim matka, z domu hrabianka Popielska, matrona sędziwa

głęboko przeświadczona o znakomitości swego rodu. Nie zważała zgola na niczyje perswazy, tylko głową kiwała i przy każdej okazji swoje prawa.

Pan Edward, który z bezwzględnego próżniactwa fach sobie zrobić potrafił, mocnym był w narzekaniu na próżniactwo, o które posądzał wszystkich sąsiadów i znajomych, przedewszystkiem pana Prospera Orzyńskiego, wydziercę Ruczajskim majątku. Co do tego ostatniego, staczał zawzięte ze wszystkimi spory.

— Co pan dobrodziej wiesz!—replikował.—Próżnując, do majątku dojść nie można? A ci, którzy w karty wygrywają, czy pracują?

— Orzyński w karty nie gra.

— Ale grał może... A przytem ludzie gadają o jakiejś szpilce. Powtarzam, com słyszał. To bajka zapewne, ale w każdej bajce jest część prawdy. Nie masz dymu bez ognia. Sam sposób, w jaki on u nas majątek wykręcił, świadczy, że w tem coś jest.

Wszyscy o tem wiedzieli, że gdyby nie Prosper, Ruczajscy byliby się przy Ruczaju nie ostali, ale „na żal wagi niema”. Rozbitki pod pana Olgierda dachem, nie mając na kogo innego żalu spędzić, przypisywali Prosperowi winę za to, że nie uratował od ruiny walącego się domu. Cóż było łatwiejszego i prostszego, jak długi popłacić i majątek im zostawić? Potomek ekonomów powinien był to zrobić dla potomków panów swoich przodków. On długi popłacił i dzieciom tych, którzy byli panami ojców jego, ochłap pod postacią Ruczaju rzucił. Kto inny na jego miejscu byłby wprowadził i Ruczaj zabrał, tego atoli synowie i wnukowie, córki i wnuczki marszałka rozumieć nie chcieli, z wyjątkiem jednej, pani Ludwiki, która nie podzielała żalu, przejmującego grono Ruczajskich, w Ruczaju skupionych.

Żaliła się głównie pani Karolowa, z domu Popielska. Pretensye jej dotyczyły nie tylko zabrania majątku ale i użytku, jaki z niego robi Prosper.

— Oficjalista u samego siebie. Dworu nie umie na przyzwoitej utrzymywać stopie. Żona, któraby po stolicach brylować mogła, w domu siedzi. A jak oni syna wychowują! Bez bony, bez guwernantki, bez guwernerów... z chłopskimi dziećmi razem.



— Próźniactwo—decydował pan Edward, fajkę na długim cybuchu paląc.—Wlazło to do majątku, jak borsuki na zimę do jamy włożą, i nosa nie wyścibia. Zachciała mama!

Panna Magdalena, przez dzieci państwa Olgierdostwa „ciocią Magdzą” zwana, milczała, niekiedy wzdychając. Ona również do Prospera pretensyę żywiła, ale bardziej do losu, który jej nie dopisał. Była na wydaniu, kiedy się Prosper niespodzianie z zagranicy zjawił i Sedynowiczównę za żonę pojął, zanim się z Magdzą poznał. Gdyby nie to—ona byłaby się „poświęciła” i interesy Ruczajskich inaczejby poszły. Na los się w duchu żaliła i kabałę ciągnęła. Kabala stanowiła jej zajęcie najmilsze i jedyne.

Państwo Olgierdostwo dolę swoją z rezygnacją przyjmowali; ona zwłaszcza, dobra, cicha, skromna kobiecina, szczupluszka, malutka, najraniej wstawała, najpóźniej się spać kładła, za wszystkich pracowała, nie przecząc matce mężowskiej, gdy ta się żaliła na niesprawiedliwość losu, puszczając mimo uszów surowe i złośliwe krytyki brata mężowskiego, uprzejmie spoglądając na pannę Magdalenę, wpatrującą się w karty, służąc wszystkim, mianowicie zaś mężowi, dozorującemu gospodarstwa, i dzieciom, których miała czworo.

W takiej atmosferze panna Ewa przyszła na świat i na słuszną dziewczoję wyrosła, wśród dwóch braci i jednej siostry. Przyszła na świat druga z rzędu. Poprzedził ją brat *microcephalus*—dotknięty ułomnością, która go pozbawiła władzy chodzenia i mówienia. Brat młodszy chował się zdrowo, lecz około dwunastego roku życia począł się w nim objawiać pociąg do sceny lub do cyrku: parę razy uciekał, wędrował z aktorami i hecarzami, powracał, o teatrze i cyrku marzył, do rozpaczcy tem doprowadzając rodzinę całą, zwłaszcza zaś babkę. Dziewczyna najmłodsza przyszła na świat z prawą nogą o kilka cali krótszą od lewej; zmuszało to ją o kuli chodzić.

W tak złożonej rodzinie jedna tylko Ewunia, normalnie zbudowana, ładna, obdarzona głową otwartą, stanowiła filar rodu. Za taką przez babkę była uważana. Potrzeba ją było stosownie wychować; niestety, na bony, na guwernantki rodzicom nie starczyło, musieli więc chwycić się jedyne go, jaki pozostawał środka: szkoły publicznej. I szkoła wysiłków wymagała, zwłaszcza, że Karolek, czujący w sobie powołanie artystyczne, kosztował wiele. Zdobywali się, ściągali: pan Olgierd konie plewami z sieczką karmił; pani Olgierdowa, w tajemnicy

przed matką mężowską, ser dzieżkami, masło faskami, połcie słoniny, wędliny, drób, jaja na targi w miasteczkach pobliskich wyprawiała. Ewunia się uczyła, dobrze się uczyła: przyswajała sobie z łatwością przedmioty, które program szkolny obejmował, ale talenty odłogiem w niej spoczywały. Uczyć ją grać, śpiewać, rysować, tańczyć, po francusku mówić, nie było za co. W domu znajdował się fortepian, przeniesiony wraz z innymi wykwintnymi meblami ze wspaniałego dworu, dziwiącemi się, że je ulokowano pomiędzy lepionymi ścianami dworku, niegdyś ekonomskiego. Na fortepianie grały pani Karolowa, panna Magdalena i pani Olgierdowa; każda z nich bodaj początki Ewuni daćby mogła ale pani Olgierdowa czasu nie miała, tamte zaś panie były od grania, nie zaś od uczenia. Ewuni przeto muzyka ograniczyć się musiała na paru mazurach, paru walcach i kilku utworach łatwiejszych, których się sama na rozstrojonym instrumencie wyuczyła. Mimo to, babunia nazywała ją „honorom domu”, dla utwierdzenia zaś jej w honorze, wskazywała portrety w pozłocistych ramach, rozwieszzone w izbie nazywanej salonem, i o każdym słów kilka powiadała.

Odpowiadając przytem na zapytania wnuczki, którą to mocno zaciekawiało, rozprawiła szeroko o splendorach, otaczających jej pradziadostwo, o towarzystwie, jakie do nich przystęp miało, o noszeniu się ich wysoko i traktowaniu przez nich niższych, czy to urodzeniem, czy też stanowiskiem.

Dziewczynie się to w głowinę wbijało.

Kiedy dorosła lat czternastu, trafił się w sąsiedztwie bal, dany *in gratiam* wesela, na który pojechała z ojcem i stryjcem. Ani babka, ani matka, ani ciotka jechać nie mogły z powodu braków w toalecie, w ekwipażach i w służbie odpowiedniej; młodziutkiej dziewczynki to wszystko nie zobowiązywało. Sprawiono jej muślinową sukienkę, obuto i urękawiczono przyzwoicie, uczesano, przystrojono—pojechała i na tym to balu wyrządziła Józefowi obelgę.

Za to babka ją wyściskała, lecz ojcu sprawiła tem przykrość. Dług niedopłacony, na Ruczaju ciężący, od którego od lat kilku procenty zalegały, należał się Prosperowi. Przypomniał to matce.

— Co mi tam!—odparła.

— Jeżeli się upomni?..

— To niech się upomina!

— I nas na bruk wyrzuci.

— Pójdziemy w świat i będziemy głosili, że Prosper Orzyński, synek ekonomski, Pelagię Ruczajską, z domu hrabiankę Popielską, z jej dziećmi i wnukami, ostatniego pozbawił przytułku!—odrzekła wyniośle.

Coś jeszcze mówić chciała, lecz głową wstrząsnęła i lzy jej z oczu popłynęły.

Panna Magdalena w głos zapłakała, a następnie zapłakały Ewunia i jej siostra młodsza.

Byłaby zapewne i pani Olgierdowa do tego koncertu się przyłączyła, gdyby w tej właśnie chwili nie dobierała kurcząt do par, mających iść na targ, celem zapłacenia białych rękawiczek, w których Ewunia na balu figurowała.

Nie przyszło przewidywane przez pana Olgierda smutne następstwo, albowiem dług jego zapisanym był od bardzo dawna w księgach rachunkowych Prospera jako strata, ale to było dla rodziny Ruczajskich tajemnicą.

Ewunia w atmosferze rodzinnej przesiąknęła przekonaniem babki. W szkole owionęła ją atmosfera inna; z razu stawiała się odpornie, odporność jednak z czasem słabnąć zaczęła, nie osłabła wszakże nigdy do tego stopnia, ażeby w przekonaniach jej zaszła zmiana zupełna. Te, które z domu wyniosła, służyły jej zawsze za rodzaj tarczy ochronnej, broniącej ją od pocisków, na jakie są wystawione pensyonarki w klasach, zwłaszcza wyższych. Przez dumę ani w rzeczywistości, ani w rojone nie bawiła się romansiki; panna Ruczajska poniżyć się nie mogła: trzymała się wysoko wobec tych nawet, które ładniejsze i droższe niż ona posiadały sukienki, które się lepiej przedstawiały, często zmieniały rękawiczki, miały parasolki zawsze świeże, kapelusiki eleganckie, perfumy modne, których kieszonki z cukierków się nie wypróżniały. Na tem wszystkim jej zbywało; umiała jednak miną nadrabiać—do przesady niekiedy. Raz, z jakiegoś powodu, odezwała się:

— Jestem wnuczką hrabianki i prawnuczką księżniczki.

„Księżniczką” ją za to koleżanki przeważały; miała z tego powodu przykrości wiele.

Jej odkosz, dany Józefowi na balu, doszedł do wiadomości gromadki dziewczęcej w szkole i zrobił na panienkach wrażenie silne. Zarzuciły ją pytaniami:

„Czy to prawda, żeś tak powiedziała? Czy to być może? Jakżeś się odważyła na coś podobnego mogła?”



Na to odrzekła zapytaniem:

— Jakże on się mógł odważyć mnie do tańca prosić? Ekonomczuk! — rzuciła tonem wzgardy.

Nastrój taki panował w niej do klasy przedostatniej, w której poczęła z tonu spuszczać pod wpływem emancypacyjnych idei, dostających się do szkoły za pośrednictwem panienek, mających braci, kuzynów i znajomych w wyższych zakładach naukowych. Pannę Ewę zaintrygowało to i zainteresowało tem bardziej, że spotkała się w druku ze sprawą wykształcenia niewieściego. W wyobraźni jej zaroilo się od pomysłów, zamiarów i planów, przebijających się przez różne skrajne teorie i doktryny, wychodzących jednak z punktu tego stanowiska, na jakim ją babka postawiła. Nie zapominała o tem, że ona Ruczajska; na sercu jej ciążył upadek domu; w perspektywie ukazywały się blaski, tryumfy, drogi nowe, ścieżki niewydeptane.

„Ewo Ruczajska — słyszała szept w duszy — Ewo Ruczajska! dalej! naprzód!”

Zapra gnęła.

Z pragnienia swego samej sobie sprawy zdaćby nie umiała. Nie lgnęła jednak do żadnych spekulacji socyologicznych; obojętnym był dla niej stosunek pracy do kapitału, obojętnem żelazne prawo, obojętnemi kwestye i kwestyjki, zajmujące niektóre z jej koleżanek tem mocniej, im mniej je rozumiały.

Wyższa nauka dla kobiet zacieka wiła ją, jako owoc zakazany, jako ponętna zabawka, do której dzieci rączęta wyciągają, i jako droga, na której ona, kobieta, Ruczajskich nazwisku blasku nadaćby mogła.

Dzieciństwo i duma w jedną złączyły się podnieję.

Nastąpiło to w ostatnim roku pobytu panny Ewy w szkole a stanęło na ostrzu noża, kiedy przyjechała do domu rodzicielskiego z dyplomem w walizce. Rozwiązanie kwestyi zasadnicze zależało od babki i stryja, praktyczne od ojca i matki.

Zaniepokoiło to panią Karolowę srodze. Zaalarmowała synów, synowę, pannę Magdalę, wszystkich. Wszczęły się gawędki, narady, konferencye, których rezultat w ten wyraził się sposób, że zapadło postanowienie napisania do pani Ludwiki, mieszkającej w Paryżu, celem zasiągnięcia jej w tej mierze zdania i rady. W miesiąc później nadeszła od pani Ludwiki odpowiedź.



„Nie brońcie Ewuni—pisała.—Nauka nie jest rzeczą zdrożną; zajmowanie się nią nikomu, ani nawet pannie Ruczajskiej ubliżyć nie może. Dużo kobiet, dam z wyższego świata, hrabin, księżniczek nauką się zajmują. Nie brońcie Ewuni nauki.”

— Złota, kochana cioteczka!—wykrzykiwała panna Ewa, sama do niej napisała i w odpowiedzi otrzymała zaproszenie formalne od ciotki:

„Przyjeżdżaj! Znajdzie się u nas kącik dla ciebie. Mieszamy we dwoje, zajmujemy apartament, w którym się pomieścisz tak, że ani ty nam, ani my tobie zawadzać nie będziemy. Nie dał nam Pan Bóg dzieci, od lat tylu z rodziny nie miałam przy sobie nikogo: zastąpisz nam córkę, która, gdyby żyła, w twoim byłaby wieku.”

Następnie dawała szczegółowe, dotyczące się podróży i przybycia do Paryża wskazówki.

List ten usunął trudności wszelkie i uspokoił alarmy. Na wyjeździe wnuczki pani Karolowa, błogosławiąc ją, odezwała się:

— Ale i w Paryżu pamiętaj, żeś Ruczajska!

Luboć pierwszy raz w życiu podróżowała sama i miała przed sobą drogi szmat spory, odbyła podróż bez zasługujących na zanotowanie przygód. Ze Lwowa pociągiem jednym dojechała do Wiednia; w Wiedniu się przesiadła i toż samo uczyniła na granicy francuskiej, ażeby wysiąść w Paryżu. Zapasy jadalne, w jakie ją matka zaopatrzyła, starczyły do końca: do stolicy Francji przywiozła z sobą pół bochenka chleba żytniego, pieczonego w domu.

W Paryżu, wychodząc z dworca, byłaby się, mimo telegramu ze Strasburga wyprawionego, znalazła w kłopotcie, gdyby wuj, którego równie jak ciotki nie знаła, nie zaradził trudności poznania się w tłumie przyjezdnych. Stał we drzwiach, przez które wszyscy podróżni przechodzić musieli, osłoniwszy sobie pierś ćwiartką papieru z napisem wielkimi literami: *Krobicki*. Pannie Ewie napis ten w oczy wpadł i trudność usuniętą została.

Krobicki był urzędnikiem biurowym na kolei żelaznej, dobrze płatnym; zajmował na trzecim piętrze apartament o czterech pokojach; z tych jeden grał nominalną rolę gabinetu, do którego gospodarstwo rzadko kiedy zaglądali. Skoro panna

Ewa pod przewodnictwem wuja próg przestąpiła, wnet ciotka, wycalowałwszy ją poprzednio i przypatrzywszy się jej, poprowadziła do tego gabinetu.

— Oto, *cherie*, twoje gniazdko. Jesteś tu panią samowładną. Zechcesz co w niem zmienić—powiedz mi tylko...

— Moja ciociu!—odparła rozrzewniona panna Ewa.

W niszy stało łóżko osłonięte kotarą, umeblowanie zaś pokoju trzymało środek pomiędzy salonikiem a pracownią, w skład bowiem jego wchodziły: kanapa, stolik okrągły, dwa fotele, cztery krzesła, biurko do pisania, szafka na książki, zwierciadła, parę obrazów, firanki w oknach, zegar ze świecznikami na kominku, umywalnia za przepierzeniem—wszystko gustowne i w dobrym stylu. Panna Ewa nigdy jeszcze nie mieszkała tak paradnie.

Ciotka była jej bardzo rada.

Pierwsze dni pobytu obrócone być musiały na zaznajamianie się z miastem i z osobliwościami Paryża; następnie potrzeba było informować się o wykłady w Sorbonie; upłynęło przeto kilka tygodni, zanim panna Ewa, zapisawszy się na kursa, przybrała charakter słuchaczki regularnej.

Nie z imienia tylko *regularną* została słuchaczką: prędko z wykładami się oswoiła i żadnego nie opuszczała. Codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, o ósmej rano wysiadała pod Odeonem z omnibusu, o siódmej wieczorem wsiadała. Śniadania zamówiła dla niej ciotka w jednej z mleczarni przy ulicy St.-Jacques, zaleciwszy jej, ażeby poprzestawała na jadle, przyrządzanem bez sztucznych przypraw. Pozostawała więc w dni powszednie jedenaście godzin w dzielnicy Łacińskiej: na kursach, a gdy miała godziny swobodne—w bibliotece Ś-tej Genowefy, gdy zaś pogoda sprzyjała, w ogrodzie Luksemburskim. W domu pojawiała się około ósmej wieczorem—wujostwo czekał na nią z obiadem.

Była już słuchaczką drugoletnią, kiedy, zasiadając pewnego wieczoru do stołu, zdała sprawę ze spotkania się z Józefem i jego wizytę nazajutrz zapowiedziała.

Pani Ludwikowa, pomna pretensyj, jakie jej rodzina do Prospera rościła, przyjęła tę wiadomość ze wzruszeniem. Mąż ją uspokoił.

— Ostatecznie—rzekł—Orzyński kupił i zapłacił. Z nim sprawa stoi na czysto... Chybabyście mu za złe mieli, że kupił nie dla was, ale dla siebie.

— Niech więc młody pan Orzyński przyjdzie, przyjmę go uprzejmie—odrzekła pani Ludwikowa.

Ale Józef nie przyszedł. Zanim państwo Krobiccy od stołu wstali, listonosz przyniósł pod adresem panny Ewy jego kartę wizytową, a na niej nakreślone wyrazy następujące:

„Wybaczy mi pani, że z jej pozwolenia skorzystać jutro nie mogę. Przed północą do Orek wyjeżdżam. Otrzymałem telegram z bolesną dla mnie i niespodzianą o śmierci Ojca wiadomością.”

## XVII.

Wiadomość o śmierci pana Prospera wrażenie u państwa Krobickich sprawiła. Zawiązała się dłuższa o nieboszczyku rozmowa. Pani Ludwikowa miała do niego żal rodzinny i żal ten w kilku wyraziła słowach:

— *Voyons* — odpowiedział jej mąż — przedewszystkiem sprawiedliwość... Pretensya Ruczajskich do Orzyńskiego jest albo słuszną, albo niesłuszną, jak pretensya wszelka... Na czemże się ona opiera?

— Majątkowe sprawy—odrzekła pani Ludwikowa.

— *Bon...* Czy długi na majątku waszym ciężące nie przewyższały wartości majątku?

— Podobno. Nie wiem dokładnie.

— Wykazały to sądy, do których się Orzyński wtrącać nie mógł, nie był bowiem ani sędzią, ani wierzycielem. Za wyrokiem sądowym majątek wystawionym został na sprzedaż, jak powiadają u nas: na subhastę, dla zaspokojenia wierzycieli. Ktoś go kupić musiał.

Pani Ludwikowa objekcyę podniosła: dlaczego kupił go Orzyński?

— *Et la raison, s'il vous plait?*—zapytał pan Krobicki, który w rozmowie wyrazy i wyrażenia francuskie chętnie wtrącał.

— Przez samą delikatność kupować był nie powinien.

— *C'est curieux ça, par exemple.*

— Ojciec jego był w Orkach ekonomem i na ekonomstwie tak się urządził, że kupił Kółko.

— Mógł się ojciec jego tak lub inaczej urządzać; mógł nawet siódme przykazanie w dekalogu po ekonomsku cokolwieczek gwałcić, ale... od kiedyż to i gdzie takie nastąpiło prawo,



żeby synowie za ojców odpowiadać mieli? Nie słyszałem o prawie podobnem.

Dosyć słabo pani Ludwikowa obstawała przy względach delikatności.

— Delikatność obowiązuje.

— *Allons donc!* Delikatność byłaby doprowadziła do tego, iżby Ruczajscy wyszli byli z torbami. Dzięki niedelikatności nieboszczyka Orzyńskiego, ostali się przy Ruczaju.

— To prawda—przyznała pani Ludwikowa.

— Kto inny może by się na taką niedelikatność nie zdobył.

— Nie wiesz—zwróciła się pani Ludwikowa do przysłuchującej się w milczeniu rozmowie panny Ewy—czy ojciec twój nie był przez nieboszczyka o nabyty przezeń dług nagabywany?

— Nie, zdaje się—odpowiedziała zapytana.—Nigdy o tem nic nie słyszała. Raz tylko...

— Co?

— Wspomniał papa o długu tym babuni.

Słowa te wyrzekła i mocno się zarumieniła, przypomniała bowiem sobie, że owo „wspomnienie” dotyczyło impertynencji, jaką ona Józefowi wyrządziła.

— I cóż?

— Wspomniał tylko, że dług ten cięży.

— Czy się płaca?

— Nie, zdaje się.

— Zapewne umarza się powoli przy wypłatach procentów—odezwał się pan Krobicki.

— Papa, zdaje się, procentów nie płaci.

— *Dans ce cas*, przedawnienie nastąpiło, *prescription*. To znaczy, że przez niedelikatność Orzyński dług nabył, ale się o niego nie upominał. *J'avoue...* podobna niedelikatność trafia się nie często.

Skutek rozmowy był ten, że panna Ewa doznała czegoś w rodzaju zgryzoty sumienia, przypominając sobie owo pierwsze, z przed lat sześciu czy siedmiu, spotkanie się swoje z Józefem. Dogryzało jej ono przez cały wieczór, a i w nocy spokoju nie dało. W oczach miała Józefa w dwojakiej postaci: najpierw jako młodzika, który czasu onego przed nią z akcentem tancer skim stanął, przemówił do niej: „Służę pani” i po odpowiedzi, jaką mu dała, odszedł jak zmyty; powtóre jako młodzieńca, który ją w Sorbonie zaczął i tak grzecznie, tak uprzejmie z nią się obszedł.

„Czyż on pierwszego ze mną spotkania nie pamięta?” — zapytywała siebie kilka razy, kładąc się do snu.

Za każdym zapytaniem gorąco się jej robiło. Nie śmiała w myśli powtórzyć sobie odpowiedzi: „Ja z panem nie tańczę” — tak jej się odpowiedź ta wydała okrutną.

„Godziź się być taką niegodziwą?”

Za jedyne usprawiedliwienie toby tylko posłużyć mogło, że ona, Ruczajska, „wnuczka hrabianki, prawnuczka księżniczki”, a on Orzyński. Usprawiedliwienie to jednak, przeszedłszy przez alembik rozumowań książkowych, myślowych i ustnych, straciło moc swoją — obróciło się w niwecz. Może się ostatecznie przyczyniła cokolwiek do tego postać młodego człowieka, nie mająca w sobie nic, coby wstręt budziło — przeciwnie. Zauważyła go Ewa w audytoryum przedtem, nim się do niej zbliżył. Wśród Francuzów, Włochów, Niemców i różnych innych cudzoziemców wyróżniał się. Wyróżniały go rysy oblicza, ruchy, gesty i całe się zachowanie. Była pewną, że to swojak. Kiedy do niej, w przedsionku szkoły wyższej po polsku przemówił, nie ździwiła się — wydało się jej to rzeczą naturalną i konieczną. Odtwarzała sobie w wyobraźni wszystkie, najdrobniejsze szczegóły: scenę w przedsionku, jak przed nią kapelusz uchylił, jak jej paletocik podał, jak ów paletocik na nią wkładał, jak o chwilę rozmowy prosił. Winszowała sobie, że prośbie jego nie odmówiła.

„Miał przyjść... Nie przyjdzie...” — westchnęła.

„Nie przyjdzie... W tej chwili jest w wagonie...”

Wyobraziła go sobie siedzącego w wagonie. Obraz w oczach jej stanął. Przedział klasy pierwszej: wymateracowane ławki, jedna naprzeciw drugiej, druciane półki w górze, po bokach siatki i trzymadła, okienka, za okienkami ciemno, wewnątrz lampa u sufitu, kloszem ze szkła matowego osłonięta — on w kącie na prawo, głowę na dłoni oparł, w dumaniu smutnem się pograżył.

„Czy sam? — zapytała. — Czy ma towarzysza podróży, może towarzyszkę?... towarzyszkę... starą czy młodą?... brzydką? piękną? Piękną zapewne. Piękne kobiety podróżują chętnie i w podróży pozują. Ach! jak one pozować umieją. Usiadła naprzeciw niego, ale on na nią nie zważa... w smutku pograżony... i ona... do smutku jego się zaciekawia.”

Na temat ten fantazyowała, zasnąć nie mogąc i zazdrozcząc tej przez imaginację wytworzonej kobiecie, towarzyszcze podróży Józefa.

„On smutny... ojca stracił, ojca ukochanego... i myśli o nim. Czy tylko o nim? Zapewne, bo o kimże miałby myśleć? Ma matkę... a... ale... czemuż on, po otrzymaniu telegramu, do mnie kartkę napisał? Gdzie ta kartka?”

Kartkę wzięła z sobą z pokoju jadalnego, ale nie pamiętała, gdzie ją położyła: na stole, czy na biurku. Kwestya ta zainteresowała ją tak mocno, że zapaliła lampę i, nie zważając na panujące po zgaśnięciu ognia na kominku zimno w pokoju, z łóżka wyskoczyła, celem jej odnalezienia. Boso, z lampą w ręku, przystąpiła do biurka, gorączkowo przerzuciła leżące na niem papiery i książki—karty nie znalazła. Zaniepokojona, zwróciła się do stolika, założonego również książkami: karta w kopercie leżała na wierzchu, przykryta tylko narzutką, którą rozbierając się na stół rzuciła. Pochwyciła ten list i przypatrywać się mu zaczęła. Obejrzała najprzód adres na kopercie i kilka razy przeczytała: „*Mademoiselle Ewa Ruczajska, au III me, rue Nollet 15, Batignolles*”; następnie przypatrywała się monogramowi „JO”, odbitemu na stronie odwrotnej; wreszcie kartę wyjęła i czytała ją, czytała długo, z razu pośpiesznie, potem coraz to powolniej, w końcu zastanawiała się nad każdym z osobna wyrazem, wpatrywała się w każdą literę. Zimno ją przejmowało, dygotała—nie zwracała na to uwagi, aż zziębnięta, zsiniała, kartę w kopercie do szufladki, w której listy przechowywała od rodziców, włożyła, szufladkę na klucz zamknęła, do łóżka pośpieszyła, kołdrę i pierzynę na siebie naciągnęła, skuliła się i usypiała w miarę, jak ciepłik brał nad chłodem górę.

## XVIII.

— Nie żałujesz, żeś w Paryżu ugrzęzła?

— O, ciociu!...

— Bo i ja nie żałuję, żeś się mi dostała...—rzekła pani Ludwika pewnego poranku.—I mój mąż temu rad bardzo. Od twego przybycia zrobiło się przed nami jaśniej, a będzie jeszcze jaśniej, gdy znajdzie się ktoś, co nam ciebie zabierze, ktoś taki, co cię uszczęśliwi.

Słowa ostatnie wymówiła we drzwiach—wyszła i drzwi za sobą zamknęła.

Wyraz ostatni panna Ewa powtórzyła:

— Uszczęśliwi?

Powtórzyła go raz jeszcze, rozstawiając sylaby:

— U-szczę-śli-wi?

Myśl w tym wyrazie zawarta wydała się jej czemś zupełnie nowem. O tem, żeby ją kto uszczęśliwiać miał, ani jej przez myśl nie przeszło. Babka uszczęśliwiła jej dziadka, gdy, będąc hrabianką, za nieutytułowanego wyszła człowieka; matka uszczęśliwiła ojca, wniosła mu bowiem posażek, dzięki któremu przy Ruczaju się utrzymał: ona przeto, luboć bez tytułu i bez posażku, ale Ruczajska, powołaną byłaby do uszczęśliwienia kogoś, gdyby inne na nią nie spadło zadanie—zadanie jedyne w rodzinie, w rodzie całym, mężczyzny. Jej, kobiecie, zadanie to przypadło w udziale. Było wprawdzie trzech Ruczajskich; miała ojca, stryja i brata: żaden z nich nie posiadał bark do wydzwignięcia na nich z upadku rodu, którego dostojność od dzieciństwa wpojona w nią była. Dawniej to ją zajmowało wyłącznie; dzieckiem będąc, kierowała się dumną dewizą: *nolli me tangere!* której nb. nie rozumiała. Skorupka się nią za młodu napoiła—i lubo Ewa



znacznie z tonu spuściła następnie, dzięki bijącym w nią falom teoryj i doktryn, zawsze jednak, co się uszczęśliwienia tyczy, na jednym i tem samym stała punkcie. Szczęście swoje, zwłaszcza osobiste, przedstawiała sobie pod postacią czegoś nakształt oklasku tłumów, wołających: „Oto Ruczajska!” Mówiono jej o zamążpójściu: gotową była pójść zamąż, gdyby się znalazł jaki Ruczajski, albo też, gdyby ten, któremu oddałaby rękę, był rodem jej równy i zgodził się nazwisko swoje na jej nazwisko zmienić.

Takie jej widzenie rzeczy miało za podkład dziewiczość ducha, nastrojoną na ton dumy rodowej i nieświadomą podnieć sercowych. Duma ją od tych podnieć uchroniła i przechowywała jej serce, niby perłę w konsze. Czysta myślą, czysta uczuciem, widziała przed sobą przesuujące się młode postacie męskie, lecz na żadnej uwagi zatrzymać nie raczyła. Harda była i nieprzystępna. O własnem szczęściu, o tem szczęściu, które poeta wyobraził w harmonijnem zlaniu się zgłosek dwóch lutni, ani zamarzyła, tem mniej zaś o tem, ażeby jej szczęście zależeć miało od kogoś.

Ale „serce nie sługa”, przychodzi na nie pora, w której się ono o prawa swoje upomina.

Kiedy więc pani Ludwika o kimś, ktoby ją uszczęśliwił, wspomniała, ta nowość żdziwiła ją najprzód, następnie rozrzewniła. Doznała wzruszenia, znamionującego zbieranie się na płacz; nie zapłakała jednak. Na kanapę się osunęła, głowę na poręcz pochyliła, czoło na rękę oparła i sama siebie zapytała:

„Któżby mnie uszczęśliwić mógł, jeżeli nie on?”

Zaimek, którym pytanie zakończyła, dotyczyć Józefa.

„On, on!”

Męskość w niej znikła—obudziła się kobieta, która poczuła w sobie rozkosz sercową tem silniej, im dłużej ją tłumiała. Znikło w niej wszystko, co się uczuciu temu sprzeciwiało i ją westalką rodowego ogniska czyniło. Miejsce tego wszystkiego zajął „on”, niby górujący, przewodni, motywowy w symfonii ton, który zapełnił sobą wszystkie jej serca zakątki i całą jej duszę, jakby się w niej rozsiała niewidzialna orkiestra i grała dla niej samej tylko—cicho a cudnie. Zapomniała o naukach, o teoryjach, o doktrynach, wsłuchana w tę muzykę, którą był „on”, a która ją z ziemi w niebo uniosła. O niczem nie myślała—słuchała, słuchała.

Na stole paliła się lampa, na kominku gorzał ogień kokso-  
wy, w pokoju panowała cisza, nie zamącona gwarem, ani hałasem  
żadnym z zewnątrz, właściwym miastom wielkim w ogniskach  
ruchu. Ulica Nollet przechodzi po za ogniskami wszystkimi.  
Ruchu na niej w dzień mało, w nocy zaś ustaje całkowicie;  
rzadko tylko dorożka przejedzie lub przechodzić się przesunie.  
Ciszy przeto w pokoiku panny Ewy nie mąciło nic innego, tylko  
głuchy szum, pochodzący od bijącego w zewnętrzne szyby po-  
dwójnego okna drobnego śniegu.

W tej ciszy ona, wsłuchana w muzykę, która w jej duszy  
grała, pogrążała się powoli w stan snu na jawie; sen ów  
byłby potrwał Bóg wie jak długo i przeszedł zapewne w sen  
rzeczywisty, gdyby jej nagle nie zbudził okrzyk:

— *Quel chien de temps!*

Okrzyk wydał w korytarzyku pan Krobicki, wracający  
około dziesiątej z partyjki w domino.

— Cóż tam?—słyszeć się dał głos pani.

— Ano... sypie i siecze...

— Przeziębilesz się?

— *Diable!* jeszcze co?

— Kieliszek *vin-chaud*?

— *Parbleu!* to nie zaszkodzi.

W ciągu tej rozmowy panna Ewa głowę od poręczy kanapy  
odchyliła, powoli się podniosła i wstała. Oblicze jej wyrażało  
tę błogość, jaka się na twarzach niewieścich po przebudzeniu  
z rozkosznego snu maluje. Że zaś było to oblicze piękne, wyraz  
ten przeto nadał mu akcent, nacechowany najwyższem zadowol-  
nieniem, opromieniającem piękno. Z wyrazem podobnym młoda  
dziewczyna, chociażby tylko nieszpeta, bywa zachwycającą.  
Zachwycającą też była panna Ewa z włosami w nieładzie,  
z uśmiechem na ustach, z jakąś tajemniczą przez źrenice prze-  
glądającą głębią. Nikt jej w tej chwili nie oglądał i nie podzi-  
wiał; mogłaby się lubować sama sobą, gdyby w zwierciadło  
okiem rzuciła; lecz na zwierciadło ani spojrzała: fotel do ko-  
minka przysunęła, usiadła i wpatrywała się w sinawe płomyki  
ognia, żarzącego się za kratą.

W ciągu dalszym wsłuchiwała się w grającą w jej duszy  
muzykę, która powoli, stopniowo cichła, milkła i ustępowała  
miejsca rozmyślanii. Akordy po akordach odrywały się i gi-  
nęły w echu dalekiem. Wreszcie rozmyślanie stanowczo tony  
zagłuszyło, gdy jej w głowie następujący zrodził się wniosek:

„Przecież i ja mam prawo być szczęśliwą.”

Z wniosku tego wysnuła cały traktat filozoficzny, który zwróciła następnie do siebie, mieniając się uszczęśliwiającą i uszczęśliwioną. Uszczęśliwiającą—kogo?... uszczęśliwioną—przez kogo?

Na pytanie ostatnie odpowiedź narzucała się jej sama; z pierwszym jednak łamała się analizowała warunki, wzbudzała w umyśle swoim wątpliwości i nie umiała rozwiązać jednego mianowicie zapytania: czyby się z nim porozumieć zdołała? Rozwiązywała je przypuszczalnie.

„Jeżeli—mówiła sobie—on widzi w szczęściu wszystkich, wszystkich cele... to się porozumiemy z łatwością, z całą łatwością. Z mojej strony najmniejszej nie będzie przeszkody.”

Przeszkody nie wymieniała, ale rozumiała przez nią te poglądy, jakie z domu, głównie od babki, wyniosła. Na ustępstwo to dla niego, ale tylko dla niego, zdecydowała się od razu, bez najmniejszej walki wewnętrznej. Z góry przypisywała mu zalety i cnoty wszystkie—był to znak, że go pokochała.

Miłość jest ślepą.

Mimo to panna Ewa smutniała, oblicze jej się zasepiało, na gładkie czoło chmura się nasuwała. Zapytała siebie:

„Czy ja gorsza od innych?”

Panna Ewa, po zadaniu sobie powyższego pytania, wstała i w zwierciadło spojrzała. Postawiła, dla dokładniejszego przyjrzenia się sobie, lampę na kominku. I to jednak nie wystarczyło jej jeszcze. Zapaliła stojące po obydwóch stronach zegaru kandelabry i przyglądała się sobie szczegółowo: wprost, bokiem, w trzech czwartych profilu, w zbliżeniu i w oddaleniu, odstępowała i przypatrywała się pozie.

Trwało to dosyć długo, z pół godziny. Czy i do jakiej doprowadziło konkluzji — nie wiadomo. Może i sama panna Ewa nie wiedziała. Przypuszczać jednak należy, że się czegoś dowiedziała, zdmuchnąwszy howiem świece w kandelabrach, zaczęła od drzwi do okna i od okna do drzwi chodzić.

Po niejakiś czasie poczuła, że w pokoju duszność; przechadzki zaprzestała, przed oknem stanęła, otworzyła je i ochłody zapragnęła.

Uderzyło w nią powietrze zimne; drobniutki śnieżek, który się dotychczas nadaremnie do okna dobijał, obsypał ją.

Głęboko odetchnęła.

Chłód orzeźwiał i dla niego w otwartem pozostała oknie, patrząc w otchłań mętną, podkreśloną u dołu szeregiem migotliwych, śnieżycą zamatowanych światełek latarni miejskich, zaznaczoną zarysowującemi się w ciemności konturami kamienic, zalaną u góry powodzią cieniów. Na tle cieniów wyobraźnia jej kreśliła obrazy, obrazy szczęścia, szczęścia we dwoje—z nim, najdoskonalszym wśród śmiertelników. Znała go mało, ale posiadała doskonałości jego dowody niezbite. Po między dowodami najpierwszym—a jakim ważnym!—był on sam, on, jego postawa jaką przybrał, gdy czasu onego, po doznanej z jej strony obeldze, we drzwiach stanął i za nią, jeszcze na przekór z kim innym tańczącą, okiem wodził. Stanął jej w pamięci, niby żywy. Zdawało jej się, że się znalazła heroicznie—a to on heroicznie się znalazł. Kto inny na jego miejscu byłby niechybnie satysfakcyi poszukiwał, on zaś posmutniał tylko.

„Smutek jego wzięłam za upokorzenie... Ach, jakież złe było ze mnie dziewczę!... I chlubiłam się tem!”

Mimo chłód zewnętrzny uczuła w sobie gorąco, gdy postępowanie swoje porównywała z postępowaniem jego i gdy następnie analizowała zdarzenie w Sorbonie. Przyznawała mu szlachetność, wielką szlachetność i następnie badała powody, które go pociągnęły do niej wówczas, kiedy podlotkiem była i teraz... kiedy... o uszczęśliwieniu siebie zamarzyła.

Prześliczne, precudne w wyobraźni jej, na tle cieniów oblewających Paryż, malowały się obrazy. Ułożyły się one w szereg ilustracyj, wyobrażających sceny, wynikające jedna z drugiej. Szereg rozpoczyna Sorbona:

„W Sorbonie razem... ach! razem... Tak on, a tak ja... On coś zanotował: co mianowicie?... Profesora słucho i... ukradkiem... nieznacznie... spogląda na mnie.



## XIX.

Józef myślał i nie słuchał, co się przy nim mówiło. Wyosobnił się w saloniku.

Nagle ujrzał matkę przed sobą i usłyszał z ust jej wyrazy:

— Mój Józiu!

— Co, mamgo?—zerwał się, jakby ze snu przebudzony.

— Musimy żyć, synu...

— Musimy... i życiem świadczyć, żeśmy coś warci.

— Tak, moje dziecko—westchnęła.—Chodźmy...

Przy stole pani Karolina, którą śmierć męża wprawiła w stan apatyi chorobliwej, pełniła funkcję gospodyni domu. Było to znakiem, że odzyskiwała energię życiową. Pan Piotr to zauważył i szepnął do żony:

— Anusiu, Karolcia otrząsa się ze smutku.

Nalewała herbatę, miała udział w rozmowie, której treść wysnuła się ze wzmianki o niejakim Grudzie, starającym się o rękę panny Pasmulskiej. Kwestya ta, obiegająca okolice, żywo interesowała panią Annę, Gruda bowiem mógłby był się starać o rękę jednej z jej niewydzanych córek. Zanosilo się nawet na to—była wszelka pewność, więc pani Anna nie mogła zrozumieć, dlaczego się ta rzecz odwróciła.

— Ona taka młodziutka, on kawaler dobrze marcowy: mógłby być jej ojcem...

— Może dziadkiem—wtrącił pan Piotr.

— Dziadkiem nie, ale ojcem na pewno. Cóż?... jej liczyć można lat nie więcej, jak szesnaście, najwyżej siedemnaście; on czterdzieści sześć skończył. Pamiętam go sporym wyrostkiem, bywał z nieboszczykiem starym Grudą w Kółku, za życia jeszcze nieboszczyka naszego ojca. Raz go stary Gruda, jadąc na

detaksacyę do Orek, u nas zostawił. Mieliśmy chłopca u siebie przez dwa dni... O! pamiętam.

— I ja pamiętam—odparł pan Piotr—byłem na jego chrzcinach: trzymałem go do chrztu w piątej parze a w pierwszej nieboszczyk Karol Ruczajski.

Niezbite to świadectwo stropiło panią Annę i zniewoliło zmienić treść rozmowy. Ku temu posłużyła jej wzmianka o Karolu Ruczajskim.

— Karol Ruczajski—rzekła.—Mój Boże! na co to jego dzieci zeszyły. Jego wnuk, syn Olgierda, cały karnawał w Zarzyńcach spędził, dla teatru amatorskiego, z którym, prawdę powiedziawszy, bez niego nie moglibyśmy byli do końca trafić.

— A przydał się—odezwał się pan Oktawian.

— To i dobrze, że się na coś przydać może—odrzekł pan Piotr.—Był on i tu, również dla teatru, który nasze personale fabryczne i ekonomiczne wyszykować zamierzają. I owszem. Podałem im myśl grania sztuk ludowych. Nie wiem, czy myśl ta uznanie uzyska. W każdym razie to dobrze. Młody Ruczajski, artysta dramatyczny, tak siebie tytułuje, wyjechał jakoś przed tygodniem, ale, jak słyszałem, ma wrócić.

Pan Piotr na to ręką machnął.

— I na co to zeszyło... Zostało z całej licznej niegdyś, takiej zamożnej i z takimi formami pańskimi rodziny, dwoje tylko do ludzi cokolwiek podobnych: ten, który się na aktora kieruje...

— To mu nie ubliża—wtrącił pan Piotr.

— I jedna panna, która, Boże odpuść...

— O jakiej panie ciocia mówi?—zapytał milczący dotychczas Józef.

— O córce Olgierdowstwa, z Ruczaju. Mają dwie: jedna kaleka, druga nieszpётna. Ale... cóż z tego! w naszych czasach wartości żadnej nie mają wdzięki bez brzeków. Z Ruczaju niktby jej nie wziął, ściągnęli się więc Olgierdowstwo z ostatniego i posłali ją do Paryża... na przepadłe.

— Jakto na przepadłe?—znów zapytał.

— No, a jakże! Cóż ona, uboga dziewczyna, w Paryżu zyska? Niebrzydka... Wiadomo przecie, jak się to tam dziewczęta niebrzydkie, ubogie i samym sobie zostawione kierują.

— Jeżeli się uczy...

— Oho! Nie gadaj ty mi, Józiu, o nauce kobiecej. Wyjdzie na doktorkę... Któż się na doktorkę złakomi?

Józef brwi sfałdował, czoło sobie dłonią potarł i zamilkł.

Pani Karolina za doktorkami się ujęła.

— Nie widzę w tem nic złego—odezwała się.

— Dla Ruczajskiej?...—odparła pani Anna z przyciskiem.

— Tem mniej dla Ruczajskiej zubożalej.

— Cóż jej z tego przyjdzie?

— Stanie się pożyteczną.

— Co to za pożyteczność, siostró kochana! Najpożyteczniej dla kobiety wyjść zamąż i dobrze trafić.

Przypomniała sobie, że jej córka o rozwód zabiegi czyni.

— A doktorka przypadkiem chyba wydać się potrafi. Gdyby mój syn z doktorką się ożenił, wyrzekłabym się go, synowej-doktorki widziećbym na oczy nie chciała. Marszałek, gdyby z grobu wstał i dowiedział się, że prawnuczka jego medycyny się uczy, z pewnością coprędzej napowrót do mogiły by się schował.

— Nie miałby racy—odezwał się pan Piotr.

— Możeby się dowiedział, że jego prawnuczka czego innego się uczy—dorzucił Józef.

— Czego naprzykład?

— Nauk jest tyle.

— Fizyki może—wtrącił pan Piotr.

— Obeszłaby się bez takiej umiejętności. Wolalaby w domu siedzieć, niż ryzykować się na gruncie tak ślizkim, jak Paryż.

Gadanie to, luboć gadania ciotki na seryo brać nie miał zwyczaju, wielką Józefowi sprawiało przykrość. Przypomniał sobie spotkanie z pewną emancypantką na kolei; w ogóle niebezpieczeństwo w Paryżu dla dziewczyny, w takiej, jak panna Ewa pozycji, uważał za rzecz możliwą, zwłaszcza zaś, że nie znał sfery, w jakiej ona się po za wszechnicą obracała, podczas gdy sfera, zbierająca się w Sorbonie, najmniejszej nie dawała rękojmi. Doznał więc przykrości, połączonej z czemś nakształt obawy o bezpieczeństwo istoty, która była dla niego, sam to przyznawał, niczem.

Niczem?

To nic jednak obchodziło go cokolwieczek—tak dalece, że gdy myślał o stracie ojca, do myśli tej przyplątywało się co następuje:

„Niech jeszcze sprawdzą się przewidywania ciotki, co do panny Ewy, a uzupełni się koncert nieszczęść dla mnie.”

Pan Piotr po wieczery odjechał z żoną do Kółka. Przed odjazdem, żegnając się z Józefem, zapowiedział mu przyjazd swój nazajutrz.

— Będziemy sporo do czynienia mieli—rzekł.

W rzeczy samej—sporo mieli do czynienia: nowy właściciel, obejmując majątek, obznajmić się musiał ze wszystkim, co do niego wchodziło. A wchodziło dużo: fabryki, zakłady różne, biura w trzech kluczach, obejmujących kilkanaście wsi, wiosek i parę miast pomniejszych. Wszędzie potrzeba było być i we wszystkim się rozpatrzyć okiem właściciela.

Józef w Piotrze, który na stanowisku lustratora generalnego był nieboszczyka *alter ego*, miał przewodnika doskonałego. Dzięki jego wskazówkom, z łatwością mu przyszło poznać mechanizm rolniczo-przemysłowy, funkcjonujący na obszerną skalę. Zwiedzanie zajmowało mu umysł i czas. Parę razy po dni kilka z rzędu spędzał po za domem.

Nieobecność jego niedobrze na panią Karolinę oddziaływała: smutniała, mizerniała, trapiły ją sny, podlegała halucynacyom—ożywiała się, kiedy on powracał. Józef nie spostrzegał się na tem. Razu jednak pewnego, witając go, płaczem wybuchnęła.

— Mamo! co mamie? mamie!

Stłumiła płacz w sobie i, przystrajając oblicze w uśmiech, odpowiedziała:

— Nic, moje dziecko. Wzruszył mnie twój widok: byłam o ciebie trochę niespokojną.

Tłumaczenie to Józef z uznaniem przyjął, nie zaspokoił się niem atoli. Zwrócił się z tem do pana Piotra i ten mu poradził pomówić z lekarzem, który czuwał nad panią Karoliną i regularnie co drugi dzień o zdrowiu się jej dowiadywał.

— Zauważyłem—odrzekł lekarz, przez Józefa zapytany—skłonność do melancholii, co było naturalnym wynikiem nerwowego wstrząśnienia po wypadku... Skłonność ta, zdawało się, słabła, w ostatnich atoli dniach wzmocniła się i przyłączyły się do niej przywidzenia... Z tego wyniknąć mogą następstwa nie-dobre...

— Jest na to rada?

— Jest, zapewne.

— Jaka?



— Zmiana miejsca i widoków, rozrywki, nowe wrażenia, jakie, na przykład, podróże dają.

— Podróże?—pomyślał Józef i tonem, w którym rozpoznać się dawało korzystanie z okazji, zapytał:—Gdybym matkę powiózł do Paryża?

— Właśnie tę myśl nasunąć chciałem. Może sama podróż wywrze wpływ zbawienny; na wypadek zaś, gdyby nie wywarła, znajdzie tam pan pod ręką czarodzieja, który posiada tajemnicę zaklinania nerwów.

— Charcot'a?

— Charcot'a. Niech się pan nie waha i z wyjazdem nie zwleka, lepiej bowiem chorobę w zarodku zabić, niż dać się jej rozwinąć i potem się z nią porać.

Józef zawiadomił wuja o radzie lekarza.

— Matkę zapewne odwieziesz i z nią zostaniesz?

— Naturalnie—odpowiedział.

— Jakże będzie z tutejszemi sprawami?

— Wujaszek lepiej je ode mnie poprowadzi.

— Nie spuszczaaj ty się na to, bo, najprzód, jestem dzbanem, któremu się wkrótce ucho urwie, a powtóre, tyś tu potrzebny obowiązkowo. Rozumiesz?

— Rozumiem, wujaszku, doskonale rozumiem; nie wybieram się też na zawsze, ani nawet na długo.

— To dobrze; nim jednak wyjedziesz, winienesz pierwej oblecieć z wizytami sąsiadów, którzy na pogrzebie byli. Uchybiłbyś im niepotrzebnie, gdybyś tego nie zrobił. Podczas przeto, kiedy się matka będzie w podróż wybierała, ty się z wizytami załatw.

W kilka dni później, na dworcu kolei żelaznej, w poczekalni, pani Karolina na kanapie siedziała, a Józef i pan Piotr, rozmawiając o dostawie cukru do Węgier, po pokoju się przechadzali, w oczekiwaniu na nadejście pociągu. Naraz Józef zapytał: Nie wie wujaszek czego o Krobickich?

— O Krobickich? Poczekaj-no. Nazwisko nie jest mi obce. Jedna z córek, starsza zdaje się, Augusta Ruczajskiego za Krobickiego wyszła. A tak, wyszła, ale o niej i o nim słuch zaginął.

Wtem z szumem i hukiem pociąg zajechał.

## XX.

Józef często stawał w myślach panny Ruczajskiej, a raczej nie niknął z nich wcale: zainstalował się w tym przybytku; nie przestała marzyć o nim, ani w domu, ani w audytorium, ani kiedy omnibusem przejeżdżała od Odeonu do placu Clichy. W domu, machinalnie prawie, rano nim wyszła i wieczorem, gdy wracała, odsuwała szufladkę, w której kartkę od Józefa złożyła, wyjmowała ją, oglądała i czytała. W audytorium, tego dnia, w którym on miał być u niej, usiadła, gdzie zwykle, i wnet oczy zwróciła na ławkę zajmowaną przez Józefa. Nie było go, ale miejsce nie pozostawało próżne: zajmowała je jakaś młoda, bardzo przystojna, elegancka paryżanka. Pannę Ewę gniew przejął—poczuła coś w rodzaju zazdrości i powiedziała sobie w duchu:

„Poczekaj! nie uda ci się to drugi raz.”

Jakoż prelekcję następną z tego miejsca wysłuchała.

Było jej teraz dobrze, słodko, lubo, jak wędrowcowi, którzy po długim po obczyźnie wałęsaniu się, na swoje w końcu trafili śmieciisko.

Działo się tak w ciągu dwóch dni. Nie zastanawiała się nad swem uczuciem, nie analizowała go—na to czasu nie miała; wujowstwo z obiadem czekali. Na prędcie przed zwierciadłem stanik na sobie obciągnęła, włosy przyczesła i wyszła do sali jadalnej, gdzie już wuj przy stole siedział w oczekiwaniu na jej przyjście.

— *Enfin...*—rzekł, rękę jej podając.

— Przepraszam—odrzekła.—Znalazłam list, którego odczytanie zatrzymało mnie za długo może.

— Czekał na ciebie od rana—odezwała się ciotka.

Zwykle listy do niej przychodziły rano; że zaś były one najczęściej od rodziców, niekiedy od koleżanek, rozpieczętowała je wieczorem w swoim pokoju i przynosiła do jadalni dla odczytania wujowstwu w całości lub w wyjątkach. Sprawiało im to przyjemność, służyło bowiem za temat do gawędki, dla której pan Krobicki zapominał niekiedy pójść do pobliskiej kawiarni i wygrać, albo przegrać, mazagrana z pliwierkiem w domino. Grę w domino namiętnie lubił. Tym razem mógł sobie dogodzić, na zapytanie bowiem ciotki: „Cóż tam piszą?” — panna Ewa odpowiedziała:

— Ach! ciociu, nic ciekawego. List pokażę cioci.

Przy stole nie była rozmowną. Wuj prawił o Bismarku, mianowicie o tem, że on „*bigre*”, piwa dużo pije a piwo ludzi ociężałymi czyni. Słuchała tego i nie słyszała, stąd wprawiała w zły humor wuja, nie oceniła bowiem paru powtórzonych przezeń z *Charivari* o byłym żelaznym kanclerzu dowcipów, które się mu znakomitami wydały.

— *Bigre...* toż mu dociał... *n'est-ce-pas?*...

— O, tak—potwierdziła, nie wiedząc co.

— *C'est ingenieux ça...* co?

— O tak.

— Francuzi, *ils ne jetent pas leur langue aux chiens...*

— O, tak.

Poznał, że go kuzynka nie słucha; że zaś ją szanował, spędził przeto gniew swój na potrawkę z królika.

— Żeby *civet* z królika był smaczny, potrzeba sos *épicer* jak najmocniej. Na tem sztuka cała...

Ze smakiem jednak zjadł królika z sosem takim, jaki kucharka przyrzadziła, zakąsił obiad kawałkiem sera, od stołu wstał i odezwał się:

— A zatem, *si c'est ainsi*, do widzenia, *mesdames!* Do widzenia... *au révoire*.

Za wychodzącym zawołała żona:

— Nie zapomnij parasola!

— Czy ja co zapominam kiedy?...

Panna Ewa zwróciła się do pani Ludwiki:

— A więc... może ciocia będzie łaskawa?

— Co?—zapytała ciotka.

— Do mego przejść pokoju?

— Jakoś nie swoja jesteś: musiała cię niemiła dojść wiadomość...

— Dam cioci list do przeczytania.

— Od kogoż to?

— Od dalekiego naszego kuzyna, Henryka Popielskiego.

— A... mówiłaś mi o nim... Bawił czas jakiś w Ruczaju.

— Pół roku, jeżeli nie dłużej.

— Cóż on pisze?—zapytała, usiadłszy w pokoju panny

Ewy na kanapie, przy lampie.

— Proszę czytać. Oto list.

Pani Krobicka, czytając, odzywała się:

— Wyznanie miłości. Skromny jakiś chłopiec. Ale to ciekawe... Chce sobie chyba w łeb strzelić?... Nie... coś innego ma w głowie... Ale... co?...

— Co?—zapytała panna Ewa.

— Ano pisze, że swoją przyszłość, swoje szczęście, swoją miłość na jedną stawia kartę. Co on pod tem rozumie?

Panna Ewa wzięła list z rąk ciotki, oczami go przebiegła, drugą połowę z uwagą przeczytała i ramionami wzruszyła.

— Chyba tego w literalnem znaczeniu brać nie można. Gdyby tylko o bogactwo chodziło, to zdarza się, że majątek jedna karta przynosi, ale stawianie przyszłości, szczęścia i miłości na jedną kartę, jeżeli to przenośnia, to za zbyt subtelna. Ale oni wszyscy tacy.

— Kto oni?

— Mężczyźni. Gdy który się rozkocha, niestworzone wypłata głupstwa.

Panna Ewa na słowa te uśmiechnęła się mimowolnie.

— Ów pan Henryk musi cię przeto kochać szalenie. Gdyby podobną niedorzeczność powiedział, możnaby myśleć, że mu się niechcący z ust wymknęła, ale napisał... wykaligrafował. Przepraszam cię jednak, moja Ewuniu, może ty dla niego afekt czujesz?

— Nie, ciociu...

— Odpiszesz mu?

— Nie...

— Zresztą on sam tego nie wymaga. Zapowiada ci, że stanie przed tobą bogaty i rozumny dla wysłuchania z ust twoich wyroku. To ciekawe.

Gdy panna Ewa znalazła się znowu w swoim pokoju, zaczęła marzyć.

Podwórzec Sorbony, dokoła mury wysokie, w głębi kupała nad kościołem, fundowanym przez kardynała Richelie'go,



z przodu brama; ku bramie w tłumie słuchaczy podchodzą oni dwoje; on pochyla się ku niej i pyta:

„Na jaki pani teraz wykład idzie?”

„Na żaden. Mam godzinę wolną. Użyję przechadzki przez ten czas w ogrodzie Luksemburskim.

„Pozwoli mi pani towarzyszyć sobie?”

Obraz drugi przedstawiał zakątek ogrodu, w którym się znajduje monumentalna studnia, umieszczona w ustroniu, udającym las głuchy. W tem ustroniu on i ona usiedli i rozmawiają—nie o wykładach. On jednak ją poucza. Na obrazie widać, że mówi do niej, mówi, ona słucha i to, co słyszy, sprawia jej zadowolenie niewysłowione.

Obrazy następne snuły się dalej ciągiem nieprzerwanym, bez względu na to, że kiedy zimno ją przejęło, okno zamknęła i do spania się rozbierała. Przerwę jedyną sprawiło jej przypomnienie o notatkach, które zwykle wieczorem porządkowała. Wzięła ze stolika lampę w zamiarze postawienia jej na biurku i popracowania przy niej, lecz obok lampy spostrzegła list Henryka. Chciała go odczytać, przeczytała jednak tylko nagłówek: „Droga, kochana kuzynko”, rzekła: „Biedny chłopiec” i list w ogień rzuciła. Dokonawszy tego całopalenia ćwiartki, zapełnionej płomiennem wyznaniem miłości, nie do biurka, ale do łóżka się zwróciła i w nieprzerwanym ciągu, póki nie zasnęła, z jednego przyszłej szczęśliwości obrazu wytwarzała drugi.

Podczas dni następnych nie dawała nikomu w audytorjum ubiedz się w opanowaniu miejsca, zajmowanego dawniej przez Józefa. Przesadną się stała, wróżyła sobie: „Jeżeli dziś miejsce jego zajmę, to dobry będzie znak”. Śpieszyła przeto, ażeby wszystkich uprzedzić i raz o mało, że wróżba źle nie wypadła. Wchodzi do audytorjum, patrzy, o zgrozo, ktoś siedzi: jakiś jegomość, który tak wyzywająco nastawia się, jakby usiłował uwagę jej na siebie zwrócić. Człowiek ten wpatrywał się w nią na trotuarach i w audytorjach. Parę razy do niej przemawiał; raz z nią w omnibusie na Batignolles jechał, razem wysiadł i odzwiernej się o nią rozpytywał; raz zaś, gdy o siódmej wieczorem ku Odeonowi śpieszyła, ofiarował jej swój powóz. Nie mogła go więc nie zauważyć; powiedziała o nim ciotce.

— Jakiś napastnik—odrzekła pani Ludwika.— W Paryżu dużo jest do niego podobnych. Nie odpowiadaj mu.

— Ja też tak robię.

— Dobrze robisz; gdyby ci się zbytęcznie naprzykrzał, wezwij *sergeant de ville* i poproś, aby cię od tego pana uwolnił.

Do tej ostateczności nie przyszło; przez jakiś nawet czas panna Ewa nie spotykała go na drogach swoich, aż oto natknęła się na niego w chwili, kiedy nie mając od dwóch z górą tygodni żadnej o Józefie wiadomości, myślała sobie:

„Jeżeli miejsce jego zajmę, spokojną będę.”

W takim właśnie momencie nadarzył się ów jegomość.

Panna Ewa chwilkę się zawahała. Zwróciła się już była nawet, w intencji opuszczenia wykładu, lecz na odwagę wzięła, rezolutnie wprost do zaborcy miejsca poszła i rzekła:

— Proszę pana...

— Co pani rozkaże?—odrzekł.

— To moje miejsce.

— Pani?

— Tak.

— Czy pani na tem zależy, ażeby je zająć?

— Zależy.

— Bardzo?

— Bardzo.

— A gdybym nie ustąpił?

— Wyjdę z audytoryum.

— Jeżeli tak... proszę.

Usunął się.

Zdobyta w ten sposób wróżba sprawiła pannie Ewie zadowolenie. Odniosła tryumf. Zawadzało jej sąsiedztwo napaśtnika, lecz nie uważała na to: uspokoiła ją nadzieja wiadomości pomyślnej. Na wiadomość czekała z górą jeszcze tygodni parę i doczekała się listu od rodziców. Pisał do niej ojciec, pisały matka, babka i siostra, przypisała się ciocia Magdzia. Każdy i każda z piszących, obok zawiadomień o zdrowiu i o rozmaitych w sąsiedztwie zaszłych zdarzeniach, mniej lub więcej obszernie rozwodzili się o śmierci pana Prospera. Najobszerniej w tej materii pisała pani Karolowa, wychodząc z tego punktu, że nagła śmierć ojca Józefa jest karą Bożą za to, że rozsiadł się na śmieciisku Ruczajskich.

— O, babuniu!—odezwała się panna Ewa.

Następnie pani Karolowa rozpiśała się o Józefie. Ustępn ten brzmiał proroczem natchnieniem. „Maleparta idzie do czarta.” W przekonaniu pani Karolowej nieboszczyk źle, przy pomocy

sposobów tajemniczych majątek nabył. „Zobaczysz—pisała dalej—co z majątkiem młody Orzyński zrobi. Po za granicami się włóczy z jakimiś szalonymi w głowie projektami, na których wykonanie nie starczyłoby dziesięć takich majątków. Co ojciec uciulał, to on puści. Wszystkie fortuny źle nabyte—taki mają koniec. Ojciec nabył, syn roztrwonik. Gdyby się ożenił... Ale gdzie tam jemu żenienie w głowie! Stary go powściągał, póki żył; teraz niema na niego hamulca. Matka słaba a przytem kobieta to ograniczona, nie znająca świata, ani ludzi, wychowywała syna z chłopiętami; wyjeżdża za granicę, a podobno i syn z nią razem, do Włoch zapewne, bo ona suchotnica. Można przypuszczać, że młodego pana Orzyńskiego, olśniona jego majątkiem, złapie jakaś Włoszka i on Orki, Zalesie, Tronianice, fabryki i zakłady przefacyндуje za pałace w Wenecyi, w Rzymie, w Neapolu. To pewna... Maleparta idzie do czarta.”

— O, babuniu, babuniu!—powtórzyła panna Ewa, skończywszy list pani Karolowej.

Do proroctw babki nie przywiązywała wiary, mimo to wywarły one na nią wrażenie: wskazały jej niebezpieczeństwa, zagrożające Józefowi, i wzbudziły w niej obawy.

„Gdyby go kto przestrzegł i powstrzymał.”

Takie w myśli jej sformułowało się pragnienie.

Przestrzegłaby go ona, gdyby się z nim zeszała. Ale gdzież jej za nim po Włoszech gonić!

List ten odczytała wujowstwu Krobickim.

Pewnego wiośnianego czwartku panna Ewa powróciła z wykładów w południe i, kiedy w swoim pokoiku czekała wezwania na śniadanie, usłyszała odgłos dzwonka w korytarzu. Ktoś przyszedł, co ją nie wiele obchodziło. Po chwilce słyszeć się dało pukanie do jej drzwi.

— *Entrez!*—odezwała się.

Weszła służąca, podając jej kartę wizytową.

Panna Ewa na kartę okiem rzuciła i skamieniała.

Oblicze jej kredową okryło się bladością; wszystka z niego krew uciekła.

— *Mademoiselle!*—krzyknęła służąca przestraszona.

— To nic... nic—odrzekła, ręką się za poręcz krzesła ujęła i po chwili, odetchnawszy z głębi piersi, rzuciła służącej wyrazy: Proś do salonu!

## XXI.

Ciotka nie chciała z nią wejść razem.

— Nie wypada... To gość do ciebie... Jeżeli ci tak bardzo o obecność moją chodzi, zjawię się za chwilkę.

— A, ciociu...—westchnęła.

— No—odezwała się pani Krobicka zachęcająco.

Panna Ewa po czole się ręką musnęła, klamkę od drzwi do saloniku poruszyła i weszła.

Józef, stojąc obok stołu, przerzucał karty albumu z markami pocztowymi. Gdy panna Ewa weszła, oczy podniósł i spotkał się z jej wejrzeniem.

Popatrzyli na siebie.

Oczy ich zajaśniały rozradowaniem wielkiem. Panna Ewa, zamiast się skłonić gościowi, zamiast mu na powitanie jedną podać dłoń, wyciągnęła do niego obie. Gdyby Józef ramiona otworzył, kto wie, coby było nastąpiło; on jednak tyle znalazł mocy do zapanowania nad sobą, że tylko za obie ujął ręce, najprzód jedną do ust swoich, potem drugą podniósł i, schyliwszy się, na jednej i drugiej długi pocałunek złożył. Józef zabrałby się do powtórzenia tego samego po raz trzeci, gdyby do saloniku nie weszła pani Krobicka.

Ciotka w progę się zatrzymała.

Młodzi ludzie, zajęci sobą, nie słyszeli jej, ani widzieli. Pierwszy ją spostrzegł Józef, puścił ręce panny Ewy, wyprostował się i przybrał minę winowajcy na gorącym pojmanego uczynku, zawstydzonego ale nie poczuwającego się do żadnej zbrodni, ani nawet do występku.

Panna Ewa, knięta tą jego miną, odwróciła się.



— Pan Józef Orzyński, ciociu—potem, dziwnie zmienionym, uniesieniem nabrzmiałym głosem, wykrzyknęła:

— Ach, ciociu!

Na domiar złego, w objęcia się ciotki rzuciła.

Pani Ludwika ździwiła się i synowicę do piersi tuląc, pytała:

— Cóż to? Co się stało? Ewuniu?

Panna Ewa płakała. Nie odpowiadało to jej stanowisku studentki, kobiety, która sobie za cel wytknęła uprawę nauki, podniesienie przez to rodzaju niewieściego i zrównanie go z rodzajem męskim, rehabilitację rodu Ruczajskich. Te łzy ciche, rzewne, ronione na łono ciotki, kompromitowały ją srodze w obliczu zadań wysokich.

Nie na tem atoli skończyć się miała kompromitacja, kiedy bowiem pani Ludwika, nie otrzymując odpowiedzi, dalej pytała:

— Ewuniu, co to znaczy?—na pytanie to odpowiedziała nie ona.

— Pani—zabrał głos Józef—to znaczy, że... że o rękę panny Ewy proszę.

Ona mocniej się do ciotki przytuliła.

— O rękę panny Ewy proszę—powtórzył dobitnie z akcentem takim, jakby się upominał o należność.

Wprawilo to panią Ludwikę w zakłopotanie.

— Ależ, panie!—odparła tonem, jakby łupem się stać mającej ofiary broniła.

Następnie zwróciła się do synowicy i zapytała:

— Cóż ty na to?

Musiała zapytanie powtórzyć, ażeby z ust jej wydobyć cichą odpowiedź:

— Ciociu...

— Pan Orzyński ręki twojej się domaga. Odrzucasz jego żądanie?

— Oh, nie...—odrzekła pośpiesznie i na Józefa nie patrząc, rękę wyciągnęła.

On tę rękę chwycił.

Co dalej nastąpiło, o tem już opowiadać zbytecznie. Czuli słuchacz z łatwością resztę w duszy swojej dośpiewa.

\*

\*

\*

Pani Ludwice wielce się ten obrót sprawy podobał; podobał się i jej mężowi, który nadszedłszy z biura na śniadanie i dowiedziawszy się, co zaszło, rzekł:

— *A la bonheur!*

Zatrzymywał Józefa na śniadanie „*au hasard de la fourchette*”, lecz śpieszno mu było do matki, która na niego czekała. Udzielenia matce wiadomości o zdarzeniu, będącem niespodzianką dla niego samego, dokonał stopniowo.

— Czy wie mama, co się stało?—zapytał.

— Co?

— Oświadczyłem się.

— Zartujesz!

— Bynajmniej. Oświadczyłem się przed godziną.

— Komu?

— Studentce.

— Zlituj się! Cóż to za jedna?

— Mama by nie zgadła.

— Nie żadna przynajmniej cudzoziemka?

— O, nie... Jedna z sąsiadek naszych.

— Która? Wiem o jednej tylko, która po laury naukowej rękę wyciągnęła.

— To ta jedna!—odpowiedział.

— Ru-czaj-ska?—zapytała pani Orzyńska głosem niedowierzania.

— Panna Ewa.

— Czyż cię przyjęła?

— Przyjęła.

— Nie spodziewałabym się tego...

— I ja się nie spodziewałem. Wydawało mi się, że mnie ona nie pokocha, a pokochała! O tem wszystkim dowiedziałem się przed godziną, moja mamoo... Mama nic nie ma przeciwko temu?

— Moje dziecko—odpowiedziała wzruszona pani Karolina, składając macierzyński pocałunek na czole syna, który się jej do rąk pochylił.

Oczekując na listy od rodziców, których panna Ewa o tem co zaszło zawiadomiła, młoda para uczęszczała na kursa, ale gdzie im tam nauka w głowie była! Schodzili się, bądź na wykładzie, bądź na podwórzu Sorbony i w ogrodzie Luksemburskim. Śniadania spożywali w hotelu razem z panią Orzyńską, która, od pierwszego panny Ewy poznania, rozmiłowała się

w swojej przyszej synowej i bez widzenia jej dnia jednego obejść się nie mogła. Niekiedy, przy obiedzie, państwo Krobiccy do stołu razem zasiadali. Panna Ewa i Józef, bez względu na to, że umysły ich i przekonania przeszły przez przetak poglądów, teoryj i doktryn różnorodnych, ściągających ludzi na poziom miłostek dorywczych, kochali się serdecznie i tem mocniej, im się lepiej i bliżej poznawali.

W Ruczaju wiadomość o postanowieniu panny Ruczajskiej, że wychodzi za Orzyńskiego, sprawiła z razu wrażenie przerażające, które na złagodzenie się sporo wymagało czasu. Pani Karolowa wykrzyknęła:

— Skończenie świata!

Po chwili, spokojnie niby, rzekła:

— Niech idzie... niech idzie... wyrzeknę się jej...

Trzymała się przy tem twardo przez dni kilka, lecz powoli, powoli poczęła się godzić z wolą Bożą.

— Wnuk poszedł na komedyanta, wnuczka na studentkę...

No!

Ostatecznie przełom wyraził się tak:

— Ruczajskim odpadł majątek od miecza... wróci do kądzieli.

Staruszka się uspokajała, luboć nie bez zwrotów, dochodzących niekiedy prawie do rozpacz. Koniec końców atoli zrezygnowała, ale z zastrzeżeniem, ażeby ślub nie pod jej odbywał się okiem. To sobie zawarunkowawszy, przesłała wnuczce blado wystylizowane błogosławieństwo, opatrzone uwagą: „jeżeli inaczej być nie może”. Zanim to jednak nastąpiło, upłynął miesiąc z górą; przez ten czas młodzi romansowali, układając sobie plany na przyszłość.

Narzeczeni kochali się jedno w drugim i zarazem w ludziach wszystkich. Około kochania ich snuła się girlanda z zachwyków miłosnych, z projektów, mających na celu dobro powszechne. Kochanków szablonowych, służących za nieprzebrany materyał dla poetów i powieściopisarzy naturalistycznych, górszyłyby srodze rozmowy, które pomiędzy sobą toczyli w cztery oczy, w jakimś ustroniu ogrodu Luksemburskiego, lasku Bulońskiego, St. Cloud, St.-Germain lub Montmorency. Naprzykład, pyta raz Józefa panna Ewa:

— Pan masz duży, ogromny majątek?

— Duży, pani...—odpowiedział.

— Cóż z nim robić zamierzasz?

— Będzie mi służył za rudel.

— Jak to?... nie rozumiem...

Józef wytłumaczył jej znaczenie tego rodzaju rudla, pojętego, jak ojciec jego pojmował, i dodał:

— Postaram się, aby go wydoskonalic.

— Czy nie lepiej do steru zbiorowe powołać siły?

— Byłoby może lepiej, gdyby to nawie nie zagrażało rozbiciem.

— Dlaczego?

— Bo jeden kierowałby rudlem w prawo, drugi w lewo, a to chyba nie doprowadziłoby do następstw pożądaných.

— Tak—odrzekła i po namyśle dodała:—Tylko, że ci sternicy, którzy kapitałem obracają, straszliwie i wędrowców, i załogę okrętową, i kapitanów nawet wyzyskują.

— Bo to źli sternicy, a złymi są tacy, którzy obowiązków swoich nie znają i którzy znając je, nie pełnią. Cobyś pani o takim powiedziała, który przy rudlu zasypia?

— Szukałabym lepszego.

— Najlepszym był świętej pamięci mój ojciec. Przekonasz się pani o tem.

Opowiedział jej, jak ojciec majątek urządził.

— Wspomniałeś pan o udoskonaleniu rudla; co to ma być za udoskonalenie?

— Założę laboratorium chemiczne. Chemia ma obecnie zadanie bardzo ważne: żywienie ludzi. Do rozwiązania tego zadania potrzebne są laboratoria, podtrzymywane jak największą siłą pieniężną, na którą zdobyć się mogą tylko wielkie fortuny.

I opowiedział jej odkrycia, jakie chemia poczyniła w farbiarstwie, w przysposabianiu materiałów wybuchowych, w fabrykowaniu drogich kamieni, cukru, napojów, konserwów i t. d.

— Gdy chemia była jeszcze alchemią, miała już zadania swego przeczucie, poszukując kamienia filozoficznego. Obecnie z bogaca jednostki, daje im w ręce środki działania na pożytek ogółu. Temu pomódz może kapitał, pojęty jako rudel w rękę sternika, świadomego obowiązków swoich; pojęty inaczej, staje się szkodliwym.

— Według pana przeto wszyscy kapitaliści powinni laboratoria chemiczne zakładać?—zapytała z uśmiechem.

— Nie byłoby w tem nic bardzo złego, ale nauka nie polega wyłącznie na chemii. Rozwój jej stopniowy związanym jest



ściśle z rozwojem innych gałęzi, stanowiących narzędzia, służące do pełnienia przykazania Chrystusowego. W tym kierunku kapitał ma przed sobą zadanie szczytne i niezmiernie ważne, dające cel życiu i zapewniające zajęcie każdemu bogaczowi, w każdym, chociażby jak najtrudniejszym położeniu.

Tak to Józef i panna Ewa z sobą rozmawiali, błędząc po okolicy, przystrojonej w wiosniane uroki i ocierając się o zbytki najwyszukańsze stolicy. Układali sobie plany na przyszłość, na życie we dwoje. Plany te miały dwa braki, niedające się zazwyczaj uczuć w romansach: jeden tyczył się ich samych, pary rozkochanej, dla której „dość jest chatki pustelnika”; drugi ich społeczno-towarzyskiego stanowiska, jakie im dawał majątek, zapewniający błyszczenie w świecie. Panna Ewa nie roila jednak o tryumfach tego rodzaju, w rozmowach z Józefem ani wspomniała o bywaniu w świecie, o przyjmowaniu u siebie, o salonach, służbie i t. p. Takie rzeczy milczeniem się nie pomijają, jeżeli tkwią w głowie. Gdyby, obok zajęć, jakie sobie zaznaczali, poprzestać mieli na dalszem snuciu rozmów, toczących się w saloniku państwa Krobickich, w alejach parków miejskich i zamiejskich, starczyłoby im to na zapelnienie życia, jest bowiem tak krótkie, że byle mieć cel w niem, to podążanie w obranym kierunku zapelnia je całkowicie. Wytknęli sobie cel naukowo-obywatelski i wobec niego stosunki towarzyskie zdali na wolę wypadkowi.

Czas, zbywający od romansowania, Józef obracał na gromadzenie naczyń i materyałów do zamierzonego laboratorium, w czem pomagali mu współpracownicy, jeden d-r Otręba, drugi d-r Karpiniec. Byli to zawzięci antykapitaliści w sensie ekonomicznym, ale również zawzięci wyznawcy kapitalizowania nauki na rzecz pożytku powszechnego. Ofiarowane im posady wielce ich zadowolniły, urządzali więc pracownię w tej myśli, ażeby odpowiedziała zadaniu, dla którego uznawali potrzebę siły pieniężnej. Wyręczali oni Józefa tak na miejscu, w Paryżu, jako też w Niemczech i Szwajcaryi, dokąd jeździli celem zbadania tamtejszych zakładów chemicznych.

Józef tymczasem dozorował matkę, której zdrowie za staraniem lekarza a pod wpływem radości, jaką jej przyszła synowa sprawiała, w oczach się polepszało.

Maj się miał już ku końcowi, romansowanie jeszcze trwało, nie nudząc, ani tych, którzy się mu z boku przypatrywali, ani tych, którzy w niem bezpośredni brali udział. Ci ostatni

zgodziliby się może na to, ażeby ono trwało bez końca, ale list z Ruczaja nadszedł.

List ów rozstrzygnął pozostającą w zawieszeniu kwestyę: kiedy i gdzie ma się odbyć ślub.

Jeden tylko wujaszek Krobicki był za odłożeniem ślubu, aż się dla pana młodego żałoba skończy, głównie z tej racyi, ażeby się wobec Francuzów „pokazać”.

Nikt atoli z interesowanych racyi tej nie uwzględnił. Ślub odbył się cicho, pod dobrą wróżbą—w deszcz; przyjęcie towarzyskie ograniczyło się na śniadaniu z ostrygami i winem szampańskim, podanem na wyraźne pana Krobickiego naleganie, wymotywowane tem, że:

— Gdy panowie socjaliści po swojemu porządek zaprowadzą, to nie będzie komu ani dla kogo szampana fabrykować. Zejdziemy na psy, gryzące się o kość: użyjmyż, póki można, dla zachowania wspomnienia!

Do stołu zasiadło osób dwanaście: rodzina i ślubni świadkowie—w liczbie ich doktorowie: Otręba i Karpiniec.

W kilka dni później, w Paryżu, ślady po państwu młodych i pani Karolinie zastygły. Pani Karolina, w towarzystwie pani Krobickiej, pojechała do kąpiel; państwo młodzi udali się wprost do Orek.

Pomiędzy młodem stadłem, przed samym wyjazdem, zaszła scena.

Pani Ewa przy rannem śniadaniu, otrzymała list, adresowany na ulicę Nollet. Adres, co do ulicy, poprawił pan Krobicki; dzięki tej poprawce, poczta dostawiła list do zamieszkiwanego przez nią od dnia ślubu hotelu. Wzięła go do ręki, obejrzała kopertę.

— A?—odezwała się trochę zdziwiona, trochę zmieszana.

Otwierając kopertę, dodała:

— To od Henryka Popielskiego...

— Czy nie od tego, który...—zaczął Józef.

— Tego, który zajmuje w Orkach posadę kasyera.

Wymawiając te wyrazy, list otworzyła. Do połowy go nie przeczytała, gdy nagle zbladła, papier jej w rękę zadrzął, wypuściła go z palców, wejrzenie na męża zwróciła i wpatrzyła się w niego wzrokiem, w którym się malowało obłąkanie.

— Co to!—krzyknął Józef przerażony, z siedzenia się zrywając i do żony śpiesząc.

Kiedy ją w pół kibici ramieniem objął, wykonała ruch taki, jakby go od siebie odepchnąć chciała. Wykonać tego jednak nie była w stanie, sił jej zabrakło—zemdłała.

Józef, znalazłszy się po raz pierwszy wobec kobiety omdlałej, nie wiedział, co robić. Zaniósł żonę co prędzej na kanapę, położył, uchylił drzwi i do stojącego za progiem garsona krzyknął:

— Lekarza! co prędzej! pani zemdłała!  
Do żony wrócił i cucił ją pocałunkami.

Pani Ewa, blada, bezwładna, z powiekami zamkniętymi, z włosami w nieładzie, leżała niby posąg marmurowy.

Przed nadejściem lekarza, raz tylko z głębi piersi odechnęła.

Józef przemówił do niej:

— Ewuniu!

Nic nie odpowiedziała, ale usta jej i policzki lekko zabarwiać się poczęły.

Zapukał lekarz. Józef wyszedł do niego i w krótkości opowiedział, co zaszło.

— Czy podlega pani atakom nerwowym?—zapytał uczeń Eskulapa.

— Nie wiem, panie—odpowiedział Józef.—Od dni kilku pobraliśmy się. Była zdrowa, zupełnie zdrowa...

— Więc chyba jakieś wzruszenie. Może... przepraszam za niedyskrecję, ale lekarzem jestem i przedewszystkiem przyczynę choroby poznać winienem. Może pomiędzy państwem zaszła sprzeczka?...

— Co!—odparł Józef z oburzeniem prawie.—W tydzień po ślubie?...

Lekarz się uśmiechnął.

— Sprzeczki małżeńskie zdarzają się po ślubie w pół godziny...—odpowiedział.—Gdzie chora?

— Proszę pana.

Pani Józefowa siedziała na łóżku; gdy ujrzała obcego człowieka, do poduszki przyległa i koldrę na ramiona naciągnęła.

— Lekarz—rzekł do niej Józef, usuwając się na bok nieco, dla dania przystępu do chorej człowiekowi poważnemu i gładkiemu, jakimi zazwyczaj bywają lekarze hotelowi, mający często do czynienia z kapryсами bogatych podróżniczek.

Szarmancko, z zaokrąglonym gestem, zbliżył się ów mąż uczony do pani Ewy, której tylko oczy prześliczne, nos i usta różane z pod koldry wyglądały.

— Zemdleliśmy—rzekł z wolna.

— Tak—odrzekła.

— Czy pani podlega atakom nerwowym?

— Bynajmniej. Nigdy mi się to, co dziś, nie zdarzyło.

— Wzruszenie?

— Tak... wzruszenie.

— Pozwoli mi, pani, zbadać stan zdrowia.

— Nie, nie potrzeba, czuję się już zdrową.

— Tem lepiej. To jednak, co się pani zdarzyło, może jest i najpewniej jest—niczem, ale może też być zapowiedzią następstw poważniejszych, wobec których zawczasu się ubezpieczyć należy.

— Ewuniu—odezwał się Józef po polsku—pozwól, niech cię lekarz opatrzy.

— Ależ... na co?... Jam zdrowa.

— Zrób to dla mnie...

— Dla ciebie?—spojrzała na męża ze smutnym i tkliwym w oczach wyrazem.—Dobrze.

— Moja żona zgadza się—rzekł Józef do lekarza.

— Doskonale. Zrobimy to prędko i bez trudzenia pani zbytecznie.

Opukał i osłuchał boki i plecy, zadał następnie szereg pytań, na które odpowiedzi świadczyły o jak najlepszym zdrowiu pacjentki; wreszcie pomyślał i następującej udzielił rady:

— Groźnego niema nic, wszelako, dla zapobieżenia możliwym atakom, dobrze byłoby spędzić sezon w Biaritz, stamtąd pojechać do Trouville naprzykład, poczem może pani z całą swobodą oddać się uciechom teatralnym, koncertowym i balowym.

— Biaritz... z Biaritz do Trouville powiadasz pan?—zapytał Józef.

— Tak. Dam państwu wszędy słówko do kolegów, którym udzielię wskazówek, odpowiednich do recepty, jaką zaraz dla pani zapiszę, trzeba ją będzie im pokazać.

Wyszedł z Józefem do salonu. Tę receptę na blankiecie z nazwiskiem i adresem swoim nakreślił, zaś na kartach wizytowych nazwiska i adresy lekarzy w Biaritz i Trouville. Kiedy



Józef, dla ofiarowania mu honorarium, do kieszeni sięgnął, doktor rzekł:

— Sto franków, panie.

Zapłaciwszy słone poczesne, udał się Orzyński do żony. Skoro próg przekroczył, pani Ewa z łóżka się zsunęła, ukłękła i złożone dłonie do niego wyciągnęła:

— Co to?—zapytał tonem zdumienia, przy progu się zatrzymując.

— Mój Józiu—odrzekła—nie wiem, jak do ciebie mówić, czy mam prawo o przebaczenie cię błagać.

— Cóż się stało?

— Ach! mój mężu...

— Czy chcesz, żebym ci wybaczył twoje zemdlenie?

— Nie wiedziałeś, kogo bierzesz w osobie mojej.

— Jakto?

— Prawda, że i ja nie wiedziałam, kto mi szczęście daje.

— Nic nie rozumiem.

— Jestem...—zaczęła—jestem...—głos jej drżał, wreszcie z mocą i szybko, na kolanach ku Józefowi idąc, zawołała:—jestem sprawczynią śmierci twego ojca.

— Cooo!—zapytał ponuro.

Wobec zapytania tego, cofnęła się, do łóżka się zwróciła, w dłoniach twarz ukryła i płaczem wybuchnęła.

Józef chwilę stał w osłupieniu. Oskarżenie się to przed nim żony, było dlań jakby uderzeniem obucha. Wnet jednak oprzytomniał.

— Cóż znowu!—rzekł z cicha—podszedł do pani Ewy, w pół ją ujął, na łóżku posadził, sam obok niej usiadł i do piersi ją swojej przygarnął.

— Ewuniu—począł do niej łagodnie przemawiać.—Cóż znowu? Nie płacz... Opowiedz mi raczej, co to znaczy.

— Nie czytałeś listu?—odrzekła, płacząc.

— Jakiego listu? A...—przypomniał sobie—nie, nie czytałem.

— Przeczytaj... dowiesz się.

Józef chciał wstać, lecz żona ramionami go objęła i prędko mówiła:

— Nie odchodź jeszcze. Gdy odejdiesz, nie zechcesz do mnie wrócić... mój Józiu!... mój mężu!... mój najdroższy!... Ach, gdybym dla ciebie, za ciebie życie moje oddać mogła!...

Całowała go po rękach, on się bronił, ona się do niego garnęła i szeptała:

— Jeszcze chwilkę... Pójdiesz... nie wrócisz...

— Pójdę i list bez czytania spalę.

— Nie... o!... Idź... przeczytaj... Idź!... idź!... Ach, Boże!

Prawie go wypchnęła i przeze drzwi wołała:

— Przeczytaj!... przeczytaj!

Józef, list oczami przebiegłszy, dowiedział się, że Henryk Popielski, z miłości dla Ewuni, chcąc dostatkami ją otoczyć, ojca jego zamordował. List kończył się zawiadomieniem, że ponieważ nie udało mu się zdobyć pieniędzy, a ta, dla której się na zbrodnię odważył, synowi zamordowanego rękę swoją oddaje, postanowił zginąć. „Idę w świat i nawet się o śmierci mojej nie dowiesz. Bądź szczęśliwa! Kochający cię nad życie, nad zbawienie duszy, nad wszystko—Henryk.”

Łatwo sobie wyobrazić, jakie list ten na Józefie sprawił wrażenie. Śmierć nagła ojca przypisywaną była apopleksyi, lecz nikomu nie przeszło przez myśl co innego. Wszelkie ślady zbrodniarz zatarł za sobą. Józef, opanowawszy siłą woli gwałtowne wzruszenie, jakim go wstrząsnęła ta wiadomość straszna, zapytał siebie: Przyczyna zbrodni wyszła od Ewuni, lecz jaka w tem jej wina?

Zadawszy sobie to pytanie, udał się do żony.

Pani Ewa, ujrawszy męża, przybrała bezwiednie postawę skazanej.

— Moja droga—zaczął Józef—za co ty siebie obwiniać możesz? Czy za to, że miłość wzbudziłaś w nikczemnym człowieku?

— Dla tej nieszczęsnej miłości...—wtrąciła.

— Tak, dla nieszczęsnej, moja droga żono.

— Gdybyś o tem przed tygodniem wiedział, czybyś mnie zechciał?

— Nie zechciałbym, gdybym był obrany z rozumu i z uczucia, gdybym ciebie nie pokochał, gdybyśmy nie ukochali oboje pięknych celów.

— Ten list...

— Ten list zniszczymy i treść jego niech pozostanie w wyłącznej wiadomości nas dwojga. Zbrodniarza osądzi i ukarze własne jego sumienie.

— O! mój Józiu—złożyła ręce, wpatrując się z zachwytem w męża.

W tydzień później, na stacji kolei żelaznej, połączonej z Orkami koleją fabryczną, witał młodą parę pan Piotr. Józef wujowi żonę przedstawił.

— Mój nadsternik, Ewuniu.

— Posterowałeś ty łódką swoją beze mnie bardzo dobrze do portu małżeńskiego—odrzekł pan Piotr, patrząc na młodą kobietę, wyglądającą przecudnie w stroju podróżnym.

— Cóż tu słyhać, wujaszku?

— Wszystko idzie jako tako, z wyjątkiem tego tylko, że zdarzył się nam wypadek nadzwyczajny.

— Pożar? co?

— Nie. Uciekł nam jeden urzędnik.

— A?

Chciał Józef zapytać: „który?”, lecz się powstrzymał.

Po chwili pani Ewa ze zdziwieniem przesiadła się do elegancko umeblowanego, niewielkiego wagonu.

— Cóż to jest?

— To nasz orkiski pociąg—objaśnił mąż.

Dziwiło ją wiele jeszcze innych rzeczy, które w Orkach znalazła, ale nie zdziwiło jej to, że mąż, krótko wypocząwszy po podróży, zajął się gorliwie pracą.

---

Ktoby chciał naukę z naszej powieści wyciągnąć, niech rozważy stopniowe przechodzenie od pana Walentego do pana Prospera, od pana Prospera do Józefa i skojarzenie się z linią Ruczajskich przez kobietę. Pani Karolowa widziała w tem mezalians—najniesłuszniej w świecie, albowiem hrabiowie Popielscy, karmazyni Ruczajscy, pospolitacy Orzyńscy, gminni Otrębowie, Karpińce i wszyscy inni, jednego mają antenata: kołodzieja Piasta i jednakie na nich ciężą obowiązki.

---



INSTYTUT  
BADAŃ BIBLIOLÓGICZNYCH

Bibliologia

ul. Nowy Świat 72

00-907 Warszawa

**Tel.** 26-68 68, 26-62-31 w. 42









F  
1249